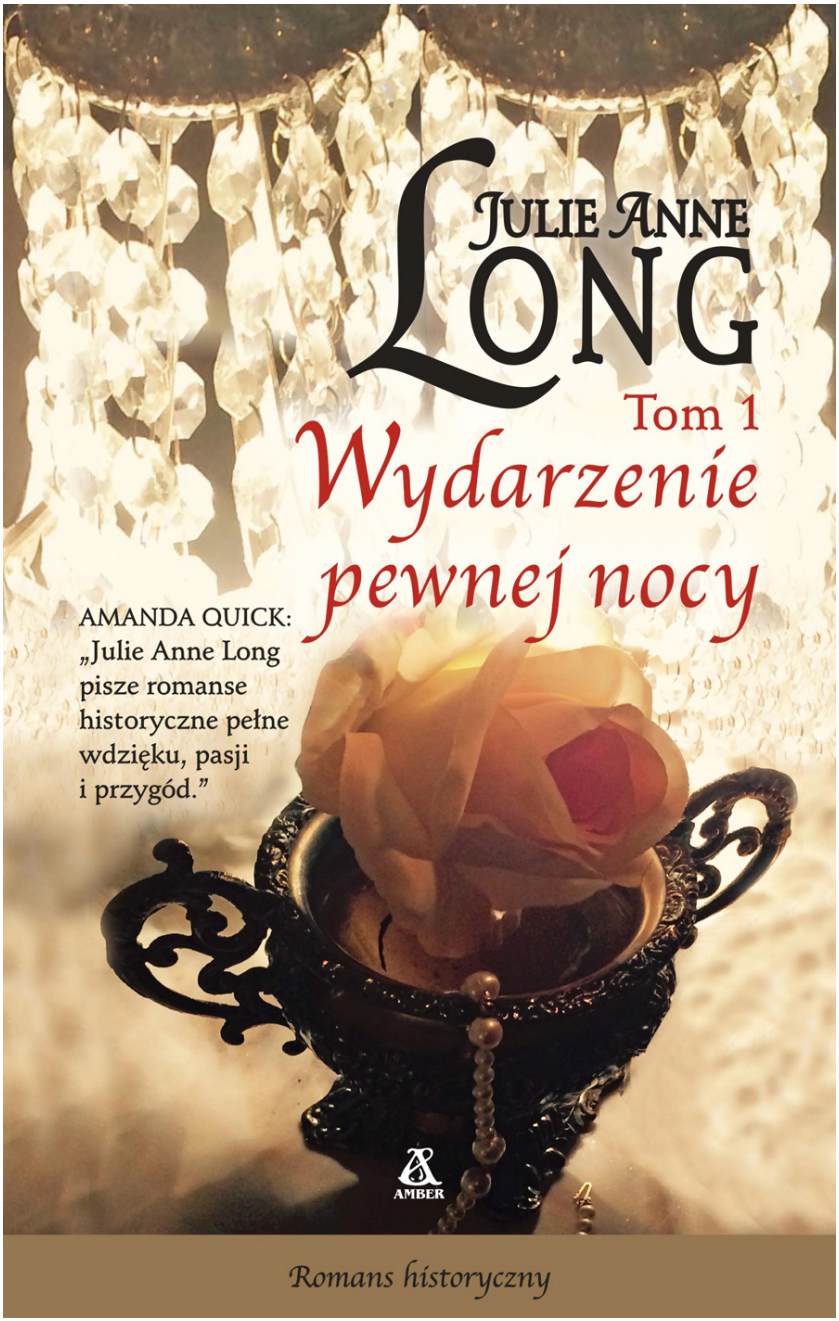
JULIE ANNE
LONG
Tom 1
Wydarzenie pewnej nocy
AMANDA QUICK:
„Julie Anne Long pisze romanse historyczne pełne wdzięku, pasji i przygód.”
AMBER
Romans historyczny

JULIE ANNE
LONG

Tom 1

Wydarzenie pewnej nocy

Przekład
Aleksandra Januszewska

AMBER

Korekta
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce
© Zbigniew Foniok

Tytuł oryginału
It Happened One Midnight

Copyright © 2013 by Julie Anne Long
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5466-1

Warszawa 2015. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA
juras@evbox.pl

1

Księżyc leżał na boku jak porzucony kilof wśród brylantowych okruszków gwiazd. Nadrzeczna bryza przegnała wieczną mgłę, przynosząc wyjątkowo jasną noc i wszystko, na co padł wzrok Tommy w drodze do celu – baryłki starej deszczówki zapieczętowane cienką warstwą lodu, chudy czarny kocur z podniesionym, wygiętym w znak zapytania ogonem, każdy pręt w niskim żeliwnym płocie, przez który właśnie się prześlizgnęła – wydawało się tkwić w ciemności wyraźnie, jak części układanki, piękne, tajemnicze, zwiastujące niebezpieczeństwo.

Innymi słowy, tak jak lubiła.

Takie, jak ona sama, jak mogliby powiedzieć niektórzy spośród szlachetnie urodzonych.

Och, jakże oni uwielbiali słuchać własnych słów. Cóż, nie próbowała ich do tego zniechęcać. W każdym z nich dałoby się znaleźć coś miłego, ale wszyscy byli tacy do siebie podobni – zajęci własną osobą, sypiący mało oryginalnymi komplementami, dający sobą bez trudu powodować. Żaden nie widział więcej, niż chciał zobaczyć. Albo niż to, co ona miała ochotę im pokazać.

A jednak nie mogła powiedzieć, żeby się dobrze nie bawiła.

Nie uświadomiła sobie, że sprawy posunęły się trochę za daleko, póki nie zjawiły się perły.

Niezależnie od pereł, najcenniejszą rzeczą, którą posiadała, był złoty krzyż o szerokich ramionach, zawieszony na krótkiej, szerokiej wstążce. Wygrawerowano na nim najważniejsze słowa jej życia. Ściskała go tak mocno, że nie zdziwiłaby się, gdyby pod wpływem ciepła odbiły się na jej dłoni.

To byłoby jak najbardziej na miejscu. Nosiła na ciele historię własnego życia wypisaną w bliznach.

Kryła się w ciemności, przysiadając nieznacznie. Miała doskonały widok na przeszklone drzwi balkonowe, ogromne okna i pokój oświetlony tylko słabym ogniem z kominka. Nie był to zwykły dom, o nie; tylko replika francuskiego pałacu odpowiadała majestatowi właściciela, który wybudował go przed dziesiątkami lat.

Serce skoczyło jej do gardła, kiedy do pokoju wszedł mężczyzna.

Wydawało się, że dziewczyna chce chłonąć jego widok całym ciałem. Napawała się nim, kiedy przechodził przez pokój. Jego nos niczym dziób statku: wydatny, arogancki, świetnie pasował do twarzy złożonej z ostrych krawędzi i szerokich płaszczyzn. Twarz – konstrukcja architektoniczna.

Tommy nieświadomie dotknęła wierzchem dłoni własnego policzka.

Wydawał się uosobieniem przywilejów swego stanu. W miejscu, gdzie stała, niemal czuła ich ciężar. Wystarczył sam sposób, w jaki się poruszał, tnąc przestrzeń pokoju z niewzruszoną pewnością okrętu wojennego, kiedy zmierzał do regału z książkami.

To musiał być on. To był on. Wiedziała, że tak.

Odwrócił się odrobinę w stronę okna i wtedy dostrzegła, że jego krótko ścięte włosy są siwe. Więcej, więcej, więcej. Chciała wiedzieć więcej. Kolor oczu, kształt dłoni, dźwięk głosu. Z niecierpliwości jej nerwy napięły się jak postronki.

Dlatego o mało nie wyskoczyła ze skóry, słysząc za plecami słabe szczęknięcie krzemienia.

Krew odpłynęła jej z głowy. O mało nie zemdlała.

Uodporniła się już jednak na niespodzianki. Odwróciła się gwałtownie, aż płaszcz zafurkotał przy łydkach, przesuwając jednocześnie nóż w rękawie; ostrze zraniło ją w dłoń, ale pozostało ukryte. Chwyciła mocno za rękojeść.

Rozbłysło cygaro i w jego świetle ukazała się sylwetka mężczyzny.

Nie mogła go z nikim pomylić. Pamiętała go z dzisiejszego popołudnia w salonie, gdzie większość czasu spędził, opierając się o ścianę naprzeciwko niej i wpatrując w nią przymrużonymi oczami. Uśmiechał się leciutko, jakby wspominał jakiś żart. Jakby ją znał, mimo że spotkali się przedtem tylko raz i nigdy ze sobą nie rozmawiali potem, jak ich sobie przedstawiono. No, ale takiego mężczyzny żadna pełnokrwista kobieta nie mogła zapomnieć, choćby widziała go tylko raz. Jego twarz, teraz intrygująco ukryta w cieniu, wbijała się w pamięć. Tak niewielu mężczyzn wywoływało gwałtowną potrzebę zaczerpnięcia oddechu.

Sądząc po jego reputacji, w pełni z tego korzystał.

Dla Tommy nic z tego nie miało znaczenia. Nie miał tytułu, był hultajem, a wiedziano powszechnie, że Tommy ma w tych sprawach zasady.

Co za ironia, że właśnie on tamtego popołudnia powiedział coś, co ją zainteresowało. Usłyszała jego rozmowę z kimś innym.

– Cóż, czy to nie nasza słynna panna Thomasina de Ballesteros. Co cię sprowadza… – zerknął w okno – pod dom potężnego, żonatego księcia?

Mówił cicho, głębokim barytonem, z nieznośnym rozbawieniem w głosie.

– Nie to, co myślisz, panie Redmond – wydusiła z siebie z lodowatą elegancją. Z taką, na jaką była się w stanie zdobyć, szepcząc. – Można by ciebie zapytać o to samo.

Nad ich głowami, w świetlistym obramowaniu drzwi balkonowych, mężczyzna poruszył się, zapalając jeszcze jedną lampę gazową; więcej światła zalało pokój. Widać go teraz było równie dobrze, jak aktora na scenie. Jasno i wyraźnie.

Musiała się tylko pozbyć drugiego, niespodziewanego widza.

– Palę cygaro. Jako ostatni wyszedłem z kolacji w tejże rezydencji, na którą mnie zaproszono. Przyjęcie odbyło się wewnątrz domu. Muszę jednak powiedzieć, że jestem głęboko poruszony tym, że obchodzi cię, co myślę.

– Och, nie obchodzi – sprostowała pośpiesznie. Roztargnionym tonem, bo książę Greyfolk wybierał właśnie książkę z półki. Jaką książkę? Co czyta?

– Tylko trudno jest panować nad kłamstwami, a ja i tak jestem dosyć zajęta. A teraz bądź dobrym chłopcem, panie Redmond, i zostaw mnie w spokoju, dobranoc.

Jonathan Redmond wypuścił dym z ust, uprzejmie, ku niebu, z dala od niej.

– Mówisz z doświadczenia. Kłamstwa – odezwał się po chwili. Nadal mówili szeptem.

Spojrzała w jego stronę. Żałowała każdej sekundy, kiedy nie wpatrywała się w okno. Wewnątrz książę sadowił się właśnie w fotelu z książką, szukając przez chwilę najwygodniejszej pozycji dla pośladków. Nowy fotel? A może taki, w którym jego ciało zdążyło się odcisnąć i teraz książę starał się po prostu wsunąć w stare miejsce?

Jakże chciała poznać tytuł książki.

– Naturalnie. Wszyscy kłamią. Założę się, że ty także. Być może zwłaszcza ty, biorąc pod uwagę twoją reputację i towarzystwo, w jakim się obracasz. Powód, dla którego tu jestem, jest z pewnością inny od tego, czego się domyślasz, więc oszczędź perełki swojego dowcipu dla następnego modnego salonu, który zaszczycisz swoją obecnością.

Ledwie kiwał głową, jakby czytała tekst sztuki. Nieuprzejmość była bardzo do niego niepodobna, ale w sytuacjach krytycznych ludzie często zachowują się jak dzieci.

Wyżej nad nimi książę wstał, sięgnął pod siebie i pociągnął spodnie; musiały zaklinować się między pośladkami, kiedy siadał. Usadowił się ponownie.

– Wciąż mi nie powiedziałaś, co tu robisz, panno Ballesteros.

Odwróciła się do niego, prostując na całą wysokość, niestety nadal była o stopę lub więcej od niego niższa. Policzyła w myślach do dziesięciu. Czuła, jak jej gniew rośnie niczym temperatura na termometrze. Gniew świadczył o tym, jak bardzo

odzwyczaiła się od mężczyzn, którzy nie jedzą jej z ręki.

– Dlaczego mnie dręczysz? – zapytała niemal pogodnie.

– Dlaczego trzymasz nóż? – odparł, naśladując ton jej głosu.

Ze złości pociemniało jej w oczach.

Z jego postawy ulotniła się nonszalancja. Stał przed nią mężczyzna gotów do skoku w każdej chwili, gdyby został do tego zmuszony. I do tego właśnie zmierzał przez cały czas.

Odchrząknęła.

– Ach… to?

– Tak – powiedział cicho. – To.

Milczała. Bezwiednie dotknęła czubka noża opuszkiem palca. Ostry. Doskonale zabójczy.

– Niech zgadnę. To nie to, co myślę.

Myśl, Tommy, myśl.

– Noszę nóż – odparła powoli – ponieważ… nie mam pistoletu.

Kiwnął w zamyśleniu głową.

– Och, zawsze należy nosić przy sobie pistolet. W istocie, ja go akurat mam.

I tak rzeczywiście było. Metal błysnął w jego dłoni. Jak on to zrobił?

Gapiła się na broń.

– Doskonały pistolet – stwierdziła uprzejmie. Zastanawiając się, jak mu go odebrać albo uciec, jeśli zajdzie potrzeba. Kolanem w krocze? Mrożący krew w żyłach krzyk?

– Faktycznie. Dziękuję.

Cisza. Ściśle biorąc, nie celował w nią, ale trzymał pistolet ze swobodną nonszalancją, jak przedtem cygaro. Nie miała wątpliwości, że potrafi go użyć.

Słyszała, jak podobno z największą łatwością trafiał w sam środek tarczy u Mantona.

– Panie Redmond, czy naprawdę podejrzewasz, że mam mordercze zamiary? Gdyby tak było, zapewniam, że do tej pory skończyłabym z tobą albo z nim, zamiast podziwiać widoki.

Parsknął niecierpliwie.

– Zapewniam, że nigdy nie zdołałabyś pozbyć się mnie w ten sposób. No, dalej. Lepiej się postaraj.

Wciągnęła głęboko powietrze. Był uparty jak osioł.

– Doskonale. Noszę nóż dla bezpieczeństwa, kiedy wychodzę w nocy. Potrafię się nim posługiwać. Przyszłam, bo słyszałam, że wrócił do miasta, mnóstwo o nim słyszałam i po prostu chciałam zobaczyć, jak wygląda. Jak pewnie zauważyłeś,

raczej nie obracamy się w tych samych kręgach. Przysięgam… na pamięć matki.

Wyszło uroczyściej, niż zamierzała.

Choć to nie był fałsz.

– Twojej matki, hiszpańskiej księżniczki? Och, niech będzie. Nie wyobrażam sobie większej świętości.

Skrzywiła się. Powinna się złościć – chciała być zła. Gdzieś w głębi czuła dziwny niepokój.

Kłopot w tym, że zaczął jej się wydawać interesujący. A zdarzało jej się to niezwykle rzadko, jeśli chodzi o mężczyzn.

– Nie mogę ci powiedzieć, dlaczego chciałam go zobaczyć i nie zrobię tego. Ale to najprawdziwsza prawda, że chciałam po prostu popatrzeć na sławnego księcia Greyfolk, a wiedziałam, że dzisiejszy wieczór spędzi w domu. Przysięgam. Nazwij to… ciekawością. Czy teraz odejdziesz?

Nad nimi obiekt jej ciekawości podrapał się w nos i odwrócił kartkę.

Boże, jak bardzo by chciała wiedzieć, co czyta. Światło odbijało się od ogromnego sygnetu, który nosił na palcu.

– Dlaczego dobro księcia tak ci leży na sercu, panie Redmond? Nieposkromiony heroizm?

Zawahał się.

– Nie chciałbym, żeby go zamordowano, zanim nie przekonam go do zainwestowania w jedno z moich przedsięwzięć.

Zaśmiał się. Zaskoczyła ją jego autoironia.

– Dzisiaj ci się nie powiodło?

Zawahał się znowu. Pociągnął cygaro.

– Powiedzmy, że mi się uda.

Spodobała jej się ta spokojna arogancja. Żadnej fanfaronady, tylko zwykła pewność siebie. Tak, jak u niej.

– No to jak? – odezwał się po chwili Jonathan. Machnął pistoletem.

Schowali broń jednocześnie.

– Zdumiewa mnie, że poznałaś mnie w mroku – powiedział. – Musisz mieć oczy jak kot, panno Ballesteros.

– Trudno nie poznać kogoś, kto praktycznie nie spuszczał ze mnie oczu dziś po południu.

Nastąpiła kolejna chwila interesującego milczenia. Mogłaby się założyć, że to jej szczerość odebrała mu głos.

– Nie mogłem się zdecydować, czy uznać cię za atrakcyjną – odezwał się w końcu.

Szczęka jej opadła. Zakasłała zaszokowana.

– Wiem, że powinienem – dodał niemal przepraszająco. I szelmowsko. – Wszyscy tak uważają. Ostatecznie, stałaś się kimś, prawda?

Praktycznie czuła, jak napawa się jej zmieszaniem.

A jednak jego bezczelność wzbudziła w niej czysty zachwyt.

– Jak widzisz, ja także nie dbam… co myślisz, Tommy…

Drań śmiał się cicho. Ale nie obraźliwie. Jakby zapraszając, żeby się do niego przyłączyła. Żeby się z nim zmierzyła.

Nagle ożywieni i czujni, przyjrzeli się sobie uważnie w milczeniu. Usiłując dojść do jakichś konkluzji.

– To daje poczucie swobody, czyż nie? – odezwała się w końcu poufnym szeptem.

Jego szelmowski uśmiech rozjaśnił noc.

Odpowiedziała uśmiechem.

To było tak samo dobre jak uścisk ręki. Dali sobie zgodę, żeby się nawzajem polubić.

A właśnie ten szelmowski uśmiech w mroku był tym, co zapamiętała z tamtej nocy, kiedy biła północ – uśmiech, piękniejszy i znacznie bardziej niebezpieczny bliźniak księżyca.

Ostrzeżenie, na które należało zwrócić uwagę.

2

*J*akie dziwne.

Jedynie książę Greyfolk, pomyślał sarkastycznie Jonathan, mógł zepsuć tak doskonale normalne słowo jak „dziwne”. Podejrzewał, że do końca życia będzie odruchowo napinać mięśnie na jego dźwięk.

Wykazując talent strategiczny, z finezją i wdziękiem zdobył zaproszenie na uroczystą kolację dla uczczenia powrotu potężnego księcia Greyfolk z długiej wyprawy do Ameryki. Po kolacji, przy cygarach i brandy, rozmowa zeszła na typowo męskie tematy i Jonathan, z talentem strategicznym, finezją i wdziękiem poprowadził rozmowę od koni wyścigowych do kupowania koni i do inwestowania w ogólności – w szeregu posunięć równie przemyślanych i eleganckich jak partia szachów.

Książę przyglądał się Jonathanowi w zamyśleniu, patrząc nieco dłużej, bez wyrazu, jednakże znacząco na przeklęty siniec pod okiem. Choć niewielki, szybko zmieniał kolor na nieprzyjemny fiolet i wyglądał dokładnie na to, czym był.

To nie to, czym się wydaje, chciał zaprotestować Jonathan.

Cóż, ściśle mówiąc, nie całkiem tym, czym się wydawał.

Książę odchylił głowę do tyłu i wydmuchał dym w górę, spowijając nim swoją ciężką, przystojną głowę. Jonathan uznał, że szatan mógłby się zmaterializować w tym pokoju dokładnie w takiej postaci.

– Druk… jakie to dziwne, panie Redmond. Przypuszczam, że każdy młody człowiek potrzebuje… konstruktywnego… hobby. – Zwrócił oczy ponownie na siniec. Jedna jego brew drgnęła silnie.

Nie jest tak, żebym regularnie się rozbijał w pijackich burdach.

– Masowa produkcja w kolorze. – Jonathan tak mocno ściskał kieliszek z brandy, że czuł pulsowanie serca w dłoni. Mówił spokojnym głosem, bez zbytniego nacisku czy zapału. Ktoś chyba powinien pojąć potencjał kryjący się w tym pomyśle. Zwłaszcza ktoś tak bywały w świecie jak książę.

Książę wpatrywał się w niego zagadkowo przez kolejną sekundę. A potem zwrócił się do mężczyzny obok.

– A co do tego bawełnianego młyna w Lancaster… Ten przeklęty radca prawny stawia warunki, które mnożą się jak króliki. Wciąż się domaga dalszych szczegółów finansowych. Ach, ale w końcu, oczywiście, sprzeda mi go.

Paru gości zachichotało, ponieważ książę Greyfolk oczywiście zawsze dostawał to, czego chciał.

– Czy zdecydowałeś się, książę, na kupno konia wyścigowego? – zapytał ktoś.

– Za parę dni koło Holland Park organizują naprędce wyścigi. Wtedy zdecyduję, czy jest wart pieniędzy, jakich się za niego domagają. Twierdzą, że to najszybszy koń całej dekady.

Tak to lekko i swobodnie zmieniono temat, a o Jonathanie zapomniano, ponieważ do prerogatyw księcia należało zapominać, o czym mu się podobało.

Rzecz jasna, spróbuje ponownie na wyścigach pod Holland Park za dwa dni.

Równie mocno interesował go potentat od koni i gdyby miał w tej chwili nadwyżkę kapitału, sam kupiłby jedno ze zwierząt.

Ale to wiele mówiło o jego ojcu, Isaiahu Redmondzie, że księcia uważał na łatwiejszego do pokonania z dwóch tytanów, więc zaczął tutaj.

Zjawił się dzisiaj w Sussex z zamiarem dokonania podboju.

Dziwne. To, że zastał Thomasinę de Ballesteros pod oknem księcia z nożem wydawało się stosownym zakończeniem wieczoru. Przez chwilę nawet sympatyzował z jej, jak się wydawało, morderczymi zamiarami.

Uśmiechnął się. Pomyśleć, że kobieta, która nawiedzała senne marzenia męskiej połowy londyńskiego dobrego towarzystwa, powód dla którego jego przyjaciel Argosy zaciągnął go do salonu hrabiny Mirabeau, czaiła się jak dziki kocur pod oknami księcia. Nie wierzył ani przez chwilę, że zjawiła się tu ze zwykłej ciekawości czy pod wpływem impulsu. Zanadto wydawała się nawykła do tego rodzaju sytuacji.

Nawet gdyby nigdy jej nie przydybał pod domem księcia Greyfolk o północy, nawet gdyby nigdy nie powiedziała: Noszę nóż dla ochronny, kiedy wychodzę w nocy. Potrafię się nim posługiwać, wiedziałby, że Tommy de Ballesteros to kłopoty.

To nie przeszkodziło mu jej lubić.

Po pierwsze, była niewątpliwie jedyną kobietą z jego otoczenia, która powiedziała coś podobnego i w dodatku w jej ustach to zabrzmiało sensownie. Nie znosił głupców obu płci. W gruncie rzeczy rozmowa z nią sprawiała takie odczucia, jak zdjęcie ciasnych butów pod koniec długiego dnia: wydawała się niezwykle swobodna i naturalna, w sposób nieznany innym kobietom.

I podobał mu się jej śmiech. Dosyć. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby znowu się roześmiała.

Wręczył płaszcz i kapelusz lokajowi, stojąc w drzwiach salonu rezydencji Redmondów i przyglądając się dyskretnie swojej siostrze, Violet, którą opiekowała się ich matka, podczas gdy mąż Violet udał się w interesach do Londynu. Siedziała na kanapie, pobrzękując drutami; z ich końców zwieszało się coś, co przypominało szalik. Lśniącą, ciemną głowę pochyliła w skupieniu i w chłodnym, bladym świetle napływającym przez okno sprawiała wrażenie spokojnej, przykładnej przedstawicielki angielskiej płci pięknej. Można by ją w tej pozie namalować i zatytułować obraz: Madonna z Sussex.

Redmondowie powiesiliby go w salonie, rodzina zbierałaby się pod nim, wskazując palcami i rycząc ze śmiechu. Bo odpowiedniejszym tytułem dla tego dzieła byłoby: Pozory mylą.

– Co robisz?

Odwróciła się.

– Jonathan! – zawołała z rozjaśnioną twarzą. – Nie stój tam, gapiąc się. Wyglądasz wspaniale, tylko trochę zakurzony. Powiedz mi, jak ja wyglądam.

– Promiennie. Ale jeśli jeszcze się powiększysz, będziemy musieli cię nosić w lektyce. A może kupimy stylowy wózek i zaprzęgniemy do niego małego białego osiołka.

Pisnęła urażona i rzuciła w niego kłębkiem niebieskiej włóczki. A w każdym razie próbowała. Zawadziła ręką o wystający brzuch i wełna spadła niegroźnie na podłogę.

Patrzyli oboje, jak kłębek toczy się do stóp Jonathana.

Jonathan podał go jej z powrotem, zacisnął powieki i usiadł nieruchomo, tak żeby znowu mogła w niego rzucić.

Odbił się lekko od jego piersi.

Potoczył się i zatrzymał o parę stóp od okna.

– Lepiej się teraz czujesz? – zapytał.

– Nie. Ale przyniesiesz mi go teraz?

– Oczywiście. – Podniósł go i podał siostrze.

– A przyniesiesz mi marcepan? I może maliny?

Spojrzał na nią powątpiewająco.

– Kobieto, pomyliłaś mnie ze swoim oddanym niewolnikiem, hrabią Ardmay. I skąd ja wytrzasnę maliny o tej porze roku? O Boże, chyba się nie rozpłaczesz, co?

Zastanowiła się.

– Nie tym razem – zdecydowała. – Ale myślę, że dziecko potrzebuje malin.

– Mam nadzieję, że to dziewczynka i że jest dokładnie taka sama jak ty. – Powiedział to, jakby rzucał klątwę i opadł niedbale na fotel obok niej, kładąc obute

stopy na małym, obitym tapicerką, stołeczku. Mogło mu to ujść na sucho, póki matka nie zobaczy.

– Tak samo, jak Asher – odparła Violet w rozmarzeniu.

– Byłoby inaczej, gdyby z tobą dorastał i musiał cię wyciągać ze studni za łokcie i inne części ciała. – Violet zagroziła kiedyś, pokłóciwszy się z wielbicielem, że wskoczy do studni; zdążyła przerzucić nogę przez ocembrowanie, zanim wyciągnięto ją za łokcie. Cała Anglia wydawała się o tym wiedzieć. – Gwarantuję, że ta jego wspaniała grzywa posiwieje do czasu, kiedy dziecko skończy dwa lata. Ale, ostatecznie, jest hrabią. Będzie chciał chłopca.

– No, doprawdy. Jak wy wszyscy gadacie o tej studni. Nigdy nie wskoczyłam całkiem do studni i wcale nie zamierzałam. A poza tym Asher zrobił dla mnie dużo więcej. – Uśmiechnęła się, rozmarzona. – To, co mężczyzna potrafi…

Jonathan przykrył uszy dłońmi.

– Nie! Ani słowa więcej.

Roześmiała się.

– Ale wyglądasz świetnie i promiennie, aż to brzmi banalnie, nawet jeśli jesteś ogromna.

W rzeczywistości Jonathanowi wydawała się nieco zmęczona. Martwiły go bladofioletowe półksiężyce pod jej oczami. Przypuszczał, że trudno jest spać wygodnie, nosząc w sobie żywy ciężar i to w dodatku, być może, dziedzica hrabstwa. To nie była łatwa ciąża dla Violet, ale słowo „łatwy” w ogóle do Violet nie pasowało.

– Dziękuję. Czy możesz się trochę pochylić w tę stronę? Pachniesz dymem, a dym nadal pobudza mnie do mdłości; nie chciałabym zostawić w salonie zawartości żołądka. Grałeś w rzutki Pod Świnią i Ostem? Myślisz, że mógłbyś mnie zabrać w podróż, Jonathanie?

Posłusznie odchylił się trochę dalej od niej.

– Paliłem cygaro zeszłej nocy. – Zastanawiał się, czy nie opowiedzieć Violet o swoim spotkaniu z Tommy, ale postanowił zachować to w sekrecie. – Ubranie widocznie przesiąkło zapachem. Powiedziałaś: w podróż? W twoim stanie? Oszalałaś? Chyba że masz na myśli spacer po ogrodzie, jeśli tak, to przyprowadzę wózek z osiołkiem. Łatwiej je zdobyć niż maliny.

– Och, proszę, zgódź się! Myślę o krótkiej podróży, a Asher jest w Londynie, na żądanie króla. Co za samolubstwo ze strony króla, żeby go wzywać w tak trudnym dla mnie czasie. Chciałabym odwiedzić tę Cygankę, Leonorę Heron i jej córkę, tę dziewczynę, Marthę… O, Boże! Żebyś tak zobaczył własną twarz! Czy jest ci niedobrze?

– Nie lubię tej dziewczyny. – Kiedyś wygłosiła przepowiednię, która zmroziła go do szpiku kości. – Wiesz dlaczego. Z jakiego powodu chcesz się z nią zobaczyć?

– Chcę ją zapytać o dziecko.

Położył z troską rękę na jej ramieniu, zniżając głos do szeptu.

– Boisz się, że to nie będzie człowiek?

Zrzuciła jego dłoń.

– Chcę ją zapytać o dziecko, bo miała rację co do… – urwała i zagryzła wargę. Jej oczy błysnęły niepokojem.

Za późno. Jonathan znał ją i był szybszy.

– Rację co do czego, Violet?

Violet zacisnęła usta.

– Rację. Co do. Czego? – powtórzył z naciskiem.

– Różnych rzeczy. Słyszałam, że czasami się nie myli co do pewnych spraw.

Parsknął gniewnie.

– Spróbuj jeszcze raz. Jak sobie przypominam, kiedy pojechaliśmy tam z Cynthią, wspomniała, że odbędziesz podróż po wodzie, to jest, pani Heron. A ta kretynka, jej córka, Martha dodała „Lavay".Och… niech się zastanowię. Na balu wpadłaś w podniecenie, bo okazało się, że „Lavay" to pierwszy oficer na statku hrabiego Ardmay. Uznałaś, ni mniej, ni więcej, że to znaczy, że Lyon jest piratem o imieniu Le Chat. Hrabia dostał mandat od króla, żeby go ścigać. A potem… – dokończył powoli – …poszłaś na „domowe" przyjęcie. Na dwa tygodnie. A wkrótce potem, jak wróciłaś z rzeczonego przyjęcia, zjawił się tutaj hrabia Ardmay… i voila! Zostałaś jego żoną po paru tygodniach!

Violet słuchała w napięciu.

– Taka była kolejność wydarzeń, zgadza się – przyznała ostrożnie.

Jonathan spojrzał na nią wściekłym wzrokiem.

Przybrała łagodny, słodki jak Madonna z obrazu wyraz twarzy, przesuwając w zamyśleniu ręką po brzuchu – podstęp mający w nim wywołać poczucie winy.

Powinna się była, jak dotąd, nauczyć. Na Jonathana to nie działało.

– Czy to „przyjęcie domowe" nie odbyło się czasem na statku? – zapytał z ironią.

Milczała jak głaz.

– Matko Boska, Violet. – Był poruszony, oburzony i wściekły. – Co się stało? Mogę tylko powiedzieć, że cieszę się, że jesteś teraz w pieczy hrabiego Ardmay. Masz diabelne szczęście, że nic ci się nie stało. Jestem straszliwie zmęczony tajemnicami w tej rodzinie. Podaj mi ten kłębek wełny. Teraz.

Violet, prawdziwa pokutnica, wręczyła mu go pośpiesznie, zamknęła oczy i skuliła się.

Nie zamierzał rzucać wełną w ciężarną siostrę. Cisnął za to kłębkiem przez pokój z imponującą siłą.

Akurat tak, że trafił matkę prosto w spowitą w kosztowny materiał pierś.

Odbił się od niej i potoczył po dywanie, zostawiając po drodze niebieski ślad, aż zatrzymał się potulnie u stóp Violet, jak posłuszny piesek.

Jonathan i Violet zamarli, na pół przestraszeni, na pół, w gruncie rzeczy, rozbawieni.

Matka przez chwilę nie była w stanie się poruszyć ze zdumienia. Potem drgnęła.

– Co ci mówiłam na temat rzucania przedmiotami w domu, Jonathanie? – zapytała opanowanym głosem.

Udał, że się zastanawia.

– Nigdy nie pudłować?

Roześmiała się. Fanchette Redmond zawsze traktowała najmłodszego syna pobłażliwie. Zapewne dlatego, że długo po zniknięciu jego najstarszego brata, Lyona, w ogóle się nie śmiała. A właśnie Jonathan spowodował, że odzyskała tę umiejętność.

– Ojciec chciałby zamienić z tobą słowo, Jonathanie. Nie byłam pewna, czy już wróciłeś, ale jest w bibliotece, jeśli chciałbyś pójść na górę.

– Ach – powiedział.

Ile znaczeń może przekazać jedna sylaba. Ojciec Jonathana był zdecydowanie mniej pobłażliwy niż matka.

– Dziękuję – pamiętał, żeby dodać.

– To tylko słowa, kochanie, nie wyrok[1].

To mu zajęło chwilę.

– Więzienny dowcip, mamo! Dobre! Gratuluję.

Rozpromieniała się. Być może uznała, że Jonathan znalazł się w tarapatach. Później powinno być mnóstwo czasu, żeby to wyjaśnić.

Wstał i przeciągnął się, a wtedy na twarzy matki pojawił się nagły, tęskny grymas, który zaraz zniknął. Wiedział, że to dlatego, że, podobnie jak wielu ludzi, zauważyła, jak bardzo stał się teraz podobny do Lyona.

Przeklęty Lyon.

Kochał brata. Ale wiedział doskonale, że Lyon nie był święty, o czym inni ludzie wydawali się chętnie zapominać, jeśli w ogóle zdawali sobie z tego sprawę. A Lyon zniknął bez słowa, podobno dlatego, że Olivia Eversea złamała mu serce. Wypełniając, czego cała Anglia wydawała się świadoma, pradawne przekleństwo:

raz na pokolenie miłość miała łączyć przedstawicieli obu rodów, Eversea i Redmondów, z tragicznymi konsekwencjami.

Wrogość między rodami tliła się nadal w tym stuleciu, pod powłoczką ogłady (w innym stuleciu, około 1066 roku, rozłupywali sobie ponoć czaszki siekierami), ale zniknięcie Lyona zgadzało się całkowicie z tradycją.

Jonathan podniósł kłębek wełny i w milczeniu podał go siostrze. W przelocie pocałował matkę w policzek, ruszając na górę w nadziei, że przekona ojca do zainwestowania w syna, który nie zamierzał znikać, a co dopiero padać ofiarą klątwy dotykającej ludzi nieszczęśliwie zakochanych.

Nie, zamierzał zdobywać raczej, niż zostać zdobytym.

Posługując się nieodłącznym atutem rodziny: niezmierzonym bogactwem.

3

Gdyby biblioteka ojca była symfonią, z pewnością napisałby ją Bach: wykwintna, uporządkowana, męska. Brązy i kremowa biel, do tego grube, poważne tkaniny – aksamit, wełna, krepa. Najlepsze, żeby tłumić krzyki ofiar Isaiaha, pomyślał z rozbawieniem Jonathan. To tłumienie może nie było szczególnie potrzebne. Ojciec potrafił sparaliżować ofiarę – niepoprawnego syna, być może, albo złego zarządcę – celnym słowem i błyskiem zielonych, szklistych oczu. Niemal jak… Indianin z zatrutą strzałką w ręce.

Jonathan dowiedział się o Indianach, zatrutych strzałach i tym podobnych od brata, Milesa, słynnego podróżnika i badacza, którego kanibale omal nie zjedli na morzach południowych. Jonathan, rzecz jasna, wolał słuchać o namiętnych, ciemnoskórych kobietach, które nie zwykły zakrywać górnej połowy ciała, ale inne rzeczy tkwiły mu w pamięci, jak drobinka kurzu, która przyczepia się do cukierka na podłodze. A Jonathan nie zapominał tego, czego się nauczył.

Jedną z rzeczy, których się nauczył, było to, że Isaiah nigdy nie chybia celu.

Tak samo jak Jonathan. W Pennyroyal Green każdy mógł to potwierdzić. Z pubu Pod Świnią i Ostem przyniósł cztery trofea zdobyte w zawodach w rzutki i miał wiele nagród z zawodów strzeleckich w Sussex.

A nikt nie wiedział, że każda rzutka, wbijająca się w tarczę, trafiała w metaforyczny cel.

Poza tym, poznał ojca na tyle, żeby przewidywać i uchylać się przed strzałami. Pozycja najmłodszego syna miała pewne zalety. Można się nauczyć, czego nie robić, co robić i robić dokładnie to, co się chce. W dużym stopniu rzecz polegała na tym, żeby schodzić ojcu z przysłowiowych oczu, tak aby trzymać się z daleka od jego przysłowiowych myśli.

– Jonathan! – Jego imię, przynajmniej, brzmiało ciepło i serdecznie.

– Dobrze cię widzieć, ojcze.

Isaiah nie zaoferował mu brandy – złowróżbny znak. Czyżby rozmowa miała być krótka i bolesna? Czy sądził, że Jonathan zdążył się już upić? – ale w sytuacji, kiedy na jego nerwach można by grać jak na lutni, tak były napięte, wszystko

wydawało się złowróżbnym znakiem.

– Usiądź, synu. Właśnie przeglądałem korespondencję od niejakiego pana Romulusa Beana, właściciela bawełnianego młyna w Lancaster, tego wystawionego na sprzedaż. Wciąż domaga się dodatkowych szczegółów finansowych. Ile służby zatrudniam, ile im płacę i tym podobne. To wszystko wydaje się dosyć arbitralne, ale niech tam. W końcu go dostanę.

– Książę Greyfolk także interesuje się tym młynem.

Isaiah oparł się wygodnie na krześle i zerknął na syna.

– Czyżby? – Ojciec zamyślił się na chwilę. – Skąd masz tę informację?

– Usłyszałem o tym z jego ust, podczas kolacji w jego domu.

Chwila milczenia.

– Zaproszono cię.

– W istocie. – Nie widział potrzeby wyjaśniania, w jaki sposób dostał to zaproszenie.

Ojciec wchłonął informacje bezsłownie, trybiki jego nieodgadnionego mózgu z pewnością pracowały intensywnie.

– Czy długo będziesz w domu, Jonathanie?

– Wracam do Londynu jutro albo pojutrze, ponieważ przyjąłem zaproszenie w mieście. Chciałem z tobą porozmawiać. I, oczywiście, zobaczyć, jak się miewa Violet.

– Siostra miewa się dobrze. – To brzmiało ostrożnie.

Jonathan podejrzewał, że Violet wykorzystuje ciążę, żeby zapędzać wszystkich do spełniania swoich kaprysów, włącznie z ojcem.

– Promienieje. – Jonathan nauczył się, że to najbezpieczniejszy komplement wobec kobiety w odmiennym stanie.

Kolejne słowa ojca poprzedziła chwila niekrępującego milczenia.

– Co do twojej chęci wstąpienia do Mercury Club, Jonathanie.

Ach, zatem miało być krótko.

– Tak, panie?

– Doskonale rozumiem, dlaczego chciałbyś wstąpić do klubu, jako że wszyscy członkowie korzystają ogromnie z zaangażowania i pieniędzy pozostałych, ale nie widzę, jakie kwalifikacje mógłbyś wnieść do tej wielce szanowanej i odnoszącej sukcesy grupy inwestorów.

Jonathan na chwilę zaniemówił. We wszystkich odpowiedziach, które przewidział i do których się przygotował, ta się nie mieściła.

– No, na przykład… moje nazwisko, na początek. – To miał być żart.

Ponieważ to Isaiah założył klub. I choć Isaiah faktycznie nie kierował grupą, to

miał poważny wpływ na jej działalność i członkostwo.

Ojciec się nie roześmiał.

Jonathan odchrząknął.

– Mam wiele pomysłów, dobrych pomysłów i sądzę, że ty i inni inwestorzy będziecie zainteresowani ich wysłuchaniem. Czy nie mówiłeś zawsze, że pomysły to kapitał?

– A zatem zachowaj swoje pomysły – powiedział ojciec tonem świadczącym, że osobiście mocno w nie wątpi. – Nie sądziłem, że mnie posłuchasz.

Nie tylko, że się go pozbywał.

Pozbywał się go w sposób szokujący.

Jakby Jonathan w ciągu ostatnich lat nie wykazał, że potrafi myśleć samodzielnie.

Doszedł do siebie w miarę gładko.

– Poznałem dżentelmena o nazwisku Klaus Liebman, który opracował metodę druku w kolorze, w dużych ilościach i sądzę, że to doskonała inwestycja.

Wyraz twarzy ojca nie uległ zmianie.

– Druk to… skromny… pomysł, Jonathanie. A Liebman, czy to nie… ten Bawarczyk, którego poznałeś w kasynie? – Ostatnie słowo zabrzmiało ironicznie.

– Pod kasynem – sprostował Jonathan. Ojcu to nie sprawiało zapewne różnicy, ale to nie było to samo. Uratował Klausa Liebmana przed złodziejaszkami, postawił mu drinka, pożyczył trochę pieniędzy i wysłuchał opowieści o jego wspaniałych pomysłach. Klaus miał nadzieję, że Jonathan wróci z Sussex z dobrymi wieściami. – Zdaję sobie sprawę, że to nie brzmi tak pociągająco jak młyn bawełny, ale potencjał jest ogromny.

– Oczywiście, oczywiście – zgodził się łaskawie ojciec. – Czy to pod tym kasynem wdałeś się w bójkę? Podczas której podobno kląłeś na ulicy?

Przeklęty siniak. Całym wysiłkiem woli zmusił się, żeby go teraz nie dotknąć. Ale skąd ojciec o tym wiedział?

– Interweniowałem, żeby pomóc człowiekowi, którego zaatakowano przed Dzikiem i Niedźwiedziem, a to jest pub, a nie kasyno. Przypadkiem znalazłem się w tej okolicy. Trzech łajdaków usiłowało odebrać mu portfel. Uzbrojonych w noże. Miałem szczęście, że straciłem tylko chusteczkę, a nie życie.

Krzyknął wówczas: „Precz od niego, śmierdzące dranie!”. Mogło być mniej dyplomatycznie.

– Oczywiście – powiedział ojciec, jakby to było niepojęte, żeby Jonathan mógł się wdać w bójkę, żeby ratować człowieka – widocznie, w jego mniemaniu, burdy uliczne dawały mu prymitywną rozrywkę.

Jak dotąd, odgrywanie litościwego Samarytanina nie przyniosło Jonathanowi nic dobrego.

Rzecz jasna, nigdy nie zawędrowałby w okolice Dzika i Niedźwiedzia, gdyby nie ten salon, do którego zaciągnął go Argosy.

– Doszło też do mnie, że odwiedzasz dom znanej kurtyzany przy Hanover Square.

Nie wywołuj wilka…

– Ona nie jest…

A niech to. Te trzy słowa zdradziły, że wie doskonale, kogo ojciec ma na myśli.

Ledwie ją znał, a oto znalazła się tutaj, jako temat rozmowy, wprowadzona nie przez kogo innego, jak jego własnego ojca, żeby posłużyć zapewne jako ilustracja braków jego charakteru. Wiedział, że ta dziewczyna to kłopoty.

– Obawiam się, że „odwiedzam” to lekka przesada, ojcze. Byłem w salonie, w którym bywają synowie wielu twoich przyjaciół, jak również liczni pisarze, artyści i poeci, i, owszem, pewna kobieta jest tam gospodynią z ramienia hrabiny Mirabeau. Młoda kobieta, o której mowa, nie jest arystokratką i z tego, co wiem, nie mieszka w rezydencji. Ale jeśli jest kurtyzaną, to nic mi o tym nie wiadomo. W ogóle wiem o niej bardzo niewiele.

Ojciec skrzywił się na dźwięk słów „artyści” i „poeci”, które wydawały się bardziej go niepokoić niż „kurtyzana”. W gruncie rzeczy Jonathan miał podobne odczucia wobec artystów i poetów. Interesowały go konkrety, nie abstrakcje. Wolał działanie, wprowadzanie pomysłów w życie, zamiast rozwiązywanie filozoficznych dylematów, czym wydawało się zajmować plemię adeptów sztuki.

– Jaki rodzaj młodej kobiety odgrywa zazwyczaj rolę hostessy wobec gromady złożonej głównie z mężczyzn, Jonathanie?

– Nie jestem pewien, panie. Może mnie oświecisz?

Milczenie.

A więc… Ojciec nie miał zamiaru śmiać się dzisiaj. Przynajmniej to nie ulegało wątpliwości.

– Jej matka była hiszpańską księżniczką, która uciekła do Anglii po wojnie. – Tak przynajmniej głosiła legenda. – I podejmuje gości w imieniu hrabiny Mirabeau, która jest prawdziwą gospodynią salonu.

– Naturalnie. Ich matki zawsze są hiszpańskimi księżniczkami. A hrabina Mirabeau ma sto pięć lat, jeśli nie więcej. Sądzę, że zachowywała się godnie przez trzy, a wykazywała brak rozumu przez co najmniej pięćdziesiąt.

Hrabina była nierozumna, ale w sposób, który Jonathana raczej bawił. Wydawała się zapominać, w jakich czasach żyje i nigdy nie dawało się

przewidzieć, czy pojawi się w todze, średniowiecznej tunice, czy też w peruce i sukni z turniurą, albo też ubrana zgodnie z najnowszą modą.

– O ile wiem, ma siedemdziesiąt siedem i cotygodniowe spotkania to jej własny pomysł, a wszyscy, którzy tam bywają, zostali przez nią zaproszeni.

Ojciec podniósł lekceważąco dłoń.

– Niezależnie od salonu, pozostaje sprawa lady Winslow.

Jonathan znieruchomiał. To go naprawdę i to nieprzyjemnie, zaskoczyło.

A zaskoczenie przeszło w palący gniew.

Był dorosłym mężczyzną. Miewał dyskretne romanse; nie był hulaką i nie przyniósł wstydu rodzinie. A owdowiała lady Philippa Winslow miała prawo robić, co jej się żywnie podobało; to, co robili razem, nie powinno nikogo obchodzić.

Skąd ojciec mógł o tym wiedzieć? Musiał mieć oczy dosłownie wszędzie.

– Czy byłeś prawiczkiem, kiedy się ożeniłeś, ojcze? Jakoś w to wątpię.

W każdym razie, pragnął, żeby to powiedzieć. Zamiast tego wydusił z siebie:

– Obawiam się, że nie jestem pewien, co to wszystko ma wspólnego z moją chęcią wstąpienia do Mercury Club, panie.

– Nie masz doświadczenia w inwestowaniu, Jonathanie. Chyba, że policzymy wytrwałość w grze w kasynie, nabywanie prezentów dla pewnego rodzaju kobiet albo inwestowanie w czas spędzany na grze w pięć kart i turnieje w rzutki. Członkowie klubu traktowaliby cię z nienaganną uprzejmością, ale mieliby za złe obecność kogoś, kto ani nie posiada dochodów, ani wiedzy, żeby naprawdę przyczynić się do wzrostu kapitału, a za to wykazał się pewnymi słabościami charakteru – i mieliby żal do mnie, że pozwoliłem ci wstąpić do klubu.

Słabości charakteru? Odkąd to bycie młodym, przystojnym i bogatym mężczyzną stanowi słabość charakteru?

A w rzutkach i w grze w pięć kart nikt nie był w stanie mu dorównać.

Spróbował ponownie:

– Wierzę, że mam talent do inwestycji. Ostatecznie, jestem twoim synem.

Pochlebstwo: wypróbowany sposób na zmiękczenie kamiennych serc. Wypowiedziane z dyskretnym wdziękiem.

O tym jego talencie ojciec jednak wiedział niewiele.

Całkiem sporym talencie.

To był nie tylko talent, ale głód inwestycji, głęboka przyjemność z nich płynąca, poczucie, że inwestowanie jest sztuką.

Ten sam głód musiał sprawić, że jego ojciec i ojciec jego ojca zgromadzili fortunę, za pomocą której Isaiah Redmond kontrolował swoją rodzinę – oraz, w taki czy inny sposób, kawał Anglii. Głód, jakiego dotąd nie okazał żaden z jego

pozostałych synów. To zdumiewało nawet Jonathana.

– A w jaki sposób przejawił się u ciebie ów talent? – Ojciec powiedział to niemal pobłażliwie. Jonathan miał ochotę wrzasnąć: „nie mam dwunastu lat!”.

Ale wtedy zachowałby się jak dwunastolatek. Ironia tego faktu nie uszła jego uwagi.

Wbił paznokcie w dłoń.

– Zainwestowałem w ładunek jedwabi i podwoiłem zainwestowane pieniądze.

– Ach. I co zostało z zysku?

– W tej chwili…

W istocie odpowiedź brzmiała: „nic”. Ale nie z takiego powodu, jak wyobrażał sobie ojciec.

Na widok cynicznej satysfakcji na twarzy ojca uznał, że będzie przeklęty, jeśli posunie się do błagania. Albo do bardziej szczegółowych wyjaśnień.

– Jeśli brak ci pieniędzy, Jonathanie, i to jest powód, dla którego pragniesz wstąpić do Mercury Club, to możesz dostać swoją część i więcej z chwilą, kiedy się odpowiednio ożenisz. Ale nie wcześniej. No, ale przypuszczam, że zawsze możesz powierzyć swoją przyszłość kartom.

Słowo „ożenisz” zabrzmiało w jego uszach, jak pierwsze nuty marsza pogrzebowego. Stał się skupiony i czujny.

Przyszło mu do głowy, że jego ojciec może go jeszcze zaskoczyć.

– Co znaczy „odpowiednio”?

Ojciec westchnął.

– Dlaczego to pytanie z twojej strony wcale mnie nie dziwi?

– Wybacz. Może powinienem zapytać, co znaczy „odpowiednio” dla ciebie, ojcze?

Jonathan mówił spokojnym tonem, starając się nie uzewnętrzniać żadnych uczuć.

Ale w pytaniu krył się jad.

A ojciec nie był głupcem. Wyczuwał rebelię jak lis, który wie, że w zagajniku o milę dalej ukrywa się mały gryzoń. Przygwoździł Jonathana zimnym spojrzeniem.

Jednak gniew i, zarazem, ciekawość Jonathana były w tej chwili za silne, żeby dać się zastraszyć.

Pytanie było niezwykle na miejscu. Jego starszy brat, Miles, poślubił wybitnie nieodpowiednią (w mniemaniu Isaiaha Redmonda) Cynthię Brightly i wszelkie oznaki wskazywały, że jest niebywale szczęśliwy i to w charakterystyczny dla Milesa pewny, niewzruszony sposób, sprawiający, że wszystkie jego poczynania wydawały się najsłuszniejsze w świecie. A potem Violet wyszła za mąż, dość

niespodziewanie, ni mniej, ni więcej, tylko za hrabiego, co większość rodziców wprawiłoby w ekstazę, tyle że owym hrabią okazał się kapitan Asher Flint, hrabia Ardmay – podobno półkrwi Indianin o przydomku „Dzikus”, o nieznanym pochodzeniu, wychowany w Ameryce, któremu król nadal tytuł hrabiowski, nagradzając go za jakieś ciemne usługi, z użyciem przemocy najprawdopodobniej.

Podczas gdy jego ojciec całe życie pożądał tytułu.

Zabawne, kiedy się o tym pomyśli. Jako dziecko Jonathan najbardziej na świecie pragnął czarnego ogiera ojca i w nocy starał się, jak mógł, śnić o tym, że go dosiada; zamiast tego śniła mu się jazda na mule albo koźle do rąbania drewna, albo na gałęzi, jeśli w ogóle we śnie na czymś jeździł.

Dla ojca, odpowiednie mariaże dzieci musiały być czymś podobnym. Tak blisko, a jednak tak daleko.

Jednakże nikt nie kwestionował, że hrabia Ardmay jest jedynym człowiekiem na ziemi, który potrafi ujarzmić Violet i dać jej dziecko, choć w stanie odmiennym przyszłą matkę dręczyły mdłości, a ona sama tyranizowała rodzinę.

– Odpowiednio oznacza kobietę, którą zaakceptuję, z dobrej rodziny, najlepiej z tytułem. Z pewnością mogłeś się tego domyślić bez pytania.

Zawiesił znacząco głos.

Jonathan zdawał sobie sprawę, że to całkiem jak w sądzie, kiedy sędzia milczy chwilę przed odczytaniem wyroku.

– W istocie postanowiłem, że wszelkie dodatkowe fundusze, jakie możesz ode mnie otrzymać, będą zależne od tego, czy ożenisz się w ciągu tego roku.

Jonathan znieruchomiał. Jakby jakieś paskudne, wielonogie i jadowite stworzenie, jakie mógłby odkryć albo przynajmniej nazwać jego brat Miles, naturalista, usiadło mu na karku i groziło użądleniem, jeśli się poruszy.

Jak mogłem tego nie przeczuwać?

No, ale jego ojciec był bogatszy o dziesiątki lat doświadczenia w rzutkach, przenośnie rzecz ujmując.

Ludzie, których dosięgnął śmiertelny cios, zazwyczaj padają natychmiast. On czuł się zawieszony.

– Jeśli pragniesz członkostwa klubu i jeśli wierzysz, że masz, jak powiadasz, „talent” do inwestycji, to ja uważam, że dżentelmenom z Mercury Club łatwiej przyjdzie zaufać żonatemu mężczyźnie, Jonathanie. Ostatecznie, małżeństwo oznacza gotowość do wzięcia na siebie odpowiedzialności i prowadzenia domu i wymaga pewnej stałości charakteru.

Na takie banialuki Jonathan zacisnął szczęki, żeby nie parsknąć śmiechem. Picie i hazard praktycznie wymyślono, żeby żonaci mężczyźni mogli odetchnąć, nie

myśląc o swoich żonach – wszyscy o tym wiedzieli.

Mój ojciec naprawdę ma mnie za głupka, skonstatował Jonathan z pewnym zaskoczeniem. Albo, w najlepszym razie, za bezradne dziecko.

Przez chwilę siedział z poczuciem nieznośnej pustki, jakby ktoś wziął łyżkę i pozbawił go wnętrza łyżką jak melona.

Jakże niewiele wie o szczęściu, pomimo Milesa. Pomimo Violet. I Lyona. Wciąż myśli, że może tworzyć szczęście. Swoje własne, oczywiście. Poprzez życie swoich dzieci. Jeśli chodzi o Isaiaha, to różnica między kontrolą a szczęściem była doprawdy niewielka.

– Rok kończy się… za sześć miesięcy.

– Doskonała arytmetyka, synu – stwierdził sucho. – Z pewnością zdołasz zawrzeć umowę z młodą kobietą dobrego pochodzenia i majętną. Wiele za tobą przemawia – nazwisko, pieniądze, wychowanie, uroda. Dziesiątki ślicznych dziewcząt codziennie pojawia się na rynku matrymonialnym. Możemy scementować związek z którąś ze świetnych rodzin.

Lady Grace Worthington, na przykład. A ożenek z piękną dziewczyną z pewnością nie będzie katorgą.

Przemawia?

Wiele za mną przemawia?

Można by się uśmiać, gdyby chodziło o kogoś innego. Ale słuchając, jak ojciec wylicza jego zalety, Jonathan poczuł się prawie tak, jakby wyszedł poza ciało i obserwował z góry, co się dzieje. Był nazwiskiem i twarzą, czy tak? Najmłodszym synem i należało znaleźć mu miejsce, jak… zbędnemu wazonowi. Czy to wszystko, co miał światu do zaoferowania?

Ach, do diabła z Milesem i Lyonem, którzy wyrwali się z żelaznego uścisku Isaiaha Redmonda. Nie bez kosztów, rzecz jasna. Lyon, złote dziecię, dziedzic, przystojny, lubiany, charyzmatyczny, błyskotliwy, przysłowiowy koszyk, do którego ojciec wkładał wszystkie jajka, zniknął bez śladu. Miles dwoił się i troił, żeby zapewnić kolejnej ekspedycji sponsorów, ponieważ odmówił funduszy w związku z jego nieodpowiednim małżeństwem. No i, oczywiście, nie mógł liczyć na ciepłe przyjęcie w domu, w którym Cynthii Brightly w ogóle nie przyjmowano.

Nie będąc w stanie ich ukarać, a w każdym razie nie tak dotkliwie, jakby sobie życzył, Isaiah w stosunku do Jonathana najwyraźniej nie zamierzał zostawiać niczego przypadkowi. I tego, jak sobie uświadomił, w istocie dotyczyła ta rozmowa.

– Chciałbym zauważyć, że ja jeszcze nie zniknąłem, ojcze. Ten fakt z pewnością można policzyć wśród moich zalet.

Ojciec podniósł głowę. Przyszpilił go morderczym wzrokiem.

Wyglądało na to, że w ogóle go to nie rozbawiło. Jonathan naraził się zwłaszcza tym „jeszcze”.

Ale, mój Boże, z jaką satysfakcją to powiedział. Ponieważ jeśli ojciec miał jakieś wrażliwe punkty, to wiązały się one z Lyonem. Jego pięta achillesowa.

Jonathan z niezmąconym spokojem odpowiedział na spojrzenie ojca.

Zamrugaj, draniu, rozkazywał mu w duchu.

– Jestem przekonany, że spełnisz swoją powinność, Jonathanie.

Powiedział to niemal łagodnie. Ale w tych okolicznościach Jonathan uznał, że w życiu nie słyszał równie wzgardliwych słów.

On naprawdę sądzi, że zrobię, co mi każe, pomyślał.

Dobry Boże. On mnie w ogóle nie zna.

Jakie straszne.

Jakie pouczające.

Jakie… potencjalnie użyteczne.

– Brandy, synu?

Jonathan pomyślał z ponurym rozbawieniem, że ojciec przewidział, że w tym momencie konwersacji syn będzie potrzebować czegoś mocniejszego do picia. Isaiah Redmond, niepokonany strateg.

– Dziękuję, ojcze. Lepiej pójdę, żeby sporządzić listę potencjalnych panien młodych. Wiesz, sześć miesięcy minie jak z bicza strzelił.

Odszedł, przesadnie mrugając okiem. Porozumiewawcze mrugnięcia: dokładnie to, czego ojciec nienawidził.

4

*T*ommy wpadła tylko trochę w tarapaty.

Uświadomiła to sobie wyraźnie, kiedy znalazła pod drzwiami kolejny liścik. Dla kogoś innego mógłby wyglądać jak jakiś śmieć, przyniesiony z ulicy pod czyimś butem. Ale nie dla niej.

Zawahała się. A potem chwyciła go zdecydowanie w palce i zaniosła do stołu. Nonszalancko zapaliła lampę, pozwoliła, żeby rozbłysła i oświetliła pokój, a potem usiadła, opierając brodę na dłoniach i wpatrując się w kartkę.

Odwlekając moment, kiedy będzie musiała podjąć decyzję.

Zwykle nie miała nic przeciwko drobnym trudnościom. Zwykle kiedy wszystko szło jak po maśle, czuła się rozdrażniona, pozbawiona celu, wpadała w panikę. A jeśli nie napotykała na swojej drodze żadnych wyzwań, miała wątpliwy dar utrudniania sobie życia. Nie potrafiła inaczej. Zawsze żeglowała pod prąd.

Łup! Łup! Łup!

Krzyknęła. Cały budynek, jakby zbudowano go z wikliny, zakołysał się i zaskrzypiał. Zdążyła złapać lampę, która najwyraźniej szykowała się, żeby zeskoczyć ze stołu.

Łomot ustał.

Uśmiechnęła się.

– Witaj, Rutheford! – zawołała w stronę sufitu.

– Witaj, panienko Tommy! – zahuczał tubalnym głosem.

Rutheford zajmował pokoje na górze i kiedy wracał do domu, cały budynek drżał, skrzypiał i jęczał jak statek na wzburzonym morzu. Był ogromny, a dom postawiono niemal z drewna na podpałkę. Nieczęsto bywał u siebie. Czasami znajdował pracę w dokach, na statku albo na budowie, a czasami znikał na całe tygodnie zajęty czymś dużo ciekawszym i trochę podejrzanym.

Na przykład wtedy, kiedy ostatnio pracował dla niej.

W gruncie rzeczy, podejrzane zajęcia wydawały się jedyną cechą wspólną mieszkańców domu. To tutaj jej matka, chora i bez grosza, zmarła ostatecznie w jeszcze młodym wieku i tutaj Tommy, kiedy ją odnalazła, stworzyła swego rodzaju

rodzinę, bo wszyscy kochali jej matkę. Jej pokoje, małe i ciasne, wypełniało trochę rzeczy, które zostały po matce; wokół rozbrzmiewały odgłosy życia, co w tym domu oznaczało głównie tupanie i stukanie: Rutheford chodził z kąta w kąt, łóżko Maggie tłukło o ścianę, kiedy podejmowała odwiedzających ją dżentelmenów, czwórka dzieciaków Beatty ganiała z hałasem po schodach. I tym podobne.

Tak więc, niewiele miała czasu, żeby odczuwać samotność. A jednak w ciemności, kiedy gasiła lampę, a łomot cichł na noc, czasami czuła się jak rozbitek na tratwie i budziła się w panice, chwytając za brzegi łóżka. Samotność miała dźwięk, a był nim brak łomotów i stuków.

Wciąż unikając przeczytania wiadomości, położyła delikatnie medal na stole, dotykając go palcami dla dodania sobie odwagi. Zeszłej nocy w ogrodzie księcia Greyfolk nie przeszła załamania nerwowego, naprawdę nie. Powiedziała sobie, że to dopiero początek – ponieważ, szczerze mówiąc, nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby nerwy ją zawiodły! Już prędzej niebo spadłoby ludziom na głowy. Jonathan Redmond jej po prostu przeszkodził i tyle.

Wciągnęła głęboko powietrze i pochyliła nad skrawkiem papieru, ściskając czoło rękami.

Ktoś, kto nie miał łatwego dostępu do kartek papieru i atramentu, musiał wyrwać go ze starej książki. Na wąskim marginesie, wypisane z trudem przy pomocy, zapewne, zwęglonego patyka, widniały maleńkie literki:

Będzie czekała na miejscu, które uzgodniliśmy, kiedy uzgadnialiśmy czas.

Rozpoznała staranne, równe pismo kucharki lorda Feckwitha. Nie podpisała się, oczywiście. Podpis mógłby oznaczać jej śmierć. Nie wspominając już o Tommy.

Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Wypuściła powietrze, aż zamigotał płomień lampy.

Czy zrobi to ponownie?

Czy jest w stanie to zrobić?

Ponieważ ostatnim razem… cóż, nie poszło dokładnie tak, jak miała nadzieję.

Potarła ramię w zamyśleniu. Już nie bolało, zostanie nieduża blizna – doktor, którego znała jedynie jako doktora i który już przez to samo wydawał się podejrzany – opatrzył ją w sposób kompetentny. A jednak, kolejny ślad na ciele.

Jedyna blizna, z której zawsze będzie dumna.

Ironia polega na tym, że zapewne mierzyli w Rutheforda, stanowiącego większy i bardziej oczywisty cel. Co to byli za strzelcy, jeśli go nie trafili? Marni strzelcy, gdyby ją ktoś zapytał.

A Jonathan Redmond… wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, na tyle, na ile zdążyła go poznać, z pewnością nie chybiłby celu?

Uśmiechnęła się nieznacznie. Kawał hultaja. Lubiła takich. Podobał jej się mężczyzna, który w rozmowie traktował ją jak osobę, jak kogoś równego sobie, z tej samej bajki. To, że jedno od drugiego niczego nie chciało, dawało poczucie wolności; w stosunkach męsko-damskich to była rzadkość.

Oczywiście, wiele rzeczy, które go dotyczyły, nakazywało czujność. Na przykład szerokie ramiona i kości policzkowe, które przywodziły na myśl blanki zamkowe; to wszystko przyciągało kobiece spojrzenia niczym magnes igły kompasu. Podejrzewała jednak, że było coś jeszcze… nazwałaby to chętnie delikatną nutką cynizmu, rodzajem dystansu, jakby widział rzeczy, o których inni nie mieli pojęcia, jakby wiedział coś, z czego inni nie zdawali sobie sprawy… coś, co skłaniało kobiety, żeby rzucać się w wiry niebezpiecznej miłości. Poza nią, rzecz jasna.

Lubiła odrobinę ryzyka. Inni mężczyźni byli tak obrzydliwie przewidywalni. A Jonathan Redmond budził uczucie podobne do tego, jakie daje pierwszy haust świeżego powietrza po wyjściu z zatłoczonego, zadymionego pokoju. Po prostu go lubiła.

– To dar, który dzielisz ze swoją matką, moja droga – oznajmiła jej kiedyś hrabina Mirabeau. – Mężczyźni bardziej siebie lubią, kiedy przebywają z tobą, tak po prostu jest. Nie bez powodu książę przylgnął do Caroliny. Może i tobie przytrafi się coś podobnego.

Jak się okazało, uboga acz z wielkopańskimi manierami hrabina – która odpłaciła za dobro, jakie spotkało ją ze strony matki Tommy, biorąc na wychowanie niezwykle inteligentną, kipiącą życiem, ale na wpół dziką dziewczynę, jaką Tommy stała się po śmierci matki i zrobiła, co mogła, żeby dać jej ogładę – miała rację. Tommy szybko stała się główną atrakcją środowego salonu w domu hrabiny przy Hanover Square. I nie można powiedzieć, żeby Tommy nie lubiła salonu i zainteresowania, jakie budzi jej osoba. Zdarzyło jej się raz, na krótko, zaspokoić ciekawość i zew krwi, po czym jej wrodzony pragmatyzm – którego z pewnością nie odziedziczyła po matce – położył temu kres; straciła dziewictwo z cudownym chłopcem, który zaraz potem zniknął, co Tommy przyjęła z ulgą. Jak łatwo można ulec porywowi namiętności. A ona nie zamierzała iść w ślady matki i cierpieć tak jak ona.

Jednak pieniądze z rzadkich, skromnych wygranych w karty oraz szyling czy dwa, które biedna, ale dumna hrabina wkładała jej od czasu do czasu w dłoń, rozchodziły się błyskawicznie. Choć przywykła do wyzwań, wyzwanie, jakim stało się samo przeżycie, nigdy nie słabło.

A potem przyszedł prezent w postaci pereł. Kolejny sposób, żeby napytać sobie

biedy. Kolejna decyzja, którą trzeba będzie podjąć. Wkrótce.

Na razie odwlekała tę chwilę.

Ponieważ coś, co powiedział Jonathan Redmond, uświadomiło jej, że może istnieje inny wybór.

Zerknęła na drobne, wypisane węgielkiem literki i odczytała je ponownie; mięśnie jej brzucha napięły się, a rytm serca przyspieszył.

Ach, niech to piekło pochłonie. Zrobi to. Po to się urodziła, bez cienia wątpliwości. Nie mogłaby siebie znieść, gdyby tego nie zrobiła.

Musiała jednak przyznać, że po raz pierwszy, odkąd to się zaczęło… trochę się bała.

Problem w tym, że zaczęła o tym myśleć. A kiedy się już zaczęło, szło się na dno. Kiedyś, w dzieciństwie potrafiła spacerować po wąskiej poręczy schodów w tymże domu, stawiając ostrożnie jedną małą stópkę przed drugą, rozkładając szeroko ręce jak cyrkowy akrobata. W tej samej chwili, kiedy zaczęła się tym zachwycać, zaczęła o tym myśleć, spadła i rozbiła sobie szczękę. Dotąd nosiła małą bliznę.

Nie mogła powiedzieć, że nie podniecało jej to, że przeżyła niebezpieczeństwo. Chodziło jednak o to, że mogła sobie łatwo wyobrazić, jakiego nieszczęścia uniknęła o włos.

Położyła skrawek papieru na stole i wzięła do ręki medal.

– Dowodziłeś całym batalionem – zwróciła się do medalu. – Pewnie strzelano do ciebie dziesiątki, jeśli nie setki razy. A może tak byś mi pomógł? Wiem, że możesz. Czy też myślisz, że jestem szalona i powinni mnie zamknąć?

W ciągu minionych lat odbyła z medalem wiele rozmów. Czasami prawiła mu kazania, a innym znów razem opowiadała, co ją spotkało tego dnia. Medal zawsze był pełen miłości, żalu i ciepłych uczuć, choć w głębi duszy wiedziała, że to niezbyt prawdopodobne. Ale co w tym złego, jeśli na chwilę pozbyła się ciężaru swego pragmatyzmu? To była jej słabość, jedna z bardzo nielicznych.

– Dzięki, że mnie wysłuchałeś… – szepnęła – …tato.

Ile razy by nie wymówiła tego słowa, zawsze miała wrażenie, że nie ma do tego prawa.

Cyganie, jako Cyganie, byli zwykle w drodze, więc nie zawsze dało się znaleźć ich obozowisko koło Pennyroyal Green, a często trudno ich było w ogóle złapać, wyślizgiwali się jak żywe srebro, zwłaszcza, kiedy nadchodziła pora końskiego targowiska w Cambridge. Ale Jonathan dostrzegł w oddali dym z ogniska i nie przestając manifestować swojej niechęci wobec tego pomysłu, uznał, że spełni

życzenie Violet, zanim wróci do Londynu. Następnego dnia zapakowali ją jak dmuchane szkło i powieźli w karecie z dobrymi resorami; ciągnęły ją cztery konie – tak wolno i delikatnie, jakby miały artretyzm i kulały.

To była długa podróż.

W każdym razie dla Jonathana.

Leonora Heron wychynęła z namiotu w obozowisku, kiedy usłyszała skrzypienie kół powozu; wytarła ręce o fartuch, uśmiechnęła się na powitanie i dygnęła.

Ambitna kurtyzana, jej córka – jeśli Cyganki można za takowe uznać – wyjrzała zza jej pleców, otwierając szeroko oczy barwy księżyca w porze zbiorów. Zwykle odęte pogardliwe usta ułożyła w zmysłowy grymas i okręciła na palcu pasmo czarnych kędzierzawych włosów.

Jonathan starannie unikał jej spojrzenia.

– Tarota postawić, bracie? – powiedziała, oferując odczytanie jego losu z kart.

– Ja tylko eskortuję siostrę. Więc, proszę, trzepocz rzęsami w innym kierunku.

– Jonathan! – zawołała karcąco Violet.

– Martha! – krzyknęła gniewnie Leonora Heron. W obu wypadkach na próżno.

– Ale dlatego tu dzisiaj jesteśmy, pani Heron. Czy zechciałaby pani powróżyć hrabinie z liści herbaty? – zapytał z naciskiem Jonathan.

– Z największą chęcią. – Pani Heron zaprosiła ich gestem do środka. W namiocie owionął ich natychmiast zwykły, czysty i przenikliwy zapach ziół. Pani Heron mruknęła coś i znalazła krzesło, na którym Violet mogła bezpiecznie usiąść i wszyscy razem pomogli jej się usadowić.

Zaparzyła herbatę dla Violet, która upiła łyk. A potem Leonora zakręciła filiżanką, delikatnie wylała resztę na spodeczek, przyglądając się uważnie liściom, które opadały na dno, żeby wyczytać z nich przyszłość.

– Liście ułożyły się w kształt harfy; to wróży harmonię i szczęście. – Leonora podniosła głowę, uśmiechając się. – Miło mi to powiedzieć.

– Będzie łamać serca! – krzyknęła nagle Martha zdziwionym głosem. Stała z tyłu namiotu, skrzyżowawszy ramiona w taki sposób, że jej piersi uniosły się niemal do obojczyka.

Violet obróciła się, żeby na nią spojrzeć.

– Ona? Myślisz, że urodzę dziewczynkę? Będę miała dziewczynkę?

Martha wzruszyła jednym ramieniem.

Twarz Violet rozjaśniła się z zadowolenia i cudownie było na to patrzeć. Jonathan ucieszył się. A potem, co było do przewidzenia, odwróciła się do Jonathana z miną: „A nie mówiłam!”.

– Będzie łamać serca – powtórzyła Martha, jakby była w transie. Nie była.

Napawała się po prostu dramatycznym efektem, jaki wywarła jej przepowiednia. W tym samym czasie powiodła spojrzeniem wielkich, okrągłych oczu wokół postaci Jonathana, tak intensywnie, że nie mógł tego nie zauważyć, a kiedy zauważył, dotknęła lekko warg językiem.

Jonathan o mało nie skrzywił się z gniewem. Zadowolił się zmarszczeniem brwi i całą uwagę zwrócił ponownie na Violet.

– Cóż. – Violet przeżywała to, co usłyszała. – To brzmi prawdopodobnie, czyż nie? To o łamaniu serc? Redmondowie tacy są.

– Ty przed ślubem nie tyle łamałaś, co zniewalałaś i przerażałaś je, czyż nie tak było, Violet?

– Szaaa. – Nie zmieszała się ani trochę. – Czy to wszystko, co pani widzi, pani Heron?

Martha odwróciła się wówczas do Jonathana, który – później tego żałował, ponieważ Violet przedrzeźniała go ciągle ku rozbawieniu jego brata, Milesa i jej męża, hrabiego – w obronnym geście zasłonił sobie twarz rękami, jakby chciał jej w ten sposób uniemożliwić wejrzenie w głąb swojej duszy.

– Ty… wszędzie dzieci. – W głosie Marthy brzmiało zdumienie. A potem zatoczyła obszerny krąg ramionami na wypadek, gdyby słowo „wszędzie” nie było dostatecznie przerażające.

Jonathan odwrócił się powoli i posłał siostrze palące spojrzenie: „A nie mówiłem!”.

– Nie jest pomocna w żaden sposób. Jedziemy?

– Jonathan, poczekaj. – Violet nie była jeszcze usatysfakcjonowana. – Spróbuję pomóc. Ile dzieci, Martho?

– Może dziesięcioro. Może setka. – Martha wzruszyła obojętnie ramionami.

Przewrócił oczami.

– Nie potrafisz nawet liczyć?

– Martho, ile to jest? – Violet pokazała dziesięć palców. – Będzie miał tyle dzieci? A może tyle? – Jeszcze raz podniosła dłonie.

– Myślę, że raczej tyle. – Martha rozłożyła obie dłonie z dziesięć razy.

– Przestań! Przestań natychmiast! – zażądał rozgniewany Jonathan.

Violet parsknęła śmiechem, a Martha, zachęcona, ciągnęła, zachwycona, że okazała się taka zabawna. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt…

Jonathan wrzucił szylinga do pustego spodka; moneta zabrzęczała i zakręciła się parę razy. Jonathan wybiegł gwałtownie z namiotu, zachłystując się świeżym powietrzem; w uszach dźwięczał mu śmiech Cyganki.

A potem przypomniał sobie, że siostra nie wstanie bez pomocy, więc, rujnując efekt swojego wyjścia, wpadł z powrotem do namiotu, pomógł delikatnie Violet podnieść się i wyprowadził ją spokojnym krokiem na zewnątrz i w stronę powozu, zanim zaczął na nią krzyczeć.

– Dziękuję! – zawołała śpiewnie, wychodząc.

Jonathan oparł się o karetę, krzyżując ramiona.

– Dlaczego moje cierpienie tak cię bawi?

– Jonathan… to tylko… dlaczego miałbyś cierpieć? Pewnego dnia będziesz musiał o coś zadbać. Dlaczego nie o dzieci?

Wpatrywał się w nią, jak rażony piorunem. Otworzył usta. Zaschło mu w gardle i nie zdołał wydobyć głosu.

Kiedy w końcu go odzyskał, wypadł chrapliwie.

– Muszę… zadbać? Muszę zadbać? Czy nikt, do krocset, mnie nie zna? Naprawdę sądzisz, że o nic nie dbam, jak powiadasz?

Violet skrzywiła się.

– Przepraszam. Przepraszam. Dobry Boże! Przepraszam! Cicho! Nie chciałam cię doprowadzić do apopleksji. Ciąża osłabiła moje władze umysłowe.

Zamilkł, wypuścił z ust powietrze, zerwał kapelusz z głowy, przeczesał włosy palcami i wsadził kapelusz z powrotem.

– Będzie ci później brakowało tej wymówki – stwierdził ponuro.

– Znajdę inną – powiedziała uspokajająco.

– Przykro mi, że krzyczałem – dodał sztywno. Schylił się, zwracając się do jej brzucha: ciebie też przepraszam. Wszyscy wiedzą, jaki ze mnie wesoły Redmond. Twój wujek Jonathan. Zapytaj, kogo chcesz.

– Tylko… nie możesz ciągle żyć w ten sposób, Jonathanie. Hazard, bale, polowania, wyścigi, ten niesławny salon, gdzie bywasz ostatnio. Ustawiczna frywolność. Czy to ci naprawdę przynosi satysfakcję?

Spojrzał na nią niedowierzająco.

– A dlaczego, do diabła, nie? Owszem, daje mi „satysfakcję”! Nikogo nie krzywdzę…

– Przypuszczam, że to zależy, kogo zapytać. Na przykład Marianne Linley.

– …Jestem nadal młody. Lubię rzeczy takimi, jakie są. To proste. I nie widzę wokół siebie za dużo małżeńskiego szczęścia. Czy myślisz, że matka i ojciec są szczęśliwi? Lyon zniknął w związku z aferą miłosną. Widzę mnóstwo zamieszania i walki w imię miłości. A Marianne Linley źle zrozumiała dwie konwersacje i dwa tańce – przy różnych okazjach, zechciej zwrócić uwagę – uznając je za wyraz namiętności.

Ale najpierw widziała, jak tańczę z lady Grace Worthington, taką samą ilość razy, a wiesz, co wszystkie młode kobiety myślą o lady Grace. Zapewniam cię, że nie było żadnej namiętności i niczego jej nie sugerowałem.

– Może nie doceniasz swojej atrakcyjności.

Jonathan zdumiał się.

– Czy to był… komplement?

– Obawiam się, że raczej ostrzeżenie.

– Naprawdę bardziej mnie interesuje lady Grace Worthington, jeśli musisz wiedzieć.

– Czyż wszyscy nie są nią zainteresowani? Czy nie tego się po tobie spodziewają?

Jonathan zawahał się, a potem lekko uśmiechnął. Wiem, że powinienem, powiedział Tommy pod wielkimi oknami księcia Greyfolk – prawie, ale nie całkiem przez szelmowską przekorę – kiedy jej oznajmił, że nie zdecydował jeszcze, czy uznać ją za atrakcyjną. Była zaszokowana, a potem szczerze rozbawiona. Na Boga, to mu się podobało. Kimkolwiek by była, dobrze się czuła we własnej skórze.

– Wszyscy interesują się lady Grace i nie bez powodu. Porównują się z nią wszystkie dziewczęta. Wzbudziła w nich ducha współzawodnictwa, nawet w tych nieśmiałych.

Zawsze pojawiała się taka dziewczyna. Co sezon.

Violet wzruszyła ramionami.

– Jeśli komuś to się podoba.

„To” miało niebieskie oczy, złote włosy i twarz jak z kamei.

Rzucił jej ironiczne spojrzenie.

– A tak w ogóle, to dlaczego dzisiaj ciągle wrzeszczysz i przeklinasz?

Zawahał się.

– Właściwie mogę ci powiedzieć. Papa odmówił mi pensji.

Cisza.

– Och, nie.

– Jest jeszcze gorzej. Mam się ożenić w ciągu sześciu miesięcy – a przynajmniej zaręczyć – albo odetnie mnie od wszystkich funduszy. Ożenić odpowiednio, jak możesz sobie wyobrazić.

– Och, nie. – Teraz wpadła w przerażenie.

Przez chwilę cieszył się szczerym współczuciem Violet. Choć mogło zawierać odrobinę kpiny, bo siostra uwielbiała sprzeczności.

– Z czego to wynikło, Jonathanie?

Zastanowił się, czy jej nie powiedzieć o Mercury Club, Klausie Liebmanie, kolorowej prasie drukarskiej i może także o Tommy de Ballesteros, ale mocno podejrzewał, że to wszystko doprowadzi ją do łez, z wyjątkiem tego ostatniego.

A to ostatnie w szczególności chciał, z jakiegoś powodu, zatrzymać dla siebie.

– Podejrzewam, że chce stłumić w zarodku wszelkie moje próby… ożenku z miłości – zaśmiał się niewesoło.

– Jedna przygoda z wdową – a uważam, szczerze mówiąc, że to wyłącznie moja sprawa – i już myśli, że stoję na skraju przepaści.

Miewał przygody z innymi wdowami, ale nie zamierzał ich wyliczać przed Violet.

– Wiesz, można by sądzić, że papa się nauczy. Ciągle czegoś zabrania i ustanawia jakieś reguły, a wszyscy postępują dokładnie odwrotnie, a co najmniej nie przyjmują jego życzeń do wiadomości.

– Całe życie, Violet. Małżeństwo zawiera się na całe życie. Możesz być teraz szczęśliwa. Miles może być teraz szczęśliwy. I ja jestem teraz szczęśliwy. I zamierzam żyć długo. Nie potrzebuję żony, a co dopiero tuzina dzieci w najbliższym czasie. Szczerze mówiąc, nie widzę, w jaki sposób mogłoby się to przyczynić do mojego szczęścia.

– Dzieci zwykle nie przychodzą na świat w dużej liczbie naraz, chyba że jesteś wiejskim kotem.

Jonathan parsknął.

– I rozumiesz, że sam byłeś kiedyś dzieckiem?

– Tak, ale miałem dość rozsądku, żeby wyrosnąć na taki wspaniały okaz mężczyzny, jakim jestem teraz.

Podniosła oczy ku niebu.

– I rozumiesz, że ja będę miała dziecko?

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby je znosić.

Uśmiechnęła się, wiedząc, że mogłaby zastąpić słowo „znosić” słowem „rozpieszczać” i wtedy byłaby bliżej prawdy.

– Skąd wiesz, że jesteś szczęśliwy, Jonathanie? Wiesz, Jonathanie, zanim wyszłam za mąż, nie byłam szczęśliwa. Nawet o tym nie wiedziałam. Nie byłam w stanie sobie tego wyobrazić. Miałam tylko wrażenie… – przerwała.

– Mów dalej.

– Że oszaleję, dusząc się we własnym ciele. I od tego, że jestem ciągle obserwowana. Wybacz, również przez ciebie! Jonathanie, powinieneś wiedzieć, że teraz jestem szczęśliwa, a nigdy się tego nie spodziewałam. No, jasne, część tego szczęścia wzięła się z wyobrażania sobie miny papy, kiedy Asher poprosił o moją

rękę. Ale jestem szczęśliwa. Myślę, że zakochałam się w nim, jak tylko go zobaczyłam.

– Zgaduję, że musiałabyś za niego w końcu wyjść, czy był dla ciebie odpowiedni, czy nie.

Milczała, zaszokowana. Szczęka jej opadła.

– Uchodzi ci mówienie najokropniejszych rzeczy! Mama chyba za bardzo ci pobłażała.

Oboje zwrócili uwagę, że jednak nie zaprzeczyła. Może to z powodu fioletowych cieni pod jej oczami, ale powstrzymał się od dopytywania się, jak poznała hrabiego i czy dowiedziała się czegoś o rzekomej pirackiej działalności Lyona. To byłaby antyteza wszystkiego, czego chciała Olivia Eversea, bojowniczka o słuszne sprawy. A poza tym, gdyby wiedziała coś o Lyonie, Jonathan wątpił, żeby zdołała zachować to dla siebie. Nie przezwyciężyłaby pokusy, żeby udowodnić, że miała rację.

A zatem milczał.

– Chcę tylko powiedzieć, Jonathanie… zrozumiesz różnicę, kiedy będzie ci na czymś naprawdę zależało.

Naprawdę poczuł się skruszony.

– Wybacz, Violet. To było dosyć chamskie, nawet jak na mnie. Może ojciec ma rację. Może potrzebuję wędzidła. Cieszę się, że jesteś szczęśliwa. Przypuszczam, że mogę doświadczyć miłości od pierwszego wejrzenia w czasie wyznaczonym przez ojca. Los często dostosowuje się do ludzkich planów.

– Nie, ojciec nie ma racji – powiedziała z irytacją. – Nie chciałabym, żebyś się zmienił. Nie lubię zmian, tak samo jak ty. Lubię cię takiego, jakim jesteś. I chciałabym, żebyś został dłużej w Pennyroyal Green. Zostaniesz?

Niepokojące, ten nagły pokaz uczuć u Violet. Ale, cóż, ciąża była jej wymówką.

– Oczywiście, że mnie lubisz. Jak mogłoby być inaczej? Chciałbym zostać, ale muszę zawiadomić Bawarczyka o porażce. Wrócę, jak tylko będę mógł.

Pocałował ją w policzek i ku jej zdumieniu, ledwo był w stanie ją objąć. A on nie mógł zwalić tego na ciążę.

5

Książę był, oczywiście, blisko poręczy, odgrodzony od rozbawionego, rozkrzyczanego tłumu przez kilku nienagannie ubranych akolitów, którzy na zmianę albo kiwali poważnie głowami, albo odchylali je do tyłu, wybuchając śmiechem, najwidoczniej w zależności od tego, co akurat książę raczył powiedzieć.

Jakże Tommy chciałaby wiedzieć, co mówił.

Miał się odbyć tylko jeden bieg, zorganizowany naprędce, wyłącznie po to, żeby przekonać księcia Greyfolk do kupna jednego z koni. Tor był krótki, prosty, bez formalnych przeszkód; to nie był sezon wyścigów, ale wieść o rozrywce i możliwości robienia zakładów rozniosła się lotem ptaka i zebrał się zachwycony tłum. Pojawił się nawet, zwietrzywszy dobry interes, straganiarz z wózkiem jabłek.

Tommy od dawna opanowała sztukę niezauważalnego wtapiania się w tłum. Mała, zwinna, kręciła się między ludźmi, nikomu nie zawadzając, niczym powiew wiatru albo cień. Przebrała się na tę okazję – w ostatni krzyk mody, stożkowaty, skrywający twarz słomkowy kapelusz oraz nijaką brązową suknię i płaszcz; była pewna, że nikt nie spojrzy na nią dwa razy. Ściskała medal w zaciśniętej pięści i już miała podejść bliżej, kiedy pojawiła się jedyna rzecz zdolna oderwać jej wzrok od księcia.

Uśmiechnęła się.

Samo przyglądanie się, jak Jonathan Redmond się porusza, sprawiało zmysłową przyjemność. Jego wzrost, postawa, dopasowany strój – przywodziły na myśl piękne, dzikie zwierzę poruszające się na swoim terenie łowieckim. Zabawnie było także obserwować, jak robi dokładnie to, co ona przed chwilą, choć bardziej brutalnie: zajął miejsce przy torze wyścigowym w odległości nie większej niż dziesięć stóp od księcia.

Przypuszczała, że będzie zręcznie manewrować tak, aby znaleźć się bliżej księcia, tak aby móc z nim porozmawiać, a książę nie mógł udawać, że go nie widzi.

Tę rozmowę chciała usłyszeć.

Prześlizgnęła się do tyłu przez tłum, okrążając stragan, kiedy nagle usłyszała

wściekły krzyk.

Okrągły jak beczka straganiarz chwycił za rękę chuderlawego chłopca, potrząsając nim brutalnie, póki dzieciak nie wypuścił z dłoni ukradzionego jabłka.

Drań nadal szrpał chłopaka. Jakby chciał wytrząsnąć wszelką myśl o kradzieży z wynędzniałego, głodnego ciała.

Tommy rzuciła się ku nim, ale zatrzymała gwałtownie.

Ktoś inny trafił tam pierwszy.

– Dlaczego go teraz nie puścisz?

Jonathan odezwał się przyjemnym, niemal łagodnym, spokojnym głosem, ale było w nim coś, co sprawiło, że Tommy zjeżyły się włoski na karku i przez chwilę straciła oddech. Zastanawiała się, czy straganiarz usłyszał groźbę.

– Przeklęty mały złodziejaszek! – Potrząsnął nim znowu. Chłopiec zapiszczał, jego oczy zakręciły się jak kostki do gry.

– Tak, ale upuścił jabłko, więc możesz przestać nim potrząsać. Już. – Głos Jonathana był aksamitny i ponury.

Chłopiec wydał dziwny, bulgoczący dźwięk. Straganiarz wysunął buntowniczo dolną wargę i znowu nim potrząsnął.

Zanim ktokolwiek zdążył sapnąć, Jonathan wysunął ramię, chwycił mężczyznę za nadgarstek i mocno go wykręcił.

Tamten wrzasnął z szoku i bólu i puścił chłopca, który umknął w tłum niczym pająk.

Wściekły sprzedawca odwrócił się do Jonathana, biorąc zamach.

Tommy sapnęła, kiedy Jonathan odskoczył w tył. Nie dość szybko jednak; pięść tamtego otarła się o bok jego głowy.

Łatwo odzyskał równowagę. Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie, dysząc ciężko.

Potem Jonathan schylił się, żeby podnieść jabłko i podał je straganiarzowi w milczeniu. Znacząco.

Tommy była poruszona do głębi. Niewyobrażalne, że akurat Jonathan Redmond ratuje z opresji biednego ulicznika.

Fascynujące.

I potencjalnie użyteczne.

Jonathan ruszył z powrotem. Ale bieg już się skończył, a książę i jego świta odjechali.

– Niech to diabli – powiedział gniewnie.

Tommy, obok niego, od niechcenia wyciągnęła chusteczkę.

– Trochę krwawisz. – Wskazała kącik ust.

Przyjął chusteczkę, nie okazując zaskoczenia.

– Kiedy się nauczę, że nie warto bawić się w Samarytanina? – Potem przyjrzał się Tommy. Na jego twarzy pojawił się wyraz tłumionego rozbawienia.

– Cóż, popatrzmy, panna de Ballesteros. W tym całym…. – Przyglądał się kapeluszowi, który niemal zakrywał jej twarz, długiemu brązowemu szalowi i wydawał bawić coraz lepiej. W końcu zdecydował się na słowo – …brązie, można by pomyśleć, że nie chcesz, aby cię rozpoznano.

Sucho powiedziane.

Wskazała tylko kącik własnych ust.

– Odważne z twojej strony, że się wtrąciłeś.

Wzruszył ramionami.

– Albo głupie. Sama wybierz przymiotnik. Ten człowiek był trzy razy większy od chłopca. – Dotknął ust chusteczką, a potem odsunął ją, żeby się przyjrzeć.

– Och, zaledwie kropla, czy dwie, krwi. Pewnie małe skaleczenie wewnątrz wargi. Doskonale. Dzięki. Moja siostra zwykle zaopatruje mnie w haftowane chusteczki, ale tym razem dałem swoją…

Podobał jej się sposób, w jaki wymówił słowo „siostra”. Brzmiało w nim uczucie, opiekuńczość, cierpliwość.

Przesuwał w roztargnieniu kciukiem w rogu chusteczki, tam, gdzie powinny być wyszyte inicjały.

Nie to, żeby zamarł. Na to był zbyt czujny. Ale widać było, że coś zwróciło jego uwagę.

Zamiast inicjałów Tommy natrafił na maleńkie dziurki, skąd wypruto cudze inicjały.

Kiedy wreszcie podniósł wzrok, jego twarz była pozbawiona wyrazu. Ale w oczach pojawił się cień wątpliwości.

Nabyła tę chusteczkę od niejakiej pani Bandycross w St.Giles. lata temu, w innych czasach. Pani Bandycross zajmowała się handlem kradzioną bielizną. Pensa za chusteczkę. Złodzieje je przynosili, ona wyciągała haft i sprzedawała.

Jonathan zapewne się tego domyślił.

– Postawiłeś na coś w wyścigu? – zapytała pospiesznie, bez zająknięcia. Ale serce biło jej szybciej. Niech go diabli, że taki jest spostrzegawczy.

– Założyłem się, że zdołam porozmawiać z księciem. I przegrałem. – Wydawał się trochę roztargniony. Wciąż patrzył na nią w zamyśleniu. – Dlaczego go szpiegowałaś?

– Nie szpiegowałam. – Powiedziała to odruchowo i po niewczasie uświadomiła sobie, że zachowała się jak dziecko.

Westchnął.

– Oj, tak. Widziałem, jak wpatrywałaś się w niego zachłannie spod tego niezbyt pięknego nakrycia głowy. Czułem, jak na niego patrzysz…

– Wcale…

– Och, na Boga. Daj spokój, panno Ballesteros. – Bawił się setnie. – Tym razem, przynajmniej, nie masz broni.

Nie sposób było się do niego nie uśmiechnąć. Hultaj.

– Może dlatego, że tym razem nie skradałeś się za mną.

– Nie, tym razem raczej na odwrót, czyż nie? Odwróciłem się, a ty stałaś za mną przy wózku straganiarza. Prawie tak, jakbyś dokładnie wiedziała, gdzie jestem. Podejrzewam, że zobaczyłem cię, ponieważ tego się spodziewałem.

Kolejne śmiałe stwierdzenie.

Nastała chwila interesującej, niejednoznacznej ciszy. Kryło się w niej ciche porozumienie co do tego, że oboje dokonali pewnego wysiłku, żeby dostrzec się nawzajem w tłumie.

Że byli świadomi swojej obecności wśród morza obcych.

Przyglądali się sobie, dwoje pewnych siebie, pięknych ludzi, nie zdradzając swoich myśli.

Nie zamierzał mrugać, Jonathan Redmond. Szkoda.

Minęła ich jakaś kobieta, zerknęła na Jonathana, a potem potknęła się o własne stopy, odwracając głowę do tyłu.

Jonathan nie wydawał się tego zauważyć. Prawdopodobnie to się zdarzało codziennie. Pewnie na tyle często w jego świecie, że sądził, że to się zdarza każdemu.

– Książę jest bogaty – odezwał się Jonathan, odrywając w końcu od niej oczy i spoglądając w stronę bieżni. Tłum szybko się rozpraszał. – Jest jednym z najbogatszych na tym kontynencie. Wyobrażam sobie, że może sobie pozwolić, na co mu się podoba. Rzeczy rzucające się w oczy. Powiedzmy, najlepszą lożę w operze. Najwspanialsze konie i powozy. Najpiękniejsze kochanki. I tak dalej. – Zerknął na nią z ukosa.

Przewróciła oczami na tę próbę pociągnięcia jej za język – ku jego widocznemu rozbawieniu.

– Do jakiej inwestycji chcesz namówić księcia, panie Redmond?

– Na spółkę biznesową – odparł zwięźle. – Dlaczego? Masz na zbyciu furę pieniędzy, którą chciałabyś zainwestować?

To było cięte. Och, szelma. Był za sprytny dla swojego – i jej – dobra. Nadal zaciskał w dłoni jej nieszczęsną, zakrwawioną chusteczkę. A jednak w tym, co mówił, nie było cienia oskarżenia.

– Interesuje mnie sztuka robienia pieniędzy. – To przynajmniej było prawdą.

– Cóż za zbieg okoliczności. Kolejna rzecz, która nas łączy. To, oraz hobby śledzenia księcia Greyfolk.

Roześmiała się, znowu sprawiając mu ogromną niespodziankę.

Ale czuła rosnący niepokój; odżywała jej wrodzona nieufność. Naprawdę powinna położyć kres tej rozmowie. Była zbyt uczciwa.

Spięła się, żeby odejść.

A jednak wydawało się, że nie jest w stanie tego zrobić, kiedy twarz Jonathana nadal rozświetla uśmiech. Jakby jej śmiech stanowił nagrodę, którą zdobył.

– Och, spójrz! – wykrzyknął nagle, patrząc na jej stopy. – Upuściłaś coś? Coś czerwonego?

Schylił się, a ona rzuciła się, podnosząc medal z ziemi, zanim zdążył zobaczyć, co to jest.

Jej serce biło gwałtownie.

Przyglądał się jej, marszcząc lekko brwi.

– Hej! Redmond! – dobiegł wesoły, męski głos z rzedniejącego tłumu.

Jonathan odwrócił się.

A Tommy, która miała wprawę w pojawianiu się i znikaniu w najbardziej odpowiednim momencie, umknęła równie szybko jak mały ulicznik, niedoszły złodziej jabłka.

Nikomu by się nawet nie śniło, że to ona.

Z jakiegoś powodu uśmiechała się prawie całą drogę do domu.

6

Następnego rana Jonathan rzucił monetą, zostawiając losowi decyzję, czy pójść najpierw do Klausa, przekazać mu wieści o tym, że pieniędzy nie będzie, patrzyć, jak jego promienna, pełna nadziei twarz posępnieje, znieść gwałtowny potok niemieckiej wymowy, czy też spędzić popołudnie, ratując Argosy'ego przed samym sobą.

Nie ucieszył się specjalnie, kiedy wgrał Argosy.

Ponieważ Argosy wydawał się czerpać swobodnie z pełnych szkatuł ojca, które wydawały się nie mieć dna i wolno mu było ożenić się, z kim miał ochotę, Jonathan pożałował, że nie poszedł prosto do Klausa. Z kolei, nigdzie w Londynie niedane mu było zaznać ukojenia, podczas gdy miecz Damoklesa wisiał mu nad głową.

Jednak kiedy Argosy i Jonathan wchodzili gdzieś razem, kobiety zbierały się zwykle przy nich niczym migrujące gęsi. Argosy, jasnowłosy, zgrabny, piękny, jak przystało na potomka pokoleń pięknych ludzi, który żenili się z pokoleniami pięknych ludzi, dziedzic wicehrabiego. Udoskonalił sztukę *ennui*, eleganckiego znudzenia życiem, tak że każda kobieta marzyła, żeby ożywić go namiętnością i chętnie podejmowała ryzyko – erotyczne – żeby to osiągnąć. Argosy nigdy ich nie zniechęcał. Biorąc pod uwagę towarzystwo, w którym się obracasz, powiedziała Tommy w ogrodzie księcia Greyfolk; z pewnością miała na myśli właśnie Argosy'ego.

Tommy była w tej chwili obiektem jego niestosownej obsesji.

Rok wcześniej hrabina Mirabeau uznała, że czuje się samotna i zamiast chodzić po ludziach, albo wydawać przyjęcia, jak postąpiłaby większość rasowych arystokratów, zaczęła zapraszać gości, którzy ją bawili, żeby się nią zajmowali. Podziwiany poeta, zabawny malarz, jeden czy dwóch znanych myślicieli (chociaż myśliciele szybko znudzili się rozmową z poetami) albo córka sławnej kiedyś kurtyzany (to byłaby Tommy) – i spotkania w jej salonie szybko stały się modne. W związku z tym młodzi arystokraci pojawiali się w nim obowiązkowo.

A poznawszy Tommy, wracali. I przynosili coraz lepsze trunki, ponieważ

hrabina miała świetny tytuł, ale skromny i szybko niknący majątek.

I tak narodził się cotygodniowy Salon.

To był drugi powód, dla którego Jonathan nie miał dziś szczególnej ochoty odwiedzać Salonu: Tommy mogła być intrygująca, ale on znał jej prawdziwe oblicze: kłopoty.

W salonie dźwięczały głębokie barytony i cichy kobiecy śmiech. Poeta aspirujący do sławy Byrona stał w kącie, gestykulując dziko, podczas gdy inny mężczyzna, pisarz o zbyt długich włosach – tak jakby głębokie myśli za bardzo go zajmowały, żeby miał czas je obciąć – słuchał, kiwając głową na zgodę. Malarz o nazwisku Wyndham, który podobno namalował portret Tommy, ale wcześniej, jak wiedział Jonathan, wyprodukował serię barwnych i śmiałych dzieł sztuki dla burdelu Pod Aksamitną Rękawicą, stał obok nich, nie starając się ukryć znudzenia i niedowierzania – i za to Jonathan go polubił.

Był tam jeszcze lord Prescott, który zbliżał się podobno do trzydziestki. Starszy od pozostałych, za chudy jak na swój wzrost, opierał się o ścianę, samotny i nieruchomy – z wyjątkiem oczu. Nie spuszczał ich z Tommy.

I jak dotąd, wydawał się jedyną osobą, której starannie unikała.

Interesujące.

Prescott był wicehrabią. Bogatym. Nieżonatym.

– Raczej oschły typ – określił go kiedyś Argosy, spotkawszy go kiedyś w towarzystwie. Wyrok, w istocie.

Hrabina Mirabeau zasiadała w innym kącie, obok dużego marmurowego kominka, ozdobionego, zdaniem Jonathana nadmierną ilością cherubinków. Ich pucołowate policzki i pośladki pięły się po ścianie, tworząc niewielki, zmysłowy łuk. Dzisiaj hrabina występowała w todze, wieńcu na głowie i sandałach.

– Grecka moda, czy tak, pani? – zagadnął ją wcześniej.

– *Carpe diem*, panie Redmond. *Carpe diem*.

– Postaram się *carpe*, dziękuję. Miło widzieć panią w tak dobrej formie.

– Ciebie również, młody człowieku. Ale czy nie ubrałeś się za grubo? Czy nie byłoby ci wygodniej w todze?

– Bez wątpienia – zgodził się. – Może następnym razem.

Zastanawiał się, czy się nie przenieść w drugi koniec sali, żeby pogawędzić teraz z hrabiną, ponieważ jej łagodne szaleństwo bardzo odpowiadało jego nastrojowi, kiedy Argosy powiedział:

– Chodź jutro ze mną do Tattersalla, Redmond. Przydałaby mi się twoja rada co do nowej klaczy.

Argosy usiłował go wyciągnąć z coraz bardziej obezwładniającej melancholii.

– Poszedłbym, gdyby nie to, że Tattersall jest bardziej torturą niż przyjemnością, kiedy nie ma się grosza przy duszy.

– To tak samo nie odpowiada mnie jak tobie. Twoja decyzja pozbawiła mnie nagle najznośniejszego przyjaciela.

Jonathan parsknął.

– Przejmujący ból, zaiste.

– Dlaczego utopiłeś wszystkie zyski w następnej inwestycji, Redmond?

– Bo czas był odpowiedni i myślę, że moja inwestycja zwróci się w dwójnasób, jeśli nie więcej i to wkrótce. Wspaniałe jedwabie. I dlatego, że się spodziewałem, że będę mógł, czekając, bezpiecznie czerpać z mojej pensji. To był błąd. Nie popełnię go po raz drugi.

Argosy marszczył dyskretnie brwi, słuchając przyjaciela.

– Po pierwsze, skąd ty możesz wiedzieć takie rzeczy? Czy nie byłoby prawie równie korzystnie albo przewidywalnie utopić zyski w kasynie przy stole gry? Po drugie, nie jestem pewien, czy mężczyźnie przystoi opisywać jedwabie jako wspaniałe. Po trzecie, masz bogatego ojca. Nie musisz wiedzieć, jak się coś szczególnego robi, z wyjątkiem może jazdy konnej, strzelania i tańca, które to umiejętności nabyłeś już w stopniu niebywałym.

– Po pierwsze, uważam, że prawie wszystko, co przynosi zysk, jest wspaniałe. Jedwabie są wspaniałe. Światło gazowe jest wspaniałe. Wytwarzanie bawełny jest wspaniałe. Nowa prasa do kolorowego druku? Wspaniała. Po drugie, podejrzewam, że jeśli posiadam jakiś dar, to odziedziczyłem go po ojcu, niech go piekło… Ale zasmakowałem w tym i jestem w tym diabelnie dobry i lubię to. Po trzecie, nie jestem pewien, czy mężczyzna powinien komplementować drugiego mężczyznę za jego umiejętności taneczne, ale miło, że zwróciłeś uwagę.

Argosy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Powiem ci, co jest wspaniałe. A raczej, kto. – Wskazał dyskretnie kształtnym podbródkiem Thomassinę de Ballesteros, która stała bokiem do nich, zajmując jakiegoś gościa rozmową.

Jonathan podniósł nieco głos.

– Thomasina de Tarapatas? Ta bardzo pospolita kobieta z rudymi włosami?

Nie przestawała mówić. Ale kącik jej ust drgał lekko, a ramię powolutku zwracało się w ich stronę, jakby była poruszanym wiatrem blaszanym kogucikiem na dachu.

Wiedział, że słuchała.

Argosy odwrócił się do niego gwałtownie.

– Oszalałeś? – szepnął z oburzeniem. – Popatrz na jej skórę. Bursztyn i mleko!

A jej włosy są… Och, Boże… nie mów już ani słowa… ona idzie… ona tu idzie… ona idzie, ona idzie.

Rzeczywiście z gracją wyplątała się z konwersacji i sunęła ku nim.

Skłonili się jej, a ona dygnęła z wdziękiem jedwabnej chusteczki spływającej na podłogę. Miała na sobie biały muślin, włosy uczesane na grecką modłę, a jej dekolt można było opisać jedynie jako odważny, czym zaskarbiła sobie wdzięczność każdego mężczyzny w pokoju.

Co za odmiana w porównaniu z wczorajszym kapeluszem i brzydkim szalem.

– Panie Redmond. Jeśli będziesz dalej smęcić, to się ciebie pozbędę, zanim przegonisz wszelkie światło z salonu niczym zaćmienie słońca i ludzie zaczną mówić o złych znakach. Chociaż niektóre kobiety uznają takie smęcenie za malownicze i może dlatego to robisz? Może chodzi o podtrzymanie tajemniczej aury? A może ma to związek z tym małym siniakiem?

Jonathan słuchał jej z półuśmieszkiem. Pozwolił trwać chwili strategicznego milczenia.

– Czy widziała pani ostatnio jakichś książąt, panno de Ballesteros?

Uśmiechnęła się wyrozumiale, jakby powiedział coś dziwacznego.

Ale jej oczy błysnęły ostrzegawczo.

Uśmiechnął się szerzej, wskazując, jak mało go obchodzą jego ostrzeżenia.

– A może wypiłeś za mało, panie Redmond? Jest wcześnie, ale pić szampana, to jak pić światło słoneczne. Powinien ci dobrze zrobić, jak również tym, którzy z tobą przebywają.

– Musisz wybaczyć mojemu przyjacielowi, panno de Ballesteros – wtrącił się Argosy – ale pozbawiono go pensji, co odebrałoby humor każdemu mężczyźnie. Jestem przekonany, że parę chwil w twoim czarującym towarzystwie postawi go na nogi. Przy tobie zapomina się o wszystkich kłopotach.

Tommy patrzyła w milczeniu na poruszające się wargi Argosy'ego.

Kiedy skończył, powiedziała:

– Och… ty…. – I klepnęła go lekko wachlarzem.

Jonathan stłumił śmiech.

Wykonała obrót o trzy czwarte, zwracając się do niego.

– Wydaje mi się, że usłyszałam słowo: „jedwabie".

Mówiła w szokująco rzeczowy sposób.

– Lubisz jedwabie? Zamówię dla ciebie cały ładunek – wtrącił Argosy swobodnym tonem.

– Bądź słodkim chłopcem i zrób to – zachęciła go równie swobodnie, rzucając przez ramię.

Jonathan zachichotał w pięść.

– Usłyszałaś „jedwabie”, panno de Ballesteros, ponieważ zainwestowałem w całą dostawę.

– I? To z pewnością nie koniec tej historii. Zabaw mnie, panie Redmond. Niech się śmieję lub rozszlocham.

– I podwoiłem zyski.

Westchnęła.

– Uwielbiam szczęśliwe zakończenia.

– Obawiam się, że to dopiero połowa opowieści. Zainwestowałem zyski w kolejny ładunek jedwabi.

– I teraz…? – naciskała Tommy z rozgwieżdżonymi oczami, jak dziecko, któremu opowiada się ulubioną bajkę na dobranoc.

– A teraz czekamy.

– A zatem to może stać się nigdy niekończącą opowieścią. Jak *Szeherezada* albo *Baśnie z tysiąca i jednej nocy*.

– Jesteś pojętna. Inwestycje są właśnie takie bajeczne. To bajka, która zamienia się w rzeczywistość.

Roześmiała się. Reszta gości poruszyła się niespokojnie, ponieważ jej śmiech brzmiał chrapliwie i szczerze, przywołując na myśl dzwony, wiosnę, porę godów i wszystko to, co porusza mężczyznę i każdy z nich pragnął, żeby śmiała się dla niego i przez niego.

– Ostatnim razem, kiedy nas odwiedziłeś, panie Redmond, wspomniałeś coś chyba o prasie do kolorowego druku.

Patrzyła na niego z uwagą, czego nie omieszkał zauważyć. Z bliska miała zielone oczy, o tęczówkach otoczonych srebrną obwódką. Oczy w kształcie migdałów, jak u Cyganki albo Persjanki, pod ciemnymi, ukośnymi brwiami. Twarz leśnej nimfy albo wróżki, jak określiłby ją Argosy, ale to już rzecz gustu. Jonathan wolał nieskomplikowane blondynki. A „niezwykłe” kojarzyło mu się nieodparcie ze „skomplikowane”, a to ostatnie z „przekleństwem”.

Argosy kompletnie przeoczyłby kryjący się w jej spojrzeniu pragmatyzm i inteligencję.

Rzecz w tym, że nie wspominał o prasie przy niej i to go zafascynowało. Widocznie nie tylko czaiła się pod domami potężnych książąt, ale także wychwytywała fragmenty rozmów i to nie takie, jakich mógłby się spodziewać. W jego mniemaniu jedynym celem Salonu z jej punktu widzenia było zbieranie informacji.

A wczoraj pytała, do czego potrzebuje pieniędzy księcia.

– Mój przyjaciel, niemiecki dżentelmen, który obecnie mieszka w Londynie, rozwinął umiejętność drukowania dużych ilości papieru w kolorze – to się nazywa chromolitografia. Myślę, że stwarza ogromne możliwości. Nie jest jedynym litografem, który potrafi to robić, ale jedynym, którego znam w Londynie.

Argosy pochylił głowę, udając, że zasypia.

– W to Redmond także by chętnie zainwestował, ale może wspomniałem już, że w tej chwili nie ma gotówki. – Natychmiast porzucił nonszalancką postawę, ogarnięty duchem desperackiego i niegodnego go współzawodnictwa. – Włożył wszystko w jedwabie. Tak jest. Żadnych. Pieniędzy. Wcale.

Jonathan odwrócił wolno głowę w jego stronę, świdrując go niedowierzającym, ponurym spojrzeniem.

Argosy wydawał się niemal bezradny, patrzył przepraszająco, jakby nie mógł się powstrzymać. To była taka kobieta. Nie starała się o to specjalnie, ale Jonathan przypuszczał, że to tylko kwestia czasu, kiedy mężczyźni zaczną się bić o nią na pięści, albo – na pistolety.

Oczywiście, nie zamierzał stać się jednym z nich, ale też nie życzył sobie, żeby stał się nim Argosy.

Tommy wydawała się głucha na słowa Argosy'ego.

– Panie Redmond, czy twój przyjaciel rozważał to, że mógłby zbić majątek, drukując… powiedzmy… kolorowe karty do gry ze śmiałymi obrazkami przedstawiającymi… sceny erotyczne?

Jonathan zamarł.

Na chwilę zamknął oczy, podczas gdy ta myśl osiadała w nim jak gwinea wrzucona do studni życzeń.

Genialne.

Nielegalne, ale genialne.

– Albo może… – powiedział powoli – … przedstawiające członków obecnego dworu? Albo arystokratów? – zastanawiał się głośno; jeden pomysł gonił drugi.

– Czy używasz eufemizmu, mówiąc „członkowie", czy też…? Bo z pewnością jedno i drugie zdobędzie ogromną popularność.

To była znakomita dwuznaczność i nagrodził ją szelmowskim uśmiechem, na jaki zasługiwała; odwzajemniła uśmiech i powietrze wokół nich wydawało się przez chwilę niebezpiecznie naelektryzowane, póki sobie nie przypomniał, że nie ma pieniędzy i do końca roku ma się ożenić.

– Powiedz mi, panie Redmond. – W tym momencie jej wachlarz opadł, dotykając jego piersi w geście niebezpiecznie przypominającym pieszczotę. – Czy jesteś w tym dobry? W inwestowaniu?

– Tak – odparł krótko.

Zauważył, że Argosy wpatruje się w miejsce, gdzie jej wachlarz go dotknął i jego twarz czerwienieje, nie wróżąc niczego dobrego.

– Ja lubię inwestować w rubinowe naszyjniki, które pasują do płomiennych włosów pewnej kusicielki – oznajmił Argosy, zapominając o nonszalancji, ale nie o poetyckiej przesadzie.

Tommy ponownie odwróciła się do Argosy'ego.

– Czy tak? Myślę, że Rundell i Bridge mogą być nadal otwarci o tej porze dnia, ale musisz się pośpieszyć – stwierdziła z ożywieniem.

Jonathan nie zdołał się opanować. Parsknął śmiechem. Argosy dostał, co mu się należało za tę uwagę o pensji. Ale zrobiło mu się żal przyjaciela. Nie zależało mu przecież specjalnie na uwadze panny de Ballesteros.

– Dlaczego nie opowiesz naszej gospodyni o swoich szczególnych talentach, Argosy, zanim się nami znudzi i odejdzie, żeby wdać się w jakąś interesującą konwersację.

Tommy posłała Jonathanowi ostre, nieodgadnione spojrzenie spod przymkniętych powiek.

A potem zwróciła oczekujące spojrzenie na Argosy'ego.

– Spośród tych, o których mogę dyskutować bez obrazy moralności publicznej – zaczął, a Tommy skinęła głową w odpowiedzi, jak nauczycielka doceniająca zdolnego ucznia – jestem świetnym tancerzem. Tańczę jak Apollo, który sprowadza światło słońca na ziemię. Doskonale potrafię przewidywać życzenia kobiety. Mogę prowadzić rozmowę na wiele tematów, jeśli nie na temat inwestycji, o ile nie rywalizuję o twoją uwagę z tuzinem innych mężczyzn. Kiedy współzawodniczę, obawiam się, że mam skłonność do przesady w mowie.

Argosy wydawał się ułagodzony, kiedy Tommy się roześmiała. Poruszyła dłonią z pustym kieliszkiem do szampana.

– Czy potrafisz przewidzieć moje obecne życzenie, lordzie Argosy?

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – oświadczył Argosy i ruszył natychmiast na poszukiwanie szampana.

Rzucając na odchodnym, długie i podejrzliwe, ostrzegawcze spojrzenie na Jonathana.

– Spotkaj się ze mną o północy w Covent Garden przed Teatrem Półksiężyca – szepnęła szybko.

– Co? Nie.

– To nie to, co myślisz, panie Redmond.

Podniósł wzrok w stronę nieba.

– Dobry Boże, powiedz, że nie usłyszałem tego znowu. Nie. Nie interesują mnie sprawy skomplikowanych, tajemniczych dam o rudych włosach. Nie.

– A ty wiesz dobrze, że nie interesuję się sprawami aktualnie gołych jak mysz kościelna hultajów.

Cóż.

– Powinienem powiedzieć: „auć” – zauważył wesoło.

– Powinieneś, ale nie dbasz o to, co ja myślę, nie bardziej, niż ja dbam o to, co ty myślisz. Ponieważ jednak łączy nas pewne wspólne upodobanie, sądzę, że zainteresuje cię pewna propozycja biznesowa, którą zamierzam ci złożyć.

– Mój zdrowy rozsądek, tyle, ile go mam, podpowiada mi, że najmądrzej zrobię, udając, że nie słyszałem, co powiedziałaś.

– Ile masz zdrowego rozsądku?

– Niech się zastanowię… trzy ziarenka, przy ostatnim liczeniu. Miałem cztery, ale przeputałem jedno, kiedy zgodziłem się towarzyszyć Argosy’emu do tego salonu. Po raz drugi.

– Jaka szkoda? Trzy ziarenka to o jedno za mało, żeby przeszkodzić ci w wycieczce do Teatru Półksiężyca dzisiaj o północy.

Jonathan wybuchnął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać.

Jeśli oni oboje będą się dłużej śmiać razem, to wszyscy goście wyzwą go prawdopodobnie na pojedynek, takie napięcie zbudowała Tommy, strategicznie rozdzielając swoją uwagę i strategicznie dobierając głębokość dekoltu. A oto tkwi tutaj, rozmawiając z jedyną osobą, której szczerze nie zależało, czy z nim rozmawia czy nie, podobnie jak kot potrafi wybrać w pokoju pełnym ludzi akurat tę jedyną, która nienawidzi kotów.

– Daj spokój, panie Redmond – naciskała ściszonym głosem. – Co innego zrobisz ze swoim czasem? Nie pobiegniesz chyba do stołów gry, nie, jeśli masz zdrowy rozsądek, a z tego, co słyszałam, posiadasz całe trzy ziarenka. Pozbawiono cię pensji, a twój ojciec, popraw mnie, jeśli się mylę, nie należy do takich, którzy z radością pokryją twoje długi, jeśli zdecydujesz się grać bez pieniędzy. Więc spotkaj się ze mną o północy przez Teatrem Półksiężyca. Usłyszysz coś ciekawego. Och – i przynieś pistolet.

Z tymi słowami zakręciła się na pięcie, kierując całą promienną uwagę na Argosy’ego, który wrócił z szampanem, mając minę wojownika przynoszącego głowę wroga swojej królowej.

– Lordzie Argosy – powitała go zachwycona. – Jakże mogłabym oprzeć się mężczyźnie, który tak gorliwie zaspokaja moje potrzeby.

Tak po prostu zarzuciła na Argosy’ego coś w rodzaju sieci utkanej z promieni

słonecznych i klejnotów. Nie posiadał się ze szczęścia, szybko zapominając o zazdrości wobec Jonathana i w ciągu paru minut dał się przekonać, że jest jej ulubieńcem – tyle mu poświęcała uwagi. Czarująca, zauważył Jonathan. Wydawało się, że oczarowywała bez cienia wysiłku. Lubiła oczarowywać. To przynajmniej było jasne.

Grała jednak i to także było jasne – w każdym razie, dla Jonathana. Doceniał jej grę, póki mógł pozostawać bezpiecznie na widowni. Obserwował, rozbawiony i z poczuciem pewnej ulgi, że jest całkowicie ignorowany, jak Tommy pije szampana, słuchając pochlebstw Argosy'ego, a potem odpływa, żeby oczarować kolejnego gościa.

Nie zamierzał spotykać się z tą kobietą gdziekolwiek o północy.

Ale podobał mu się sposób, w jaki się poruszała, stwierdził w duchu, patrząc, jak odchodzi. Gdyby szampan był kobietą, poruszałby się właśnie w taki sposób, z lekką i płynną elegancją.

7

Zostawił pełnego nadziei Argosy'ego w salonie, zanim słońce spłynęło zbyt nisko nad horyzont, z mętną obietnicą spotkania się z nim u White'a tego wieczoru, ale tylko wtedy, jeśli Argosy będzie stawiał.

Dotarł aż do Bond Street, wdychając ogromnymi haustami oczyszczające, chłodne powietrze i zatrzymał się.

Stanął jak urzeczony przed wystawą sklepu z włoskimi słodyczami.

Ponieważ tam właśnie, wśród rozmaitych ciast i ciastek, wypatrzył owoce z marcepanu.

W tym, jak się wydawało – o cudzie! – coś, co wydawało się gałązką malin.

Uśmiechnął się. To musiał być omen. Z pewnością wszystko ułoży się po jego myśli, wbrew groźbom ojca.

Sięgnął do kieszeni, zdecydowany poświęcić parę pensów dla dobra siostry. Violet roześmieje się na ich widok. Wybrał sporo marcepanowych malin. Sprzedawca zapakował je starannie jak jajka. Jonathan wsunął je do wewnętrznej kieszeni płaszcza i odwrócił się do wyjścia z uśmiechem na twarzy.

Uśmiech zamarł mu na twarzy, ponieważ w drzwiach, z ręką na klamce, odziana w gładką szkarłatną wełnę, stała piękna lady Philippa Winslow.

W tej chwili jej oczy i usta stanowiły wąskie szparki. Niezwykła rzecz, bo zwykle jedno i drugie było duże… i otwarte.

W tej chwili jej usta wydawały się drżeć, jakby z wysiłku powstrzymywania słownego trzęsienia ziemi.

– Philippa! – Głos brzmiał wzruszeniem i entuzjazmem. – Co za przyjemność spotkać…

– Mogłeś mi powiedzieć – wysyczała. I zanim zdążył mrugnąć albo uchylić się – trzask! – podniosła dłoń i wymierzyła mu siarczysty policzek.

Zachwiał się, cofając o krok.

– Co u diabła…?

Ale ona zakręciła się na pięcie i znikła, wsiadając do powozu, jej spojrzenie i twarz zdradzały dramat złamanego serca. Bez słodyczy włoskich ciastek.

Sklepikarz, świadek całej sceny, potrząsał głową, cmokając.

– Kobiety… to wariatki, *si*?

– *Si* – odparł zdecydowanie Jonathan. Z dłonią na policzku. Spoglądając zmrużonymi oczami za szybko znikającym powozem. W jego głowie powstało straszliwe podejrzenie.

– Amore, warte tego, *si*?

– Tutaj, drogi panie, obawiam się, że nasze opinie się krańcowo różnią – odparł ponuro.

Skonsternowany i wściekły, wepchnął marcepan głębiej i ruszył piechotą do domu, pozwalając, żeby rześkie powietrze chłodziło mu twarz i szukając w pamięci czegoś, co musiało się wydarzyć w ciągu dwóch tygodni od ich ostatniego spotkania i co wyjaśniałoby tę napaść.

Jedyne wyjaśnienie, jakie mu się nasunęło, to takie, że kobiety są szalonymi, kapryśnymi stworzeniami.

Tyle, jeśli chodzi o pomyślne znaki. Opowie o tym Violet i poskarży się, że to wszystko jej wina.

Zdaje się, że był to dzień przykrych niespodzianek: w domu, ku swojemu zaskoczeniu, zastał oboje rodziców.

– Matko. Ojcze. Co za przyjemność – próbował, ale nie zdołał nadać temu zdaniu odpowiedniej intonacji. – Sądziłem, że zamierzacie zostać jakiś czas w Pennyroyal Green.

Stał sztywno, kiedy matka pocałowała go w policzek; ojciec opuścił gazetę, skinął mu głową i podniósł ją znowu.

– Violet nalegała, żebym rozerwała się trochę zakupami w mieście; powiedziała, że przez dzień czy dwa da sobie radę beze mnie, więc postanowiłam towarzyszyć ojcu. Na dzień czy dwa.

Mógłbym się założyć, że nalegała, pomyślał rozbawiony Jonathan.

– A ojciec ma spotkanie z księciem Greyfolk.

Ach. Książę Greyfolk. Jonathan stłumił ironiczny uśmiech. A zatem ojciec go jednak słuchał.

Usiłował przeniknąć wzrokiem gazetę ojca, żeby wczytać się w jego pokrętny umysł, ale ojciec nawet nie drgnął. Jonathan zastanawiał się, czy wspomnieć o swoim spotkaniu z księciem.

Może pozwoli, żeby książę to zrobił. Czy ojciec nie będzie zaskoczony?

A może ojciec już wiedział?

Głowił się nad tym przez chwilę, zaniepokojony, ale w końcu uznał, że to

najmniejsza z jego trosk.

Nie zdziwiłby się, gdyby książę Greyfolk dostał nagle zaproszenie, żeby wstąpić do Mercury Club. Ponieważ ludzie tacy, jak ojciec i książę, zwykli dostawać to, czego chcą, imając się wszelkich możliwych środków, a obaj chcieli właśnie młyna z Lancaster.

Tak więc o ósmej zasiadł do kolacji z rodzicami – złożonej z kotletów jagnięcych z groszkiem. Słuchał, jak matka opowiada ojcu o krewnym cierpiącym na niedomaganie wątroby. Ojciec wydawał się zainteresowany. Z drugiej strony, miał czas, żeby przez lata doskonalić sztukę udawania, że jest czymś zainteresowany, żeby osiągnąć cel.

Od tej rozmowy Jonathana bolała wątroba. Pomyślał przelotnie, że małżeństwo to cudowny pomysł, choćby z tego powodu, że spłodziwszy potomstwo, można by je dręczyć rozmowami o niedomaganiu wątroby.

Nauczył się, że wino pomaga na wszelkie życiowe niedomagania, więc pociągnął zdrowy łyk.

– Ojciec mówił, że zamierzasz się ożenić przed upływem roku.

Jonathan się zakrztusił.

– Mniejszymi łykami, mój drogi – powiedziała matka, jakby miał dziewięć lat.

Nie tracąc zimnej krwi, delikatnie odstawił kieliszek.

– Ściśle rzecz ujmując, ja tego nie powiedziałem, matko – stwierdził ostrożnie.

– Ojciec nie ma zwyczaju przeinaczać tego, co słyszy, Jonathanie. Uważam, że to cudownie dojrzała decyzja i aprobuję ją z całego serca – uśmiechnęła się do niego serdecznie, niech to diabli. Była taka szczęśliwa, a to zdarzało się niezmiernie rzadko. – W mgnieniu oka zapełnimy pokój dziecinny maluchami. Z pewnością zauważyłeś stosy zaproszeń przy wejściu. Dałam znać o twojej decyzji, jak tylko przyjechaliśmy. Jakie masz szczęście, że tyle pięknych dziewcząt debiutuje w tym sezonie.

I to „dałam znać”, jak ujęła to matka, wyjaśniało prawdopodobnie zachowanie Philippy i to, co spotkało jego policzek. Tego rodzaju wiadomości rozchodziły się po Londynie jak cholera.

Jonathan przyjął to spokojnie, kiwając głową i przyjrzał się swojemu widelcowi z głęboką uwagą. Widział przed sobą dwojaki wybór: mógł go sobie wbić w serce. Albo rzucić, wbijając w małe czarne serce swojego ojca. Może ćwiczenia w rzucaniu do celu były przygotowaniem do tej chwili.

Napotkał wzrok Isaiaha, Ojciec uśmiechał się beznamiętnie i pobłażliwie.

Nie: jego serce jest wyschnięte na wiór i za małe na cel, nawet dla takiego mistrza jak ja, uznał ponuro Jonathan.

Jednakże ten sezon faktycznie obrodził pięknymi dziewczętami. Ale piękne dziewczęta przypominały kwiaty: uwielbiał je tak bardzo, ponieważ nie musiał ich podlewać, opiekować się nimi i dbać, aby żyły w szczęściu, wysłuchując jednocześnie ich opowieści o niedomaganiach wątroby.

Bywały też inne piękne dziewczęta, niektóre spośród nich nigdy nie zostałyby zaproszone na bale, na które jego zapraszano, które mogłyby czymś w niego rzucać, albo płakać, albo wypominać mu, jak je skrzywdził. Nie miał stałej kochanki. Ale kilka pań, powiedzmy… starało się… o to miejsce. Włącznie z Philippą.

Boże. Londyn, jego ulubione miejsce, stanie się prawdziwym wyzwaniem przez następne tygodnie.

Miał wrażenie, że ściany jadalni nagle zaczynają się wokół niego zacieśniać.

Nie łamał serc. Albo raczej, nigdy nie miał takiego zamiaru. Nigdy nie mógł zrozumieć, jak kobiety mogą tak postępować – oddają lekko swoje serce, nie uprzedzając mężczyzny, że to robią, a potem oskarżają go, że depcze dar, o którym nie miał pojęcia. Czyż nie wiedzą, jaka miłość jest niebezpieczna? Jak lekkomyślne jest zakochać się? Zakochiwanie się w pojedynkę to dowód choroby umysłowej.

Ostatnie kęsy jagnięciny smakowały jak wióry drzewne. Przełknął je, dopił wino i odsunął się od stołu.

– Cóż, odchodzę, żeby przygotować stryczek – oznajmił ponuro tytułem usprawiedliwienia.

– Ha! Ha! – roześmiała się pobłażliwie matka.

Ojciec po prostu uśmiechnął się zdawkowo. Zapewne w ogóle go nie słuchał.

Trzy godziny później Jonathan, zamiast spotkać się z Argosym u White’a, stał przed Teatrem Półksiężyca w Covent Garden.

Bo skoro i tak był skazany, co miał do stracenia?

8

A jednak tkwił sam na ulicy, jeśli nie liczyć paru pijaków i pojawiających z rzadka szczurów, które maszerowały zdecydowanie niczym robotnicy udający się do pracy. W teatrze było ciemno; zamknięto i zabito go deskami jakiś czas temu. Naprzeciwko niego hałaśliwy pub wypluwał i pochłaniał w regularnych odstępach czasu chwiejących się na nogach amatorów nocnej zabawy. Apatyczna prostytutka zapytała, czy by na nią nie reflektował. Odmówił grzecznie.

Księżyc lśnił coraz mocniej, nocna straż obwieściła północ, a Thomassina de Ballesteros wciąż się nie zjawiała.

– Tędy.

Chryste!

W jednej chwili jej nie było, a w następnej już była.

Widziała, jak się wzdrygnął, bo teraz śmiała się z niego cicho.

– Ciesz się, że cię nie zastrzeliłem.

– Musisz być bardziej czujny, panie Redmond, jeśli mam mieć z ciebie jakiś pożytek.

Owinęła się czarnym płaszczem, ale głos ją zdradzał. Musiała mieć oczy jak kot, bo natychmiast poprowadziła go przez labirynt ulic, uliczek, parku, schodów, raz przeszli po dachu budynku do drugiego domu, a potem schodami w dół; mógłby przysiąc, że przeszli dwa razy tą samą drogą.

– Czy to jakaś sprytna sztuczka, żeby mnie pozbawić orientacji i odebrać portfel? Argosy nie żartował, że ojciec odciął mnie od pieniędzy. Naprawdę, czy warto zabijać dla dwóch funtów? To wszystko, co mam w tej chwili przy sobie.

– Przez myśl mi by to nie przeszło. Zastrzeliłbyś mnie z pistoletu.

– Och, tak. Pistolet.

Skręciła w lewo w wąską uliczkę.

– Jesteś zbyt krucha, żeby włóczyć się nocą samotnie po Londynie, panno de Ballesteros.

– Czyżbyś stawał się opiekuńczy?

– Nie.

– Zaborczy? – W głosie brzmiało ostrzeżenie.

– Boże, nie. Tylko zauważam.

– Mam przyjaciół w Londynie, którzy pojawiają się, żeby załatwiać sprawy… w różnych porach. Rozpoznają mój krzyk i przybędą z pomocą w razie potrzeby.

Przeszli w milczeniu parę kroków.

– Nie jesteś pewny, czy nie żartuję, prawda, panie Redmond?

– Niestety, jestem przekonany, że chociaż część z tego, co mówisz, to prawda.

– Równie sprytny jak przystojny! – stwierdziła sucho. – Tędy!

Skręciła ostro w prawo a potem zaraz w lewo. Kto mógł podejrzewać, że od wielkich arterii Londynu odchodzi tyle bocznych, ciemnych ulic i uliczek? Ona widocznie tak, bo na jednej z ulic pozdrowił ją siedzący pod ścianą pijak.

– Witaj, Tommy!

– Witaj, Jasper!

Ta wymiana zdań raczej nie podniosła go na duchu.

– Czy to naprawdę potrzebne? – jęknął. – To kluczenie w kółko, żeby dojść do twojej jaskini?

– Cierpliwości. Tajemniczość w moim wypadku, to wszystko, panie Redmond. I dlaczego sądzisz, że chodzimy w kółko? To może być najkrótsza droga do… mojej jaskini. – Najwyraźniej spodobało jej się to określenie.

Zatrzymali się przed zwyczajnymi drzwiami wysokiego, wąskiego, nijakiego budynku, choć w ciemności wszystkie budynki wydają się nijakie. Domyślał się, że to kamienica czynszowa; wyciągał szyję, ale jeśli na parterze znajdował się sklep, to szyld tonął w mroku, a okna zasłonięto na noc okiennicami. Bogu jedynie wiadomo, gdzie się znaleźli, choć mocno podejrzewał, że przez ostatnie minuty prowadziła go po ósemce wokół Covent Garden i dom stał w odległości zaledwie paru stóp od miejsca, skąd wyruszyli.

Nasłuchiwał z uwagą: odezwał się chór pijackich głosów, a potem nagle ucichł, jakby otworzono drzwi pubu, a potem je zamknięto. Śpiewano chyba balladę o Colinie Eversea.

Wyciągnęła klucz, otwierane drzwi skrzypnęły, zaprosiła go gestem do środka, a potem zatrzasnęła drzwi z łomotem, jakby zamknęła je na wieczność.

– Czy tutaj przyda mi się pistolet?

– Nie bądź niemądry – powiedziała z roztargnieniem. Tuż za drzwiami wisiała zapalona lampa, najwyraźniej oczekiwano ich przybycia. Chwyciła lampę i zbiegła po wąskich drewnianych schodach, jak wiewiórka, a on poszedł za nią, trzymając się ścian dla równowagi. Przez krótki, ciasny, ciemny korytarz.

Do małego, pięknie urządzonego pokoju, gdzie ogień trzaskał na kominku.

Zatrzymał się w progu, zaskoczony. Pokoik miał blask, ciepło i elegancję lampki koniaku. Pod jedną ścianą obita koralowym aksamitem kanapa prężyła się jak kot domagający się pieszczot. Podłogę zakrywał kremowobrązowy i morelowy dywan o kwiecistym wzorze; ciężkie kolumny koralowych zasłon nie przepuszczały światła z zewnątrz. Meble wybrano starannie – rozpoznał Chippendale i francuski parawan – gustownie złocone i nabłyszczone w strategicznych punktach. W świetle ognia wszystko lśniło. Tylną ścianę, ku jego zaskoczeniu, pokryto czarno-białą tapetą.

Serce Jonathana podskoczyło do gardła. Przedziwna ściana właśnie się… poruszyła.

Przyszło mu do głowy, że może Philippa wyrządziła mu jakąś poważniejszą szkodę, kiedy go trzasnęła w twarz, ale po chwili stwierdził z ulgą, a następnie z niepokojem, że owa ściana wcale nie jest ścianą.

To był mężczyzna. Taki, którego każdy mógłby łatwo pomylić ze ścianą.

Jego pozbawiona włosów, sięgająca niemal sufitu głowa, błyszczała jak porcelana; czoło przecinały cztery linie, jak struny w instrumencie muzycznym. Ramiona miał prawie takie szerokie jak kanapa, obwód ciała wskazywał, że mógł jakąś kanapę zjeść, w uchu nosił złote kółko, piracki kolczyk.

Był nienagannie ubrany w biało-czarny strój kamerdynera.

– Dobry wieczór, Rutheford.

– Dobry wieczór, panienko Tommy. Wziąć od pani płaszcz? I od pana?

Skłonił się nisko przed Jonathanem. W uszach Jonathana jego głos brzmiał jak głos Posejdona. Jakby musiał pokonać mile w jego ciele, żeby dotrzeć na powierzchnię. Przyglądał się z podziwem temu niecodziennemu stworzeniu. Obrócił się powoli, żeby Rutheford mógł delikatnie zdjąć z niego płaszcz. Nie przestawał patrzeć na niego przez ramię.

Rutheford starannie ułożył oba nakrycia na oparciu kanapy.

– Rutheford, przynieś, proszę, naszemu gościowi… – odwróciła się do Jonathana.

– *Ale*, jeśli masz.

– Dwa *ale*, proszę.

– Czy Rutheford to prawdziwe nazwisko? – szepnął Jonathan, kiedy olbrzym wyszedł do drugiego pokoju. Jonathan nie posiadał się z ciekawości, co jest w tamtym pokoju.

– Nie, ale jest zabawnie tak go nazywać. Mogło być takie, albo Necksnapper[2], zgodnie z tym, co podobno robi najlepiej. Choć przyznaję, że nigdy go przy tym nie widziałam.

Urocze.

– Dlaczego, zasłaniałaś oczy?

– Jestem przekonana, że to bajka – powiedziała uspokajająco. – Jest łagodny jak jagniątko.

– Tak. Jego prawdziwe imię to pewnie Percival.

Roześmiała się.

– Zatrudniasz go?

– Nie. To przyjaciel, który mieszka… w pobliżu i… nie ma nic przeciwko temu, żeby mi czasem pomóc. Był dobrym przyjacielem mojej matki.

– Twojej matki, hiszpańskiej księżniczki na wygnaniu.

Jednak „hiszpańska" uzasadniałaby tonację jej cery.

– Tak – odparła bez cienia ironii. – Może usiądziesz tutaj? – Wskazała pluszowy fotel przy małym, lśniącym stoliku karcianym.

– Czy tu mieszkasz? – Wyciągnął szyję, patrząc w głąb korytarza, gdzie zniknął Rutheford. Czy często przyprowadzała tutaj mężczyzn?

Czy miała kochanków? Nikt nie wiedział tego z pewnością.

– Może usiądziesz tutaj? – powtórzyła z naciskiem, wskazując fotel i wymawiając każde słowo bardzo wyraźnie.

– Może usiądę – powiedział, wywołując u niej uśmiech.

Najpierw jednak odsunął fotel dla niej, zapraszając, żeby sama usiadła. Wsunęła się w niego wdzięcznie niczym róża do wazonu.

Rutheford przyniósł dwie szklanki *ale* na tacy i obsłużył ich skwapliwie.

– Będę w pokoju obok, panienko Tommy – oznajmił znacząco, skłaniając się na odchodnym.

– Zdrowie. – Jonathan podniósł szklankę w toaście.

Poszła za jego przykładem.

Napili się.

W milczeniu przyglądali się sobie nawzajem. Pomyślał, że ona jest klejnotem, a pokój oprawą i że zapewne nie przypadkiem tak to odbiera. Suknia koloru bladego szampana, ozdobiona satyną, miała długie dopasowane rękawy, a kremowe, bladozłote ramiona i szyja Tommy wychylały się z niej, dając dyskretne wrażenie nagości, co zdecydowanie wywierało wrażenie. Gorset unosił śliczne, małe piersi aż do krawędzi głębokiego dekoltu, gdzie powstała kusząca szczelina, w którą mężczyzna mógłby wsunąć palec. Strój dodawał jej siły perswazji.

– Wyciągnij rękę, panie Redmond – powiedziała, uśmiechając się lekko.

Tak zrobił.

Wyciągnęła małą aksamitną sakiewkę i wysypała jej zawartość na jego dłoń.

Był to niezwykły sznur pereł.

Wydawało się, że sznur nie ma końca; perły wysypywały i wysypywały, tworząc połyskliwy kopczyk na jego ręce.

Wpatrywał się w nie zdumiony.

Spojrzał na nią.

Wyraźnie czekała na jego reakcję.

– Są bez wątpienia widowiskowe – zauważył. – Ale osobiście wolę, żeby mnie uwodzono w bardziej subtelny sposób. Może przejażdżka w parku?

Uśmiechnęła się kpiąco.

A jednak wiedział, dlaczego pokazała mu perły. Jak na prawdziwe perły przystało, w dotyku były ciepłe prawie tak jak ludzkie ciało. Wtulały się w dłoń. Nie miało się ochoty z nimi rozstawać. Były…

Cóż, były wspaniałe.

– Niedawno… weszły w moje posiadanie – zaczęła.

– Są prawdziwe. – Znał się na klejnotach – dzięki siostrze i pewnej wykwintnej prawie kochance.

– Dlatego z taką ceremonią ci je prezentuję.

– Czy to podarunek?

– Tak. Nie potrafię kraść klejnotów.

– Jednak… – dodali oboje jednocześnie ku obopólnemu rozbawieniu.

Poruszył dłonią pełną pereł.

– … i? – powiedział, naśladując jej sposób prowadzenia konwersacji wcześniej tego dnia w salonie.

– I powinnam je sprzedać. Potrzebuję raczej dużo pieniędzy i to szybko. Ale gdybym mogła podwoić pieniądze uzyskane ze sprzedaży, albo nawet potroić…

Ach. Zaczynał rozumieć.

Jonathan bardzo, bardzo powoli oparł się w fotelu, przybierając myląco swobodną pozę, postukując wolno, w tempie marsza pogrzebowego, palcami w stół i przyglądając się jej w milczeniu bez mrugnięcia okiem przez długą chwilę. Nie miał o tym pojęcia, ale kiedy się zastanawiał, patrzył na innych wzrokiem swojego ojca; pod jego wpływem ludzie zaczynali się wiercić, czując się winnymi zbrodni, których nie popełnili, ale chętnie by się do nich przyznali, byle uniknąć intensywności tego spojrzenia. Jonathan zwykle patrzył w ten sposób na tarczę do rzutek w gospodzie Pod Świnią i Ostem w Pennyroyal Green i dlatego wciąż był niepokonany.

Tommy była widocznie ulepiona z twardszej gliny.

Jednak w końcu poruszyła się w fotelu.

– Dlaczego potrzebujesz dużo pieniędzy natychmiast? Czy próbujesz sfinansować rewolucję? Musisz przekupić urzędnika? Albo tkwisz po uszy – a zatem niezbyt wysoko, zważywszy jaka jesteś mała – w długach z hazardu?

– Doceniam bogactwo twojej wyobraźni, ale „nie” na wszystkie twoje domysły. I nie potrzebuję pieniędzy na nielegalne cele.

Czekał.

– Cóż, moje cele nie są całkiem nielegalne – dodała z mniejszą pewnością siebie.

Westchnął boleśnie. Jakby się tego właśnie nie spodziewał.

– A te perły… co zrobiłaś, żeby je dostać?

Wszyscy mężczyźni, jakich znał, pragnęli, aby Thomasina de Ballesteros wybrała go na kochanka. To był rodzaj sportu, przymus towarzyski wśród młodych arystokratów, którzy wciąż szukali nowych wrażeń i zachowywali się jak stado owiec, walcząc o pozycję w salonie. Naturalnie, wszystko to znajdowało odbicie w Księgach Zakładów White’a. Tyle że nikt nie wiedział, czy dziewczyna ma kochanka albo czy, w gruncie rzeczy, w ogóle kiedyś miała. Plotkowano, rzecz jasna, ile wlezie, z nadzieją opisując w przesadny sposób jej rzekome umiejętności.

Jonathan postawiłby wszystkie swoje przyszłe zyski na to, że nie była niewinna. Żadna kobieta nie wykazywałaby takiej niezwykłej pewności, gdyby była. A w jej oczach było coś – głębia, dystans, zrozumienie – które dawało jedynie doświadczenie.

Jaką była kochanką? Jego myśli przez chwilę pobiegły w tym kierunku. Czy byłaby spolegliwa za odpowiednią cenę? Czy była ognista, jak jej włosy? Chłodna i arogancka, oczekująca, że zostanie uwiedziona w szczególny sposób? Czy należała do takich, które ciskają różnymi przedmiotami? Czy miała zasady?

Nie należała do takich, których mógłby pragnąć, tyle mógł się domyśleć.

– Nie rozumiem, jakie to mogłoby mieć znaczenie – powiedziała w końcu. Dość dyplomatycznie.

– Doskonale. Gdybym próbował, powiedzmy, sprzedać je w Rundell & Bridge, czy właściciel rozpoznałby je natychmiast i wiedział, kto je oryginalnie kupił?

– Nie próbuj ich sprzedawać w Rundell & Bridge – ostrzegła pośpiesznie.

Innymi słowy, odpowiedź brzmiała „tak”.

– Czy poniosłabyś jakieś konsekwencje?

– To moja sprawa, czyż nie? A zapewniam cię, że dam sobie radę ze wszelkimi konsekwencjami – oznajmiła chłodno.

Nie wątpił. Zamilkł, pogrążając się w myślach.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie, panie Redmond – dodała szybko. –

Niezależnie od okoliczności, od tego, o co może chodzić… naprawdę wierzysz, że mógłbyś podwoić moje pieniądze?

Wahał się tylko przez ułamek sekundy.

– Mogę je potroić – powiedział spokojnie. Trochę arogancko, ale przecież był Redmondem, a determinacja karmiła się arogancją, prowadząc do sukcesu. – Legalnie. Szybko. W ciągu paru tygodni.

Skinęła głową.

– Dość, żebym mogła, gdybym chciała, odkupić perły?

– Tak.

– Doskonale. W szczególności chciałabym zainwestować w prasę drukarską twojego przyjaciela.

Zanim zdążył się nacieszyć perspektywą, dodała:

– Jednakże, chcę prowizji, zanim zawrzemy ugodę.

– Podobnie jak ja.

– W zamian za inwestycję mogę się domagać pomocy w sprawie… która ma związek z tym, dlaczego potrzebuję pieniędzy. Dziś w nocy. I może przy innej okazji.

Oczywiście. Oto i one: kłopoty. Słyszał je jak stado koni nadciągające z daleka.

9

Co ta pomoc ma obejmować? – zapytał wybitnie suchym tonem.

Rozważała chwilę odpowiedź.

– Znakomity refleks. Zdolność widzenia w ciemności. Pistolet.

Czuł, że szczęka mu drętwieje. Nie znosił gier.

– Nie przeceniaj mojej cierpliwości, panno de Ballesteros.

– Wyrażam się niejasno nie dla przyjemności – odparła z irytacją. – Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie, panie Redmond. A wiem z doświadczenia, że dobrze widzisz w nocy. I masz dobry pistolet. Mniej rzucasz się w oczy niż Rutheford i masz inne cechy, których jemu brakuje, a które mogą okazać się bardzo przydatne. I, prawdę mówiąc, to, co muszę dzisiaj zrobić, nie potrwa długo i wcale nie będzie trudne – zakończyła radośnie.

Pewnie starała się go zachęcić.

Czekał.

– Inaczej niż za pierwszym razem – powiedziała mniej pewnym głosem.

Czekał dalej.

– Może zostałam trochę… ranna poprzednim razem – dodała jeszcze mniej pewnie.

– Odwołujesz się do mojego poczucia rycerskości? Musisz być zdesperowana.

– Jestem mała. Mała i delikatna. Świat jest niebezpiecznym miejscem dla takich jak ja.

Przewrócił oczami. Zerkając przy okazji ponownie na dłoń z perłami. Perły spoczywały na niej spokojnie niczym syty kochanek. Lśniące, ciepłe, pulsujące… spodziewanym zyskiem. Nie znał nikogo, kto byłby chętny, żeby dać mu takie pieniądze tak łatwo. Tego właśnie potrzebował i to właśnie teraz.

– Zanim przystąpimy do dalszego omawiania interesu, Tommy, pozwól, że powiem, jaka jest moja prowizja. Otóż, jest następująca: chcę dostać procent za pośrednictwo w zainwestowaniu twoich pieniędzy.

Wyprostowała się powoli. Nagle całym ciałem wyrażała niedowierzanie i urażoną godność.

– Daję ci te wspaniałe perły, żebyś mógł zainwestować pieniądze.

– Jestem biznesmenem, nie jakimś cholernym księdzem. Ani naiwniakiem. Widzę, co próbujesz zrobić, teraz, kiedy twoje oczy stały się takie wielkie, wilgotne i pełne błagania, ale na mnie to nie działa, więc przestań, zanim ci któreś wyskoczy z orbity. Zaniosłabyś perły albo zysk ze sprzedaży profesjonalnemu pośrednikowi, gdyby nie to, że chcesz dokonać tej transakcji *sub rosa*, z dala od każdego, kto mógłby zadawać niewygodne pytania co do twojego dochodu czy celów.

Jej brwi spotkały się u nasady nosa w doskonałym V, znamionującym najwyższe oburzenie. Patrzyła na niego lodowato i gniewnie.

Jonathan bębnił palcami o stół. Potem zaczął oglądać swoje paznokcie. Spojrzał znacząco na zegar (pozłacany brąz, francuski). Ziewnął.

Aż nagle wyparowało z niej napięcie, tak jakby topniała, a w jej wzroku pojawiła się chłodna spekulacja.

A potem, w końcu, jej usta rozciągnęły się w pełnym zadowolenia uśmiechu. Usiadła wygodnie w fotelu, tak jak Redmond.

– Bardzo dobrze, panie Redmond, mały procent.

– Dlaczego mi ufasz? – zapytał natychmiast.

Zaczęła odliczać na palcach, jakby zastanawiała się nad tym gruntownie.

– Bo nie jesteś głupcem, posiadasz rodzaj drapieżnej energii, która każe mi myśleć, że masz coś do udowodnienia, sprawiasz wrażenie kogoś, kto ma dystans do świata, potrzebujesz pieniędzy, nie dbasz o to, co ja o tobie myślę, ani ja nie dbam o to, co ty o mnie myślisz, a to znaczy, że nie ma najmniejszego powodu, żebyśmy nie byli ze sobą uczciwi. Możemy się bez trudu zaprzyjaźnić.

Nastąpiła cisza. Jonathan był mocno zaskoczony, ale też słowa Tommy wywarły na nim silne wrażenie, do czego nie zamierzał się przyznawać.

– Och, i mam przeczucie co do ciebie. Intuicja rzadko mnie zawodzi.

Nikt nigdy nie użył w odniesieniu do niego określenia: drapieżny. Wszyscy uważali go za wesołego Redmonda. Nie był pewien, czy mu się to określenie spodobało. Chciał się zastanowić, czy jest prawdziwe. I co by mogło zmienić w jego życiu, jeśli faktycznie było. A dystans do świata? Jak i kiedy mógł go nabrać?

Uznał, że to cenne – od czasu do czasu spojrzeć na siebie cudzymi oczami. Nie tymi, które patrzą na nas codziennie i w związku z tym przestają nas widzieć naprawdę.

– Jesteśmy przyjaciółmi, czy tak? – zapytał.

Wzruszyła ramieniem.

– Z pewnością. Czemu nie?

– W istocie, czemu nie.

Znowu zamilkli.

– Wiesz, ja nie jestem takim hultajem.

– Och, wybacz. Jak nazwać mężczyznę, który dokonuje, podobno, niekończących się podbojów?

– Słowo „podbój” zakłada znaczny wysiłek. Czy mogę coś na to poradzić, jeśli po prostu… padają mi do stóp? – Próbował, ale nie zdołał stłumić szelmowskiego uśmiechu. – Nie zawsze tak było. A tylko głupiec nie skorzystałby od czasu do czasu… z tak niespodziewanego daru.

– Padają ci do stóp? Jak ptaki spadające z nieba podczas jednej z plag biblijnych?

Gwizdnął z uznaniem.

– Nikt, nawet moja siostra nie porównał mnie do plagi biblijnej.

– Tylko że zamiast ptaków są to jasnowłose kobiety.

Wydawało mu się, że usłyszał delikatną nutkę potępienia przy słowie „jasnowłose”.

– Tak, wolę blondynki, tak jak wolę wiosnę od zimy i wolę proste kobiety w odróżnieniu od skomplikowanych, spokojne życie od życia pełnego kłopotów i choć może nie są to cnoty, to wady też z pewnością nie. Z pewnością masz jakieś preferencje, jeśli chodzi o mężczyzn?

– Bogaci i utytułowani – padła natychmiastowa odpowiedź.

Cóż.

Dziwne, ale trochę zakłuło.

Otrząsnął się.

– Widzisz. W pewien sposób oboje jesteśmy stworzeniami o prostych upodobaniach. Nie zamierzam łamać serc. Niektóre zostają mi wręczone, zanim zdążę zdać sobie z tego sprawę i czasami jestem zapewne mniej wdzięczny czy spostrzegawczy, niżbym wolał. Nie jestem równie zręczny jak niektórzy, co to potrafią żonglować tuzinem, czy więcej, serc naraz, nie upuszczając żadnego ani nie przywiązując się do jednego.

Znieruchomiała, nagle czujna i podejrzliwa.

– O, tak – ciągnął – wyobrażam sobie, jaki bałagan by nastąpił, gdyby rzeczony żongler się pośliznął, źle postawił stopę albo dodał jedno serce za dużo. Albo może dodał niewłaściwe serce. To mogłoby stać się niebezpieczne.

Zmrużyła oczy.

Wskazówki zegara przesunęły się o parę sekund.

– A ty nazywasz mnie hultajem – odezwał się cicho.

Patrzyli na siebie przez kolejne parę sekund.

A potem wciągnęła powoli powietrze, po czym wypuściła je delikatnie.

– Czasami – zaczęła ostrożnie. – Czasami żonglerzy… znajdują się… powiedzmy… w cyrku… nie wiedząc, z czym to się wiąże. A potem jest za późno. Są w tym zbyt dobrzy i wiedzą, że nie wolno im upuścić żadnego serca, bo inaczej, jak powiadasz, nastąpi chaos.

Skrzyżowali spojrzenia.

Podejrzewał, że to więcej, niż jakikolwiek mężczyzna wie w tej chwili o Thomasinie de Ballesteros. Jakby to nie było niejasne.

Czuł pokusę, żeby pytać. Pytać dalej. To tak, jakby zaglądać w głąb tajemniczego korytarza z mnóstwem zamkniętym drzwi po bokach. Co się za nimi kryło? Smakowite niespodzianki? Czy też coś, czego wolałoby się nie widzieć, jak wtedy, gdy otworzył drzwi rezydencji Redmondów i zaskoczył lokaja, który sprawiał sobie przyjemność, przy czymś, co wyglądało na reklamę damskiej mody? Nie zamierzał jednak zadawać więcej pytań, zdając sobie sprawę, że jedno pytanie prowadziłoby do drugiego, a tamto do następnego i tak dalej, aż ta przedziwna kobieta całkiem by go opętała.

– Widzisz? To nie bardziej moja wina niż twoja.

Przez chwilę siedzieli w pełnym zrozumienia milczeniu. Dzielili przekleństwo ludzi obdarzonych niezwykłym czarem.

– Powiedz mi, Tommy – mogę cię nazywać Tommy? Za dużo sylab w tym być może nie całkiem zmyślonym nazwisku de Ballesteros, a Thomasina też jest długawe.

Na jej twarzy odbiło się rozbawienie i irytacja.

– Mam nazwisko po ojcu. Jest prawdziwe. I możesz mówić do mnie Tommy, jeśli ja mogę nazywać cię tak, jak ja chcę.

– W porządku. Powiedz mi – co zamierzasz zrobić z tymi wszystkimi sercami, którymi żonglujesz, Tommy?

– Poślubię jedno z nich, Johnny.

– Nie Johnny. Ani nawet John. Chcesz wybrać jakieś, jakby to były trufle w pudełku? A zatem, sądzę, że wszyscy hultaje muszą kiedyś przejść w stan spoczynku.

Milczała.

– Słyszałam, że u ciebie to wkrótce nastąpi – powiedziała w końcu, uśmiechając się chytrze.

– Zobaczymy – odparł tajemniczo.

Wywołując u niej uśmiech.

Jonathan nie pozwolił, żeby cisza trwała. Ciepło w pokoju usypiało i działało kojąco.

Panowała cisza, jeśli nie liczyć odgłosu kroków na górze. Lekkich i cichych.

Podniósł wzrok do góry.

– Myszy? – zastanowił się głośno. – Dobrze utuczone?

– Mmmm – mruknęła niezobowiązująco. Nie podnosząc głowy.

Kroki skierowały się w przeciwną stronę, towarzyszyło im głośne dudnienie.

Pociągnęła nonszalancko łyk *ale*.

– Tak przy okazji, moje włosy nie są rude – oznajmiła nagle.

– Och, wiem. Są bardziej jak bycza krew.

– Bycza krew!

Zaśmiał się w duchu.

– A zatem, powiedzmy, jak mahoń. Nazwałem je rudymi, żeby rozzłościć Argossiego, który jest w stanie mówić o tobie, jedynie używając poetyckich metafor; to przypadłość, która go dotyka, kiedy chce wywrzeć na kobiecie wrażenie. To naprawdę dobry człowiek i mam nadzieję, że będziesz dla niego miła. I powiedziałem to także, żeby cię rozbawić. Sprawdziło się w obu wypadkach. Nazwałaś mnie ładnym.

Ostatnie zdanie wtrącił do rozmowy tak niespodziewanie i sprytnie, że o mało nie zauważyła.

A potem zesztywniała, jakby przyłapano ją na kradzieży cukierka.

– Ładnych mężczyzn jest w Londynie cała armia – stwierdziła wyniośle. – Z drugiej strony pożyteczni występują rzadziej niż uczciwi.

– Mmmm – odparł. Uśmiechając się nieznacznie.

Ciekaw jestem, pomyślał od niechcenia, czy wie, jak doskonale te perły pasują do jej cery. Nic dziwnego, że jakiś mężczyzna zapragnęła jej je dać. Musiał je wybrać właśnie z tego powodu. Przez chwilę zrobiło mu się żal nieszczęśnika, którego dar miał znowu zostać bezdusznie zamieniony na pieniądze.

Spojrzała na zegar.

– A mówiąc o użyteczności, panie Redmond, pora, żebyś zarobił na swoje perły! Chodź za mną.

Zeskoczyła z fotela i narzuciła na siebie pelerynę, zanim zdążył odsunąć swój fotel i pomóc jej, czy też zrobić coś innego, do czego przyucza się rasowych dżentelmenów, tak jak owczarki przyucza się do pilnowania stada.

10

Powiodła go znowu okrężną, krętą drogą, która doprowadziła ich oboje do Drury Lane.

Całą drogę, ukradkiem, tak często, jak się dało, Jonathan przylepiał odrobinkę marcepanowych malin do ścian budynków. Znalazł je opakowane w kieszeni płaszcza i uznał, że przynajmniej część z nich może poświęcić. Nie wszystkie z marcepanowych znaków przetrwają, zapewne, do jutra czy nawet całą noc. Podejrzewał jednak, że sporo z nich się zachowa. Jutro je odnajdzie.

– Tutaj właśnie to wszystko – przesunęła ręką w powietrzu z góry na dół przed Jonathanem – przyda się naprawdę.

– „To”? – zapytał suchym tonem.

– Buty od Hobiego, płaszcz od Westona, akcent, woda kolońska „jestem bogaty i starannie wychowany”, która paruje ze wszystkich porów twojej skóry, jak gin z bandziora z szajki St.Giles-in-the-Fields. Potrzebujemy powozu – oznajmiła zdecydowanie. – Jestem przekonana, że dla ciebie zatrzyma się natychmiast.

Miała rację. Noc była zimna, ale rzucająca się w oczy, wysoka postać Jonathana, jego postawa, ubiór oraz widoczna i zaskakująca u arystokraty o tej porze w Londynie trzeźwość, sprawiły, że złapali powóz w ciągu paru minut.

– Grosvenor Square, proszę – rzuciła woźnicy, który wyraźnie nie był trzeźwy. Picie należało do wymogów tego zawodu, o ile nie miało się ochoty zamarznąć na śmierć.

– Grosvenor Square, jakżeby inaczej – wymamrotał i trzasnął z bata.

W powozie Tommy zachowywała milczenie tak długo, a napięcie jej nerwów w sposób oczywisty rosło, że Jonathan miał ochotę wrzasnąć: „uuu!”. Podejrzewał, że podskoczyłaby do sufitu.

– Uuu – powiedział cicho, ale z uczuciem.

Ku jego zachwytowi, podskoczyła.

Uśmiechnął się krzywo.

– Jesteś dziecinny – parsknęła z irytacją.

Jej wielkie zielone oczy w mrocznym powozie lśniły niemal jak u zjawy.

Mogłyby napędzić niezłego stracha komuś słabszemu czy mniej trzeźwemu. Nie podzielił się z nią tą obserwacją.

– Jeśli zgadnę, powiesz mi, co mamy zrobić?

– Nigdy nie zgadniesz – odparła nieobecnym głosem.

– Zamierzasz coś ukraść?

Cisza.

Niemal słyszał, jak w duchu klnie, że zgadł za pierwszym razem.

– Ostrzegam cię: będę wiedział, kiedy skłamiesz, Tommy. Nie radzę tego robić.

Odwróciła się, patrząc przez okno na Londyn, jakby właśnie wróciła z obcych krain. Albo jakby się z miastem żegnała.

– Nie uważam tego za kradzież – powiedziała w końcu, ostrożnie.

Och, cudownie.

– A zatem mamy coś ukraść.

Zawahała się.

– Mamy coś… uwolnić.

Niespodziewanie odwróciła się do niego, szczerząc zęby w uśmiechu; był to łobuzerski uśmiech, zawadiacki, zadziorny. Uśmiech, który mówił: „zrób to albo zgiń”.

Niech. To. Diabli. To się nazywa tarapaty.

A jednak w głębi ducha myślał: poradzę sobie znakomicie z kradzieżą tego, cokolwiek by to było, co mamy ukraść. Nie mógł zawieść. Może ojciec miał rację, chcąc go okiełznać, skoro byle perły mogły go sprowadzić na manowce. Wiele się ostatnio nauczył na swój temat.

Wyobrażał sobie, jak mówi z Newgate: „Cóż, jeśli nie chciałeś mnie tu odwiedzać, nie należało odbierać mi pensji, ojcze.” To była jedyna rzecz, w jakiej Redmondowie górowali nad rodziną Eversea: żaden z nich nie siedział dotąd w więzieniu.

– A tak przy okazji, będziesz musiał obwiązać obcasy chusteczką albo krawatem – dodała w zamyśleniu. – Powinniśmy poruszać się cicho jak koty.

Zdumiewające, ale posłuchał bez słowa.

Na Grosvenor Square panowała cisza. Arystokraci spali opatuleni w ciepłe piernaty, niektóre domy zamknięto na zimę. Nikt nie wychodził, ani wchodził. To mogło, oczywiście, zmienić się w każdej chwili. Tommy zastukała nagle w sufit, dając woźnicy znak, żeby się zatrzymał.

Jonathan wyjrzał przez okno i zorientował się, że sprawy przybierają jak najgorszy obrót.

Ponieważ wiedział dokładnie, gdzie się właśnie znaleźli.

– To rezydencja lorda Feckwitha.

– Tak. – Wydawała się lekko zaskoczona, jakby powiedział coś oczywistego. – Zapłać, może, woźnicy za to, żeby na nas poczekał i każ mu zachowywać się jak najciszej. I poproś, żeby przygasił albo zakrył lampy. To nie powinno nam zająć więcej niż minutę czy dwie. Chwilę dłużej i… – zakończyła złowieszczo.

Jonathan odbezpieczył pistolet – ten dźwięk nigdy nie przestał go podniecać – otworzył drzwi powozu i wyskoczył na zewnątrz. Odwrócił się natychmiast i postawił Tommy na ziemi, zanim zdążyła zaprotestować. Dało się ją podnieść bez wysiłku, jak, powiedzmy, solidne krzesło. Otrząsnęła się niczym niezadowolony kot i natychmiast pognała wąską dróżką w stronę stajni.

Zamieniwszy parę słów z woźnicą, pośpieszył za nią; jego obwiązane obcasy nie stukały na kamieniach, jej pantofelki skrzypiały nie głośniej niż szept. Biegła jak ktoś, kto wprawił się w bezgłośnym poruszaniu. Jak zjawa. Jej peleryna, utkana z mroku, powiewała za nią.

W końcu na coś wpadną, tego był pewien. Nie docierało do nich światło księżyca ani poświata z okien. Krzewy w ogrodach były zwykle zdradziecko niskie. Gdyby się potknął, mógłby postrzelić siebie albo Tommy.

– Tommy – syknął.

Zatrzymała się tak raptownie, że wpadł na nią, poleciała, machając rozpaczliwie rękami, o jakąś stopę naprzód. Chwycił ją za pelerynę, zanim rozpłaszczyła się na ziemi. Widocznie nie miała jednak kocich oczu, bo nie ruszyła dalej. Zamiast tego oboje przywarli do ściany domu, czekając. Po krótkim czasie cienie wokół nabrały kształtów i dało się zobaczyć pas krzewów, drzwi do kuchni i budkę, zapewne wychodek dla służby, ukryty za krzakiem.

Cisza wydawała się namacalna. Jakby na cały świat zarzucono pelerynę. Oddychał teraz wolniej, wyczuwając jakąś słodką woń. Tommy używa francuskiego mydła, przyszło mu do głowy. Pochylił się, żeby jeszcze raz dyskretnie wciągnąć powietrze, ciekaw…

Trzask!

Oboje podskoczyli o parę cali w górę, kiedy otworzyły się nagle drzwi wychodka; paskudny smród rozlał się w powietrzu i błysnęło światło.

Światło podskakiwało i drżało – ktoś niósł lampę. Słyszeli ciężkie szuranie, jakby ktoś wysoki i tęgi z trudem podnosił stopy. Latarnię niósł, zataczając się, zapewne niezbyt trzeźwy służący.

Na nieszczęście snop błądzącego światła padł na twarz Jonathana.

Chryste! Jonathan nasunął kapelusz głębiej na twarz, chwycił Tommy i wepchnął ją za siebie.

Służący przystanął i podniósł latarnię wysoko, wpatrując się w ciemność.

– Lord Feckwith?

– Tak – odparł Jonathan zimno, tłumiąc głos krawatem.

Lampa kołysała się nadal. Służący nie był w stanie utrzymać jej nieruchomo.

– Z dziwką? – Interesujące, że w głosie służącego nie było cienia zaskoczenia.

– Owszem. Z… dziwką… Odejdź już.

Nie miał pojęcia, czy Tommy zesztywniała z oburzenia czy rozbawienia.

– Tak, panie. Nie chciałem przeszkadzać. Tylko na obiad dali wołowinę i ta wołowina w żołądku, no, niech to…

Ponieważ sens tego, co chciał powiedzieć, wydawał się raczej oczywisty, skłonił się, lampa wydała metaliczny szczęk, zniżając się razem z nim, po czym odwrócił się i poczłapał do domu.

Czekali. Jonathan policzył do dziesięciu od chwili, kiedy służący zamknął drzwi.

Tommy oddychała niepokojąco szybko. A potem wysunęła się zza jego pleców i poszła naprzód.

Jonathan za nią.

Kiedy zbliżyli się na tyle do wychodka, że oczy zaczęły im łzawić, szepnęła:

– Sally?

Coś zaszeleściło.

Jonathanowi włosy zjeżyły się na karku. Zza krzaków przy wychodku wychynęła drobna postać.

– Tommy?

A Tommy rzuciła się na cokolwiek to było, podniosła z ziemi i pobiegła dróżką z powrotem.

– Ki diabeł…

Jonathan popędził za nią. Z ciężarem nie mogła poruszać się bardzo szybko, ale strach w krytycznych sytuacjach często dodaje sił.

Woźnica na widok dwojga gnających na łeb na szyję pasażerów otworzył spokojnie drzwi. Tommy przesunęła pakunek pod pachę, Jonathan popchnął ją w górę i rzuciwszy woźnicy: „z powrotem tam, gdzie nas znalazłeś, dodatkowy szyling, jeśli będziesz pędził jak stado szatanów”, wskoczył do środka.

Konie szarpnęły powozem, pasażerowie o mało się nie poprzewracali. Poprawili się na siedzeniach.

Naprzeciwko Jonathana Tommy oparła się na ławce, wzdychając z ulgą. Delikatnie usadowiła pakunek obok siebie, poklepując go i uspokajając.

Jonathan wytrzeszczył oczy.

– To dziecko!

Słowo: „osłupieć” nigdy do nikogo nie pasowało lepiej niż do Jonathana w tej chwili.

Tommy nie wydawała się wzruszona w żaden sposób.

– Na Boga. Powiedziałeś to tak, jakby ktoś inny powiedział: „To ospa!”.

Właśnie wtedy dziewczynka – bo była to właśnie dziewczynka – musiała zauważyć Jonathana.

I krzyknęła.

Krzyczała i krzyczała.

Był to krzyk zupełnie wyjątkowy. Szarpiący nerwy, rozrywający bębenki w uszach, ścinający krew w żyłach wrzask, który odebrał mu parę lat życia, wcisnął w siedzenie i sprawił, że o mało się nie zmoczył. Złapał się na tym, że trzyma się kurczowo ścian powozu, jakby to miało mu pomóc w ucieczce.

Tommy także wpadła w panikę. ściągnęła pelerynę i przez chwilę Jonathana ożywiła irracjonalna nadzieja, że zdusi małe stworzenie.

Tak się jednak nie stało. Tommy zarzuciła pelerynę na ramiona dziewczynki i zaczęła monologować, usiłując ją uspokoić.

– Sally, wszystko w porządku. W porządku. Uspokój się. Uspokój. Uspokój.

Och, dość.

– Natychmiast przestań się drzeć! – ryknął Jonathan.

Sally umilkła, zadziwiająco opanowana i spojrzała na niego wielkimi oczami. Siła jego płuc musiała wywrzeć na niej wrażenie.

Och, co za rozkosz. Rozkoszna cisza. Jak to się stało, że dotąd jej nie doceniał? Poprzysiągł sobie, że nigdy już nie będzie jej przyjmował za rzecz oczywistą.

– Niech… to… piekło pochłonie… – wydusił słabym głosem.

Tommy widocznie nie odzyskała jeszcze głosu.

Czuł, że przydałyby mu się sole trzeźwiące.

Koszmarny krzyk nadal dźwięczał mu w uszach. Wsunął palec do ucha i przekręcił, jakby mógł w ten sposób przywrócić słuch do poprzedniego stanu. Żałował, że nie jest jednym z tych młodzieńców wysokiego stanu, którzy wszędzie noszą ze sobą butelkę whisky.

Głos Tommy nadal drżał leciutko, kiedy się odezwała.

– Sally, to jest… eee… pan Przyjaciel. To dobry człowiek i ufam mu, a jest tu dlatego, że chce ci pomóc. Nigdy by cię nie skrzywdził. Nie ma potrzeby krzyczeć.

– Pan Przyjaciel miałby teraz ochotę skrzywdzić ciebie – mruknął Jonathan ponuro przez zaciśnięte zęby, patrząc na Tommy.

Tommy nie zwróciła na niego uwagi.

Sally przyglądała mu się szeroko otwartymi oczami, z całkowitym spokojem.

Oczami jak u małych piesków i jelonków. Lśniące, ogromne, wilgotne i niewinne. Oto jak maskuje się diabeł, pomyślał Jonathan.

– Kucharka powiedziała, że dostanę kolki, jak będę rozmawiała z obcymi mężczyznami. I żebym krzyczała, jak jakiegoś zobaczę, to znaczy nagle.

– Co za kolki, do wszystkich diabłów? – warknął Jonathan.

Tommy kopnęła go w łydkę.

Posłał jej spojrzenie jak trucizna.

Uniosła brwi do linii włosów.

Wciągnął głęboko powietrze, jakby chciał z niego wyssać cierpliwość w tym domu dla obłąkańców na kółkach. Wydmuchał je, żeby się uspokoić.

Mógł mieć pretensje tylko do samego siebie. Wiedział o tym. Miał szósty zmysł, który pozwalał mu rozpoznawać to, czego się obawiał – denerwujące komplikacje reprezentowane przez takie kobiety jak Tommy. Czerpał ponurą satysfakcję z faktu, że miał wcześniej rację, och, jakże okazał się przewidujący.

– Kucharka ma rację, ostrzegając cię, żebyś nie rozmawiała z obcymi mężczyznami, Sally. Na szczęście, miałam kolkę, kiedy byłam bardzo młoda, dawno temu i wyszłam z tego bez szwanku, więc ode mnie nie możesz się zarazić.

Tommy zachichotała.

– Och. – Sally wydawała się zadowolona.

Przyjrzał się dziewczynce spod ściągniętych brwi. Była bardzo drobna, blada, w przekrzywionym białym czepku na głowie. Spod niego, jak sprężyny, wyskakiwały ciemne loki. Wyraźnie służąca. Zapewne pomywaczka. Nie mogła mieć więcej niż siedem lat. Albo mniej, biorąc pod uwagę jej wzrost.

Odwzajemniała spojrzenie nieśmiało, teraz zaciekawiona. A potem się uśmiechnęła. Miał ochotę przewrócić oczami. Mała flirciara, kapryśna jak ta duża, do której się tuliła. Nie pozwolił się uwieść.

Wtedy zauważył bandaż na jej czole pod czepkiem. Była na nim ciemna plama, wcale niemała.

Podejrzewał, że to krew.

– Co ci się stało w głowę, Sally?

– Pan William mnie uderzył – odparła cicho. Była na tyle mała, że sepleniła. – Wtedy upadłam i się zraniłam w czoło.

– Pan Willi…

Master William to był lord Feckwith, młodszy.

W wieku Jonathana.

I co najmniej trzy razy większy od Sally.

Czy to mogła być prawda?

Tommy nie spuszczała Jonathana z oczu. Wydawało się, że wstrzymała oddech.

– Dlaczego? – zapytał w końcu Sally. Nieco zduszonym głosem.

Choć podejrzewał, że odpowiedź będzie brzmiała: „bo mógł”. Ponieważ dorośli mężczyźni, którzy biją małe dziewczynki… i to tak mocno, że te przewracają się na podłogę…

– Ciii, Sally, kochanie, jesteś grzecznym dzieckiem – wtrąciła stanowczo Tommy. – Już wszystko dobrze. Nie musimy teraz o tym mówić.

Wszystko dobrze?

Wszystko dobrze?

Jonathan posłał jej tak palące, niedowierzające spojrzenie, że woźnica musiał je poczuć przez sufit na siedzeniu i być wdzięczny za ciepło.

Ale Tommy nie chciała patrzeć mu w oczy. Szybko zapomniała albo udawała, że nie pamięta o jego obecności. Śpiewała Sally cichutko jakąś pioseneczkę, a dziewczynka wtulała się w nią; czuła się jak u siebie mimo niezwykłych okoliczności; powieki jej opadały.

Tommy zapewne uśpiła Sally, żeby Jonathan nie usłyszał za dużo, bo im więcej wiedział, tym bardziej się wplątywał… w cokolwiek to było.

W głowie mąciło mu się od pytań, które chciałby zadać.

Och, dostanie odpowiedzi.

O, tak.

Na razie otrząsnął się z płaszcza i rzucił go Tommy.

Popatrzyła na płaszcz nierozumiejącym wzrokiem. Potem podniosła głowę, chcąc najwyraźniej poczęstować Jonathana wyzywającym spojrzeniem.

Jednak gwałtowność tego gestu i jego ponure milczenie ostrzegły ją, żeby nie odmawiać.

Zarzuciła sobie płaszcz na ramiona.

– Dziękuję – szepnęła łaskawie.

Parsknął. Cicho, tak żeby nie obudzić małej bestii.

– Ja też mam coś dla ciebie – szepnęła.

Przesunęła dziecko na kolanach, a on patrzył zafascynowany, jak szuka czegoś za dekoltem.

Wyciągnęła flaszkę i podała mu ją. Zauważył, że szkło przejęło ciepło jej ciała. Przez chwilę, zamiast myśleć, poddał się wrażeniom i sile wyobraźni. Ostatecznie, był przede wszystkim mężczyzną.

Ta dziewczyna to stanowczo za dużo kłopotów, Redmond.

A potem podniósł flaszkę w ironicznym toaście i wychylił jej zawartość jednym haustem.

Parę minut później postukała w dach powozu i mała Sally, śpiąca na jej kolanach, poruszyła się.

– Zejdę sama, ale czy możesz mi ją podać? – zapytała Tommy cicho. – Pan Przyjaciel pomoże ci wyjść, Sally, dobrze? – A do Jonathana:

– Dobrze, panie Przyjacielu?

Co mógł odpowiedzieć. Trudno, żeby wypchnął dziecko butem, jak, na przykład, worek mąki.

Skinął krótko głową.

Zaspana Sally uniosła bezwiednie ręce w górę. Jonathan wsunął się między nie niezgrabnie i dziewczynka objęła go za szyję, jakby to było coś najbardziej naturalnego w świecie, jakby robiła to codziennie.

Podniósł ją. O ironio, ważyła mniej więcej tyle samo co worek mąki.

Mężczyzna jego wzrostu uderzył ją w głowę, ale ktoś, komu ufała, powiedział, że może zaufać jemu i tak zrobiła. Odczuł gwałtowny zawrót głowy, bliski paniki, jakby szedł po linie rozpiętej między budynkami. Boże, jakże niebezpiecznie jest być dzieckiem. I do tego potrafi zmienić się z rozwrzeszczanego potworka w niewinną, ufną istotę w ciągu jednej przejażdżki powozem. Przypuszczał, że to typowe dziecięce zachowanie.

– Dziękuję, panie Przyjacielu – wymamrotała sennie.

– Proszę bardzo, Sally – odparł sztywno.

Albo wtulała się w jego ramię, albo wycierała zasmarkany nos w jego płaszcz. Podejrzewał to ostatnie. Szalone, odpychające stworzenia.

Nie całkiem pozbawione czaru. Odrobiny.

– Jutro rano każę przesłać perły do twojej miejskiej rezydencji – szepnęła Tommy.

Nastał już poranek, ale żadne o tym nie wspomniało. Blade światło przebijało się przez chmurę sadzy nad Londynem, pijacy w Covent Garden zaczynali się wiercić pod wpływem światła, jeśli nie ciepła.

– Musisz mi odpowiedzieć na parę pytań – oznajmił głosem, w którym brzmiała groźba.

– Nie chcesz znać odpowiedzi, wierz mi.

Jonathan, wbrew jej intencjom, odczytał to jako ostrzeżenie.

Pewnie miała rację. On miał niewątpliwie rację co do niej. Że jest skomplikowana jak labirynt i jeden Bóg zna jej prawdziwą przeszłość i pragnienia. Najlepiej zrobi, biorąc perły i zapomni, że ta noc się w ogóle zdarzyła.

– I tak je dostanę. – Stanowcza obietnica w każdym słowie.

Popatrzyli na siebie. To był pat.

– A tak, nawiasem mówiąc, w jaki sposób ci dzisiaj pomogłem? – szepnął.

– Tym razem poszło lepiej. Nikogo nie postrzelono.

Chryste.

– Czy ty…?

Sally poruszyła się i wymamrotała coś przy nodze Tommy, dając dziewczynie pretekst, żeby spojrzeć w dół.

Podniosła nagle głowę, wyraźnie przygnębiona.

– Proszę wybaczyć, panie Redmond, ale ona zostawiła tam zabawkę, małą lalkę… jedyne, co posiada, musi być w środku, w powozie. Możesz popatrzeć? Na naszej ławce? Czy mogę cię o to prosić?

Tak ładnie prosi o taki drobiazg?

Jonathan wskoczył do powozu, zaczął przesuwać palcami po ławce i poruszać nogą po podłodze. Nic nie znalazł.

– Obawiam się, że nie mogę…

Tommy uderzyła mocno pięścią w bok powozu, woźnica strzelił z bata, konie ruszyły, drzwi powozu zamknęły się, a Jonathan przewrócił na ławkę.

Może wyobraził sobie jej śmiech za plecami, ale w to wątpił.

11

Trzy szybkie stuknięcia. Przerwa. Dwa szybkie uderzenia. Przerwa. Cztery szybkie uderzenia.

Tommy skoczyła do drzwi, odsunęła zasuwę i doktor wślizgnął się zręcznie do środka, po czym ruszył energicznie za Tommy w dół po schodach i dalej ciemnym korytarzem.

Znała go jedynie jako „doktora”, co kazało się domyślać, że zajmował się równie ciemnymi sprawami jak mieszkańcy domu; nikt też nie wiedział dokładnie, gdzie mieszka. Plotka głosiła, że zrobił świetny interes, handlując zwłokami. Jego bladość wskazywała, że pracował głównie w nocy. Nie było jej trudno wyobrazić sobie doktora sprzedającego ciała, ale żywych opatrywał całkiem kompetentnie. Rutheford go znalazł – przez znajomego, którego znajomy znał doktora. Nie mogła się skarżyć, zwłaszcza że zgadzał się pracować na kredyt, a jej środki były bardzo skromne.

– Dziękuję, że przyszedłeś, doktorze. Jest tutaj. – Uprzedziła już Sally, że doktor, podobnie jak pan Przyjaciel, przeszedł w życiu kolkę – zapewniając w ten sposób spokój podczas badania, a Sally, która szczęśliwie interesowała się wszystkim co nowe, siedziała z szeroko otwartymi oczami i palcem w buzi. Zasnęła jak kamień – albo raczej jak dziecko – kiedy zjawili się w domu poprzedniej nocy.

– Popatrzmy na twoją zranioną główkę, dobrze?

Doktor długimi, cienkimi palcami odwinął bandaż z głowy dziecka i spojrzał.

– Należało to zaszyć. – Miał suchy, chropowaty, beznamiętny głos. Odwrócił się do Tommy z lekkim uśmiechem. Przypominał, jak pomyślała skruszona Tommy, rybę. Miał wodniste, niebieskie, okrągłe i małe oczka, usta wilgotne, różowe i mięsiste.

– Teraz, niestety, trochę na to za późno. Zostanie blizna.

Tommy mocno ścisnęła Sally za rękę.

– Jesteś bardzo dzielną dziewczynką. Będziesz miała wspaniałą bliznę. Blizny są ozdobą. Ja sama mam ich kilka.

– Czy pan Przyjaciel ma blizny?

– Z pewnością wiele. Wszyscy dzielni ludzie je mają. – Najpewniej w bębenkach uszu po dzisiejszym poranku, pomyślała Tommy.

Tego rana Sally wspominała pana Przyjaciela z pół tuzina razy. Jonathan Redmond dokonał kolejnego podboju. Czuła się nieco winna, że pozbyła się go poprzedniego wieczoru w sposób tak bezceremonialny, ale wywiązała się ze swojej części umowy – wysłała perły.

Tommy trzymała Sally za rękę, podczas gdy doktor przemył ranę, zgrabnie i szybko obandażował jej głowę, a następnie zbadał wzrok i odruchy, sprawdzając, czy nie odniosła jakichś trwałych szkód.

– Czy jeszcze coś cię boli, kochanie? – zapytała Tommy łagodnie.

– Tutaj. – Dziewczynka wskazała ramię. Pod wpływem uderzenia przewróciła się najpierw na bok pieca, a potem na podłogę. Tommy powiedziano, że zwichnęła sobie ramię.

Doktor obejrzał bolące miejsce.

– Trochę posiniaczone, ale po paru dniach odpoczynku będzie dobrze.

– Dziękuję – powiedziała Sally słodkim głosikiem. Spojrzała na Tommy, która mrugnęła do niej, wyrażając aprobatę dla jej dobrych manier.

– Proszę bardzo – odparł doktor beznamiętnym głosem. – A teraz, panno de Ballesteros, czy zechciałabyś odprowadzić mnie do drzwi?

– Ja… – Tommy zawahała się. Uregulowała rachunki z doktorem, który był tak miły, że zgadzał się czekać w przeszłości na zapłatę. Musiało mu chodzić o coś innego. – Oczywiście. Chwileczkę. – Zdjęła z półki starą, ale dobrze zachowaną książkę z obrazkami. – Pięknie ilustrowane, barwne litery alfabetu.

– Będziesz grzeczna i poczekasz? Zaraz wrócę. Tu masz książkę z obrazkami, którą uwielbiałam w dzieciństwie.

Sally wzięła ją w obie ręce z najwyższym szacunkiem i usiadła przy stole, otwierając ją z instynktowną delikatnością, która poruszyła serce Tommy.

– Chodźmy – zwróciła się do doktora. Szli po schodach i słabo oświetlonym korytarzem w dziwnym milczeniu. Kiedy zatrzymał się przy drzwiach, zamiast je otworzyć, poczuła się nagle niezręcznie, stojąc tak blisko niego w wąskiej przestrzeni. Bliskość drzwi dodawała jej otuchy; położyła rękę na klamce, opuszczając ją do połowy.

Zauważył to.

I uśmiechnął się w taki sposób, że zjeżyły jej się włosy na karku.

– Jak wiesz, panno de Ballesteros, od jakiegoś czasu cieszyliśmy się pewną umową.

„Cieszyliśmy” było niewątpliwie interesującym określeniem tego stanu rzeczy. Tommy przyprowadzała mu pacjentów, albo on przychodził tutaj, żeby ich obejrzeć, zszywał rany, nastawiał kości, przepisywał proszki jak należało i odchodził. I chociaż często pracował na kredyt, ostatnio uregulowała wszystkie zaległości.

– Czy opuszczasz nas, doktorze? Będzie mi przykro. Ucieszyłam się, mogąc spłacić zobowiązania – powiedziała swobodnym tonem.

– Ach, tak. Jeśli o to chodzi. Obawiam się, że muszę podnieść opłaty, moja droga, ponieważ moje własne wydatki bardzo ostatnio wzrosły. A biorąc pod uwagę tajny aspekt naszej umowy, sądzę, że należy mi się dodatkowe wynagrodzenie za milczenie.

Znieruchomiała. Na jej twarzy zastygł przyjazny uśmiech. Piekielnie dużo słów, podczas gdy wystarczyłoby jedno – wymuszenie, zżymała się w duchu.

Przyszło jej do głowy, że nigdy nie widziała, żeby ten człowiek mrugał.

– Ależ, proszę – odezwała się przymilnie, próbując go oczarować. – Sądziłam, że zgodziłeś się, doktorze, że dostajesz dobre wynagrodzenie za swoje trudy.

– Mam na myśli inny rodzaj wynagrodzenia.

Powiedział to wprost. Obojętnym tonem. Bez chwili wahania.

Nie mogła go źle zrozumieć.

Brać proszki dwa razy dziennie. Zmieniać opatrunek raz dziennie.

Rozłożyć nogi szeroko.

Mówił takim właśnie suchym, oficjalnym tonem.

Poczuła dreszcze obrzydzenia. Nagle z trudem łapała powietrze.

– Widzę, że cię zaskoczyłem. Sądzę jednak, że przyznasz, że łączy nas szczególna więź. Dałaś mi jasno do zrozumienia, że jestem dla ciebie pociągający.

Zamrugała. To się jej chyba śniło?

– Doktorze – powiedziała łagodnie, ostrożnie. – Jeśli uznałeś moją uprzejmość i uznanie za coś więcej, bardzo mi przykro. Chciałam po prostu okazać dobre maniery.

– A jednak. Sądzę, że znajdziesz we mnie doskonałego i troskliwego kochanka, panno de Ballesteros.

Nie wiedziała, które z tych słów przeraziło ją najbardziej.

Zadrżała.

– I z pewnością znajdziesz dla mnie miejsce wśród swoich codziennych zajęć. Nie mogę żądać za wiele. Raz w tygodniu wystarczy, począwszy od jutra?

Wyłuszczył swoją sprawę do końca. Uśmiechnął się lekko, uprzejmie, profesjonalnie.

– Z pewnością… doktorze, nie mówisz poważnie?

– Nigdy nie żartuję – odparł zaskoczony.

W to uwierzyła bez trudu.

– Ale twoja żona…? – Czy w ogóle miał żonę?

– Nigdy się nie dowie, nieprawdaż? A dla takiej kobiety jak ty jeden mężczyzna więcej to, jak sądzę, żaden problem.

Wyprostowała się na całą wysokość, jak atakująca kobra. Ogarnęła ja taka furia, że doktor, w końcu, zamrugał.

– Nie wiem, co rozumiesz przez „kobieta taka jak ty” – powiedziała bezbarwnym głosem. – A to, że zwracasz się do mnie w ten sposób, dowodzi, że nie znasz mnie wcale, nie mówiąc już o domniemaniu, że łączy nas szczególna więź.

Uśmiechnął się tylko przelotnie, jakby oboje wiedzieli, że ona kłamie.

– Dziecko będzie tu także jutro, doktorze.

– Cóż, nie jestem zwierzęciem, panno de Ballesteros. Jej pokój można zamknąć. To nie zajmie dużo czasu, spodziewam się, że pójdzie raczej szybko, jako że wyobrażałem to sobie od dłuższego czasu, a wyobraźnia wpływa na przyśpieszenie tego rodzaju rzeczy.

To ją zmroziło, pchnęło w jakiś koszmar. Tommy zamarła, nie będąc w stanie nie wyobrażać sobie, jak on to sobie wyobraża.

– Wrócę jutro, żeby odebrać, co mi się należy, a ponieważ jesteś rozsądną kobietą, spodziewam się cię zastać. Tak czy inaczej, panno de Ballesteros, dostanę, co mi się należy. Myślę też, że zgodzisz się ze mną, że wymiana usług to bardzo dobry układ i uwolni cię od nadmiernych obciążeń finansowych.

– Tak, prawdziwy z pana Samarytanin, doktorze, troszczący się o mój najlepiej pojęty interes.

– Do widzenia.

Włożył kapelusz i skłonił się; kiedy poszedł, Tommy zaryglowała drzwi i rzuciła się na nie całym ciałem.

Wyobrazić sobie coś takiego.

Kolejne kłopoty, w których tkwiła po uszy.

Wraz ze stosami zaproszeń, które nagle zaczęły go wprawiać w ponury nastrój, a na które wskazywała matka, uśmiechając się i unosząc brwi, Jonathan znalazł paczuszkę zawiniętą w brązowy papier, przewiązaną sznurkiem i zaadresowaną do Jonathana Redmonda – od pewnego Thomasa B.

– Przyniósł to dzisiaj przedziwny mężczyzna – powiedziała matka. – Lokaj się

przestraszył.

Bez wątpienia Rutheford.

Wziął paczkę i zacisnął usta.

Niech go diabli, jeśli ta kobieta zdobędzie nad nim przewagę. Dowie się, co takiego właściwie wczoraj zrobili.

– Cudowny dzień na konną przejażdżkę – powiedziała matka z naciskiem. – A jak wiem od lady Worthington, jej córka, Grace, znakomicie dosiada klaczy.

– Cudowny dzień, w istocie – przyznał. – Mam jednak swoje plany i mój dzień jest wypełniony.

Zasadniczo sprzedażą pereł, stawianiem Niemca na nogi i badaniem marcepanowego szlaku.

Znał niewielki zakład jubilerski, Exley & Morrow, którego właściciele wpadną w ekstazę, mogąc kupić perły od Jonathana, a nie za wyższą cenę od marszanda.

Transakcja przeszła gładko ku zadowoleniu obu stron; pan Exley nie zadawał niewygodnych pytań co do ich pochodzenia. Jonathan, z przyjemnym plikiem banknotów, nareszcie oddychając swobodnie, zatrzymał się u radcy prawnego, żeby zapłacić zaległy czynsz za drukarnię Klausa na Bond Street.

Spotkał – a raczej znalazł – Klausa przed paroma miesiącami, kiedy natknął się na niego przed kasynem. Klaus szlochał cicho, chociaż nie jak pijak; Jonathan dowiedział się (szło to powoli, ponieważ Klaus posługiwał się głównie dla siebie zrozumiałą mieszaniną angielskiego i niemieckiego), że stracił niemal wszystkie pieniądze przy stole, a resztę ukradli mu uliczni bandyci.

Jonathan zaprowadził go do pubu, postawił drinka i pożyczył parę funtów. *Ale* i uprzejmość ożywiły Klausa, który odzyskał swoją naturalną pogodę ducha i płynność mowy – całą historię opowiedział teraz bardzo dobrym angielskim – tym, jak porzucił nieco wcześniej rodzimą Bawarię, żeby przybyć do Londynu, jak rozwinął metodę druku w kolorze i dużych ilościach stosunkowo niewielkim kosztem i o tym, jak wynajął sklep przy Bond Street, na który teraz, wskutek głupiego błędu (pierwszy i ostatni raz grał w kasynie), nie było go już stać.

A Jonathan po prostu… wiedział, w chwili, kiedy to usłyszał. Dobre pomysły pojawiają się właśnie w ten sposób. Nie umiał tego opisać, ale w takiej sytuacji w jego głowie rozlegał się jakby wewnętrzny dzwon.

Poszedł na Bond Street, żeby przekazać Klausowi dobre nowiny jedną po drugiej.

Najpierw o pornografii. Żeby go rozbawić.

Klaus uznał pornografię za wspaniały pomysł, ale Jonathan, trochę ku własnemu

zaskoczeniu, sprzeciwiał się z żalem ale nieugięcie.

– Chodzi o to, żeby nas kojarzono z produktami wysokiej jakości. Czymś uznawanym za ekskluzywne i wyjątkowe, co każda dama chciałaby kupić czy posiadać, a każdy dżentelmen pragnął kupić dla damy. Czymś, co będzie pożądane, sprzedawane, zamawiane. A cena ma być wysoka, ale nie przesadnie wysoka. Liebman, czy jesteś na to gotowy?

Klaus pochylił się, podniecony i zaciekawiony.

– Zaczniemy od talii kart z podobiznami przedstawicieli dworu.

Klaus otworzył szeroko oczy. Jego usta ułożyły się w literę „o". A potem wyrzucił ramiona w górę, poklepał Jonathana po plecach dla zachowania równowagi; nie posiadał się z zachwytu.

Złożył dłonie i wyrzucił z siebie ekstatyczną przemowę po niemiecku. Jonathan posługiwał się francuskim, hiszpańskim i włoskim w stopniu bardziej niż zadowalającym, ale niemiecki wciąż brzmiał w jego uszach jak pocierane i uderzane o siebie kawałki drewna.

– Klaus! Nie po niemiecku! Klaus! Mów po angielsku! Proszę!

– Och, wybacz, mein freund. To cudowna myśl. Wszyscy będą chcieli je mieć. – Klaus na tyle długo mieszkał w Londynie, żeby wiedzieć, co oliwi koła sukcesu: plotka, status, próżność.

– Potrzebny nam artysta.

Jak Jonathan zdążył zauważyć, Klaus był praktyczny. I przysiągł, że jego noga nigdy więcej nie postanie w kasynie. Doskonała cecha u partnera w interesach.

Jonathan zamyślił się, a po chwili pstryknął palcami:

– Znam kogoś takiego!

Wreszcie jakiś pożytek z salonu Tommy de Ballesteros! Wyndham, artysta, który namalował erotyczne portrety dla domu publicznego Aksamitna Rękawica i który ponoć sportretował Tommy. Na pewno ma dość talentu, żeby stworzyć proste matryce do kart…

Musi go tylko przekonać, żeby pracował za procent od zysków.

– I może… będą nam potrzebne modelki. – Na tę myśl twarz Klausa rozświetliła się. – Wyobraź sobie, Redmond, straciłem ostatnią koszulę w karty, a teraz karty zwrócą mi przyszłość. I może modelki.

Jonathan zastygł w bezruchu. Teraz on patrzył na Klausa zdumionymi oczami.

Przyszłość zawsze możesz powierzyć kartom, powiedział mu ojciec.

A potem powoli na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Ten uśmiech nie wróżył dobrze jego ojcu.

– Klaus. Klaus. Klaus. Klaus. Jestem genialny – zawołał z zachwytem. – My

jesteśmy genialni. Będziesz miał swoje modelki. I wypuścimy dodatkową talię, która pewnie okaże się tak samo popularna jak pierwsza, jeśli nie bardziej. Z małą pomocą Argosiego, Księgi Zakładów u White'a i tej rzeki, która nas karmi – plotki.

12

Słońce wpadało do pokoju przez mały prostokąt okna, Sally chichotała przy śniadaniu złożonym z chleba i sera – beztroski śmiech dziecka to z pewnością dźwięk światła słonecznego – w takim otoczeniu Tommy nie mogła uwierzyć, że doktor mówił poważnie. Po pierwsze, widział Rutheforda. Bliskość takiego Behemota to chyba dość, żeby mężczyzna się zastanowił, co robi?

Im dłużej myślała, tym bardziej nabierała przekonania, że to po prostu jeszcze jedna przeszkoda do pokonania, a czym było jej życie, jak nie serią przeszkód, które nie tylko pokonała, ale pokonała z triumfem?

Trzeba będzie znaleźć innego doktora.

Pytanie, co się stanie z Sally, wydawało się jednak bardziej palące.

O trzeciej Tommy zostawiła Sally pod opieką Rutheforda, żeby pójść i spróbować zdobyć trochę chleba i sera na kredyt i może, może, odrobinę wołowiny, ufna, że Rutheford wyrzuci doktora za drzwi, jeśli ten się pojawi.

Potężny łomot zachwiał budynkiem. Słodka Mario – tylko jedna rzecz mogła wywołać taki hałas. Wbiegła do budynku, nie zawracając sobie głowy zamykaniem drzwi, pognała korytarzem i w górę po schodach do mieszkania.

Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się w porządku.

A potem zobaczyła doktora – siedział wygodnie na kanapie z kieliszkiem brandy w ręku.

Na podłodze, jak ogromny morski ssak leżał Rutheford z ręką przerzuconą przez pierś.

Serce przestało jej bić. Upuściła pakunki, zataczając się, podeszła do ciała i opadła na kolana obok niego. Zakryła dłońmi twarz.

Skoczyła z powrotem na równe nogi, wyrzucając z siebie zduszonym, przerażonym głosem:

– Czy on…? Czy ty…?

– Nie, nie. Nie zajmuję się zabijaniem. Zajmuję się leczeniem.

– Och, jaka jestem głupia – powiedziała z goryczą. Teraz zauważyła: klatka piersiowa Rutheforda wznosiła się i opadała miarowo. – Więc co mu zrobiłeś?

Gdzie jest Sally?

– Jest tylko w ramionach Morfeusza. I tak będzie przez dłuższy czas. Z pewnością na tyle długo, żebyśmy zdążyli sprawić sobie przyjemność. Wypiliśmy razem – jaki mężczyzna odmówi odrobiny dobrej brandy? Udawałem rozsądnego, zrezygnowanego i pełnego zrozumienia, prosiłem o wybaczenie i zapytałem, czy wypiłby za nasze rozstanie. Dosypałem proszku do jego kieliszka. Dałem mu dawkę jak dla konia. Co to był za hałas, jak się przewrócił. Dziecko tylko śpi, jak to dziecko – wydaje się, że przespała to wszystko. Obejrzałem ją i wszystko jest w porządku. Czy przeniesiemy się do twojej sypialni?

Rozluźniał krawat.

– Czy prze… – zakrztusiła się. – Czyś ty zwariował?

– Och. A zatem wolisz tutaj? – Rozejrzał się po pokoju. – Mógłbym cię wziąć na tym stoliku i nie musisz się kłopotać zdejmowaniem całego ubrania. Tak będzie wygodniej dla nas obojga, a mało prawdopodobne, żeby Rutheford był czegokolwiek świadomy jeszcze długo. Och, mamy też kanapę, mogłabyś wejść na mnie. Może znasz jakieś nowe i interesujące pozycje, które okazałyby się przyjemne dla nas obojga?

Teraz zaczął rozpinać spodnie.

– Nie, choćbyś był ostatnim mężczyzną na ziemi, doktorze.

Rozpaczliwie nie chciała spojrzeć na to, co się uwidoczniło w rozpiętych spodniach.

– Och, to już przesada – stwierdził urażonym tonem. – Nie jestem całkiem odpychający. Bądź grzeczną dziewczynką, usiądź tutaj i podnieś spódnicę. Skończę, zanim się zorientujesz. Mam umówioną wizytę za jakąś godzinę, więc zaraz potem wyjdę.

Jego niezwykle suchy, beznamiętny głos wzmagał obrzydzenie.

Szedł ku niej. Cofnęła się odruchowo, ale natknęła się po drodze na ciało Rutheforda, potknęła się i przewróciła pod ścianą.

– Doskonale. Wspaniały pomysł. Tutaj pod ścianą będzie dobrze.

Cios kolanem w jądra. Nadepnięcie na stopę. Dobrze znane, pradawne sposoby zniechęcania mężczyzny.

Ale doktor szybko, energicznie, jak wszystko, co robił, chwycił jej nadgarstki w jedną rękę i przycisnął je do ściany.

Warknęła głucho, jak zwierzę. Boże, jakże nienawidziła wszystkiego, co więziło jej nadgarstki.

Próbowała unieść kolano, ale przewidział to. Przygniótł ją całym ciałem. Czuła jego miękki brzuch i członek, który zaczynał pęcznieć.

Miał zimne i wilgotne dłonie i z tego powodu, bardziej niż z innego, chciała krzyczeć. To był dowód, że w istocie miała do czynienia z półrybą.

Wolną ręką zaczął podciągać jej spódnice.

Gdyby próbowała się poruszyć, pewnie złamałby jej nadgarstki.

Dobrze. Zatem pozostaje gryźć.

Ojcowski medal palił ją wewnątrz gorsetu, czerpała z niego odwagę i wytrwałość. Przekręciła głowę, żeby zatopić zęby w jego ręce.

Nagle wybałuszył oczy. Szczęka mu opadła. Puścił jej ręce i podniósł swoje do gardła, dysząc wstrętnie.

A potem nagle zaczął lewitować.

Machał nogami na jej przerażonych oczach, jego ciało wygięło się. Całkiem jak ryba na haczyku.

W końcu zdołała oderwać oczy od paskudnego spektaklu, jakim była jego twarz i podniosła wzrok wyżej.

Odkrywając, że doktor miota się, trzymany żelazną pięścią Jonathana Redmonda. Jonathan trzymał go za kołnierz.

Oczy doktora niebezpiecznie wychodziły z orbit. Purpurowiał na twarzy.

– Lepiej go już puść – odezwała się Tommy słabym głosem.

Jonathan posłuchał.

Doktor spadł z nieprzyjemnym łoskotem na kolana. Dyszał i sapał, walcząc o powietrze.

Jonathan dotknął go ostrożnie, z namysłem, czubkiem buta, jakby był niewiadomego pochodzenia grzybem z lesie.

Wtedy spojrzał na nią.

– Czy nic ci się nie stało? – Wyraz twarzy miał straszny.

– …nic? – jęknęła. – Nic. Dziękuję. Co za wspaniała koordynacja w czasie.

Oboje popatrzyli teraz na doktora.

– Nie mogę zdecydować, czy zabić cię teraz – zwrócił się Jonathan zamyślonym tonem do osobnika na podłodze – czy polować na ciebie na ulicy dla przyjemności.

Głos wychrypiał gniewnie, z trudem:

– Nigdy… mnie… nie znajdziesz. A tacy, jak ty, nie mordują. Już byś to zrobił, jakbyś miał taki zamiar.

– Tacy jak ja? – Jonathan był rozbawiony. – Obawiam się, że dzisiaj to raczej wynika z braku czasu, żeby pozbyć się ciała. Tommy, podasz mi torbę doktora?

Podała. Jonathan sięgnął do środka i wyciągnął nożyczki. Otworzył je i zamknął, sprawdził ostrze czubkiem palca.

Doktor, teraz już przerażony, usiłował się podnieść.

– No, wasza lordowska mość, czy kim tam jesteś…

Jonathan podniósł nogę i od niechcenia pchnął doktora ponownie do pozycji klęczącej.

– Wskaż coś w pokoju, doktorze. Coś z wystroju. Cokolwiek. Zrób to.

Doktor nie stawiał pytań. Rozejrzał się. A potem drżącym palcem wskazał mały obramowany portret Tommy w zielonej sukni, patrzącej śmiałym wzrokiem na pokój. Wisiał nad kanapą na wąskiej wstążeczce. Jakieś piętnaście stóp dalej.

Jonathan przyjrzał mu się uważnie. Tommy nigdy nie widziała kogoś, kto trwałby w takim bezruchu.

Poruszył nadgarstkiem i nożyce poszybowały w powietrzu.

Obraz spadł z hukiem na podłogę.

Nożyce wbiły się w ścianę, drżąc. Przecięły wstążkę.

Tommy odwróciła się powoli, patrząc na Jonathana z podziwem.

– Wymienię ramę – zapewnił Jonathan obojętnym tonem.

Doktor rozdziawił usta.

– Tak łatwo jest kogoś niepostrzeżenie zamordować, doktorze. Rzucę w ciebie rzutką, której czubek umoczę wcześniej w truciźnie, wbije się w tę żyłę, która pulsuje na twojej oślizłej, chuderlawej, białej szyi. Nigdy nie chybiam. Czy chciałbyś kolejnego popisu? Czy mam ci dać fory i potem ścigać cię z rzutką na ulicy?

Twarz doktora przybrała szczególny odcień bladej zieleni.

– Jeden popis wystarczy, dziękuję – zdołał wymamrotać.

– Wstań – rozkazał Jonathan.

Doktor oparł się najpierw na kolanach i dłoniach, potem podniósł się z trudem na nogi. Zakasłał paskudnie.

– Tommy, czy mam tchórzowi złamać jakąś kość, zanim wyjdzie, żeby nie mógł uprawiać sztuki lekarskiej? Wybierz kość – powiedział, jakby podawał jej talerz słodyczy.

Z doktora lał się pot.

– Pójdę. Pójdę. Proszę… po prostu pozwólcie mi odejść.

– Naprawdę? Już błagasz? Nie jestem pewien, czy już pozwolę ci odejść. Zwykle torturuję swoje ofiary, póki nie zrobią pod siebie. Tych, którzy próbują krzywdzić kobiety.

Doktor przeraził się. Zacisnął powieki, z jego ust wydobył się szept, być może modlitwa.

Jonathan westchnął.

– Przestań. Najpierw przeprosisz damę.

– Przepraszam – wydusił chrapliwie. – W istocie, przeklinam dzień, kiedy cię zobaczyłem.

Tommy podejrzewała, że to odzwierciedla również uczucia Jonathana.

– I nigdy nie zbliżysz się do niej, bo inaczej twoja śmierć nie będzie piękna. – Jonathan odbezpieczył pistolet, wyciągnął rękę i złapał doktora za kołnierz. Dźgnąwszy go lufą, poprowadził nieszczęśnika korytarzem i dalej.

Tommy nie ruszała się, zaszokowana.

Jonathan wrócił i schował pistolet do kieszeni płaszcza. Jakby zachowywał się w ten sposób na co dzień.

Zatrzymał się, patrząc na nią, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. Pokiwał głową powoli. Zacisnął usta w zamyśleniu.

Odezwała się pierwsza.

– W jaki sposób znalazłeś…?

– Twój dom? Marcepanowe maliny – odparł roztargnionym tonem. Twarz miał wciąż białą z wściekłości.

Uznała, że najmądrzej będzie nie prosić o dalsze wyjaśnienia.

– Drzwi nie były zaryglowane, co już mnie zaniepokoiło, a kiedy podszedłem do drzwi, usłyszałem… twoją… rozmowę z doktorem. – Ogarnął ją wzrokiem, upewniając się, że jest cała i zdrowa. – Na pewno nic ci nie zrobił?

– Nic. Dziękuję – odparła cicho. – Zamierzał.

Widziała, jak zacisnął szczęki. Podszedł do ściany i wyciągnął nożyce. Zważył je z namysłem w dłoni.

– Potrzebuję wyjaśnienia. Teraz.

Jego głos wskazywał, że nie zniesie sprzeciwu.

– Jest doktorem – zaczęła paplać. – Sprowadziłam go, żeby zbadał Sally. Zawsze zachowywał się profesjonalnie, choć tajemniczo… Naprawdę jest doktorem – dokończyła żałośnie. – Uznał, że woli inny rodzaj zapłaty.

– Najwyraźniej – stwierdził beznamiętnie Jonathan.

Zagryzła wargę i zerknęła na drzwi pokoju Sally. Wciąż były zamknięte.

– Co, do diabła, zdarzyło się zeszłej nocy? Czy porwaliśmy dziecko? I ostrzegam. Nie zniosę wykrętów.

Ostrzeżenie było zbędne. Miała dość rozumu, żeby nie używać wykrętów wobec tego szczególnego wcielenia Jonathana Redmonda.

Wciągnęła głęboko powietrze, żeby powiedzieć głośno coś, czego ze wszystkimi szczegółami nie mówiła dotąd nikomu na ziemi.

– To dziecko z domu pracy, sprzedane w niewolę jako pomywaczka. Dostała szylinga w zamian za podpisanie papieru stwierdzającego, że lord Feckwith staje

się w istocie jej właścicielem, póki nie skończy dwudziestu jeden lat. Podjęła tę decyzję w wieku sześciu lat, Jonathanie. Mógłbyś podjąć taką decyzję, mając sześć lat? Te dzieci można sprzedawać i kupować.

– A zatem chcesz mi powiedzieć, że ukradłaś służącą Feckwitha?

Potrząsnęła energicznie głową.

– Myślisz, że dożyłaby dwudziestu jeden lat? Lord Feckwith ją bił. Brutalnie. Więcej niż jeden raz. Raz dlatego, że upuściła kubeł na węgiel, hałasując, kiedy chciał spać, drugi raz, bo akurat weszła mu pod nogi na korytarzu. Wtedy uderzył ją z rozmachem, aż się przewróciła. Należało zaszyć ranę na czole. Jej ramię… – walczyła, żeby wydobyć z siebie następne słowo – …zwichnięte.

Odchylił nieco głowę do tyłu, jakby go uderzono. Przyjął to w milczeniu. Chwilę trwało, zanim się odezwał.

– Skąd wiesz to wszystko? – Głos miał opanowany. Ale przygaszony.

– Tego nie mogę ci powiedzieć.

– A więc inni ludzie oprócz ciebie są w to wmieszani.

Milczała.

– Od dawna to robisz?

Długie, długie milczenie.

Nagle, bez uprzedzenia, wyciągnął rękę i chwycił ją lekko za ramię, obracając je delikatnie.

Rana po kuli. Miał bystry wzrok, więc zauważył i rozpoznał od razu. A rękawy jej dziennej sukni były na tyle krótkie, żeby to miejsce odsłonić.

Przyglądał się bliźnie długą chwilę. Nie próbowała się uwolnić.

Twarz mu pociemniała, zamyślił się, nie sposób było odczytać jej wyrazu.

– Och, Boże – szepnął cicho. – Wiedziałem, że oznaczasz kłopoty.

Bardzo delikatnie uwolnił jej ramię.

Jonathanowi ścisnął się żołądek. Mógł prawie objąć jej ramię dłonią. Miała miękką, jedwabistą skórę. I ktoś do niej strzelał.

Z drugiej strony, wydawało się, że ma szczególny dar pakowania się w tarapaty.

– A kto ma im pomóc? – Była przybita. – Zaczęło się przypadkiem… ktoś dał znać, że jest szansa… Z pomocą, och, paru innych osób, pomogłam uciec małemu chłopcu z domu, gdzie go maltretowano i znalazłam mu dom daleko od Londynu, gdzie uczy się rzemiosła i jest dobrze traktowany.

Okropność tego, o czym opowiadała, odebrała mu głos. Wsunął palce we włosy.

– To szaleństwo, Tommy – odezwał się w końcu słabym głosem. Przeraziło go, jak w istocie było to szalone i niebezpieczne.

Szalone i niebezpieczne i…

…wspaniałe i szlachetne i zupełnie nieoczekiwane.

Nigdy nie przyszłoby mu coś takiego do głowy. Elegancka Tommy de Ballesteros, w zwiewnych szatach, zniewalająca czarem. Swego rodzaju Robin Hood. Szlachetna lwica.

Pomyślał przez chwilę o pięknej, kruchej, wyniosłej i czarującej Oliwii Eversea, o jej broszurach przeciw niewolnictwu, jej zapale. Podejrzewał, że kieruje nią prawdziwa pasja. Teraz lepiej rozumiał, dlaczego Lyona to pociągało, jak pragnął ogrzać sobie dłonie przy tym ogniu.

– Nie. Bicie i wykorzystywanie dzieci to szaleństwo. Praktyki, które na to pozwalają, to szaleństwo. Prawa są niewystarczające i nigdy nieprzestrzegane i żaden przeklęty polityk nie wydaje się zdolny do tego, żeby to zmienić. Jestem nikim, doprawdy, ale jeśli mogę pomóc, choćby jednemu dziecku za każdym razem… a tyle ich jest, Jonathanie. Tyle ich jest. Powiedz mi… – zniżyła głos do namiętnego szeptu, podnosząc gwałtownie brodę. – Uderzyłbyś ją?

Sally stała w drzwiach, przecierając oczy. Szczęśliwie przespała wszystko.

– Pan Przyjaciel!

Była uszczęśliwiona, widząc kogoś, kogo widziała wcześniej raz w życiu.

Jonathan patrzył na nią zdumionymi oczami. Była taka… mała. Taka ufna. Pełna wiary w to, co w ludziach najlepsze, wbrew własnym doświadczeniom. Ciesząca się drobiazgami.

Przejął go chłód. Uderzyć ją z jakiegokolwiek powodu było nie do pomyślenia. Taka sytuacja wydawała się groteskowa. Sally była nie tylko dzieckiem, ale także służącą. Kimś, kto nie był w stanie się bronić.

– Dzień dobry, Sally – powiedział uprzejmie. Trochę nieobecnym tonem.

Dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało.

– Czy masz blizny?

Zamrugał.

– Czy ja…?

– Pokażesz mi?

Miała buntownicze, lśniące czarne loki i ogromne brązowe oczy. Jak, na Boga, można było tym oczom czegoś odmówić? Absolutnie niemożliwe.

Tommy tłumiła śmiech.

– No, dalej, panie Przyjacielu. Powiedziałam jej, że wszyscy dzielni ludzie mają blizny. Ona będzie miała jedną wspaniałą bliznę na czole.

– Och, mam blizny. Tylko że tyle ich jest, że trudno mi wybrać – wymamrotał Jonathan.

– Najdzielniejszą – zażądała Sally.

– Najdzielniejszą… – wciągnął powietrze. – Doskonale. – Zrzucił płaszcz, odpiął spinki przy mankietach, podwinął rękaw i uklęknął przy małej.

Na jego przedramieniu widniało surowe, różowe cięcie. Nabytek z ostatniej przygody, kiedy kogoś ratował.

– Oficjalnie to jeszcze nie jest blizna, Sally. Ale będzie i to wspaniała. Pewnego dżentelmena napadła banda zbirów przed … – słowem „sklep" zastąpił „kasyno" – a ja wtrąciłem się, żeby mu pomóc. Dostałem nożem, ale wszyscy dobrzy ludzie wyszli z tego bez szwanku.

Z czego jasno i wyraźnie wynikało, że „źli ludzie" wyszli „ze szwankiem". Głęboko uśpiony Rutheford na podłodze zachrapał i przewrócił się na bok.

– On tylko śpi – powiedział łagodnie Jonathan, a Sally przyjęła to, jak się wydawało, całkiem naturalnie.

– Ooooooch. – Patrzyła na bliznę z podziwem, wcale nieskonsternowana opowieścią o brutalnym zajściu. – Czy to boli?

– Już nie tak bardzo. Ten siniak pojawił się razem z blizną i już znika. – Wskazał ślad pod okiem. Siniak, który naznaczył go jako awanturnika w oczach księcia Greyfolk.

Tommy przyglądała się im obojgu, a kiedy podniósł głowę, na jej twarzy widniał wyraz wystudiowanej niewinności, podszytej triumfem.

– A zatem wtrąciłeś się, panie Redmond, kiedy zobaczyłeś, że dzieje się coś złego?

– Jak mógłbym inaczej?

– Masz więc zwyczaj interweniowania w takich wypadkach? Czyż nie zrobiłeś tego dzisiaj dla mnie?

– To nie tyle zwyczaj… – urwał.

Pomyślał o Klausie Liebmanie. O straganiarzu, chłopcu złodzieju i żałosnej chusteczce, jaką dała mu Tommy. I o tajemniczym dżentelmenie przed kasynem, którego wybawił z rąk bandy nożowników, a który, zataczając się, półprzytomny i przerażony, odszedł w noc, krwawiąc w chusteczkę Jonathana i mamrocząc podziękowania.

I, oczywiście, o tym, co zdarzyło się dzisiaj, kiedy był gotów popełnić morderstwo dla stojącej przed nim kobiety.

– Nie każdy „interweniuje", panie Redmond. Ty po prostu nie masz wyboru.

– Nie mam wyboru – powtórzył cicho. Z ponurą rezygnacją.

Postawiła na swoim.

To nie było całkiem to samo, ale nie chciał teraz o tym dyskutować. Wzięła pod uwagę tę jego cechę, prosząc go o pomoc, co w jakiś przewrotny sposób podziwiał

i omal nie uśmiechnął się smętnie. Ta kobieta była diabelsko sprytna.

Westchnął. Chryste. To, co robiła, było niedopuszczalne i szalone i ogromnie go to niepokoiło. Bezprawie i niebezpieczeństwo. Wielkość i heroizm.

To go przerażało do szpiku kości.

I, prawdę mówiąc, podniecało.

Boże, zbaw go od skomplikowanych kobiet.

Po prostu nie mogła tego ciągnąć. Złapią ją. To, w gruncie rzeczy, tylko kwestia czasu.

Wszystkie mięśnie jego ciała napięły się w proteście. Nie. Nie. Nie chciał być wybawcą Tommy de Ballesteros. Poważnie wątpił, na przykład, żeby taka lady Grace Worthington potrzebowała kiedykolwiek, żeby ratować ją z rąk szalonego doktora. Przez chwilę pozwolił sobie na wyobrażanie tej pogodnej, przewidywalnej, pochodzącej z doskonałego rodu, jasnowłosej piękności.

Cóż, sam domagał się szczegółów od Tommy. Przypuszczał, że sam jest sobie winien.

Westchnął.

– Masz herbatę?

W bardzo niewielu sytuacjach nie pomagała odrobina herbaty.

– To nie najlepsza herbata – ostrzegła.

– Kiedy twoja inwestycja przyniesie owoce, będziesz miała doskonałą herbatę.

Jej twarz rozjaśniła się natychmiast.

– A więc wprowadzasz swój plan w życie?

– Sprzedałem perły w Exley & Morrow, odwiedziłem Klausa, a potem pana Wyndhama, który przygotuje ilustracje do matryc. Wszystko razem wraz z wydrukowaniem talii powinno zająć około miesiąca. Przewiduję, że inwestycja ci się zwróci z nawiązką i to wkrótce.

Rozpromieniła się i leciutko podskoczyła z radości, co sprawiło mu absurdalną przyjemność i to nie tylko dlatego, że zdawała się dzielić jego pasję pomnażania pieniędzy. Jej twarz stawała się świetlista, kiedy gościł na niej szczery uśmiech. Ten rodzaj uśmiechu odczuwało się w splocie słonecznym.

– Oto herbata! – powiedziała, odwracając się do półki, na której stały filiżanki i wyciągając się, żeby ich dosięgnąć. Przez chwilę dał się ponieść czystej przyjemności obserwowania jej szczupłych pleców, zręcznych ruchów białych dłoni, wybierających spodeczki. Poruszała się subtelnie, z wrodzonym wdziękiem, jakby w rytm niesłyszalnej muzyki. Natomiast jej kolory – żywa barwa włosów, egzotyczne oczy, brązowe brwi – były tak żywe i zaskakujące jak jej osobowość. Przez chwilę podziwiał ją jak kobietę, której nigdy dotąd nie widział. Rozumiał,

jak mogła zawładnąć wyobraźnią tylu mężczyzn.

A jednak żaden z nich nie znał jej naprawdę.

Popatrzył na chrapiącego na podłodze Rutheforda, na dziurę po nożycach w ścianie i zastanowił się, czy przypadkiem nie zazdrości tamtym młodym ludziom ich ignorancji co do prawdziwej Tommy de Ballesteros.

Tej, na przykład, która nosiła na szczupłym, bladym ramieniu ślad po kuli.

Poczuł, jak mięśnie jego ciała napinają się ponownie, jakby miał się rzucić w jej obronie przed czymś, co już się zdarzyło. Jakby mógł za nią przyjąć kulę.

– Powiedz mi, Tommy… – zaczął powoli. – Kto dał ci perły?

Nie zdawał sobie sprawy, że zada to pytanie.

Zamarła. Obróciła się niechętnie. Badała go zielonymi oczyma, sprawdzając, czy jego zapas cierpliwości zdążył się odnowić.

– Dżentelmen. To wszystko, co ci powiem na ten temat.

Widocznie uznała, że znowu może bezpiecznie uchylać się od odpowiedzi.

Po krótkim pojedynku na spojrzenia, wycofał się, wzruszając ramionami i unosząc lekko kącik ust. Uznał, że w końcu to nie ma znaczenia; wmówił sobie, że go to nie obchodzi. Przecież wcale mu na niej nie zależało i w żaden sposób nie chciał wstąpić w szeregi ogłupiałych owiec, które wypisywały o niej niestworzone rzeczy w *Księdze Zakładów* White'a. A jednak, jeśli mieliby stać się przyjaciółmi, przypuszczał, że lepiej wiedzieć, z której strony mogą nadejść kolejne kłopoty. Ponieważ z Tommy kłopotów nie da się uniknąć.

Poza tym święcie wierzył, że jeśli naprawdę tego zechce, wydobędzie z niej tę informację.

– Doskonale. – Wskazał brodą Sally i zapytał *sotto voce*. – Tu dla niej nie jest zbyt bezpiecznie, prawda? Ani dla niej, ani dla ciebie?

W jej oczach pojawił się błysk, przez twarz przemknął cień. Jakby uraziło ją domniemanie, że nie jest, być może, w stanie zapewnić Sally bezpieczeństwa.

Szybko się opanowała.

– Nie mam jeszcze dla niej miejsca. A zwykle mam miejsce… Tylko że tym razem moment nie był zbyt fortunny…

– Zwykle masz miejsce?

Ile razy ratowała dzieci? A potem przypomniał sobie odgłos cichego tupania nad głową w noc, kiedy pokazała mu perły.

– Czy na górze, z Ruthefordem, było dziecko, kiedy tu przyszedłem po raz pierwszy?

Znowu uparte milczenie.

Innymi słowy, tak, było.

Innymi słowy, robiła to rutynowo.

Zrozumiała wyraz jego twarzy i kiedy się odezwała, mówiła z żarliwą pasją:

– Nikt nie dba o te dzieci! Kiedy znikają, nie ma żadnej afery ani pełnych oburzenia artykułów w prasie. Nie mają rodzin. Są własnością. Kiedy zużyjesz drewno na opał, to co, czy nie idziesz po prostu, żeby wziąć więcej? Tak traktują je domy pracy i bogaci ludzie, jak Fenwick.

Przerażające słowa. I prawdziwe. Po prostu dotąd nie patrzył na to w ten sposób.

Zerknął na Sally, która podniosła głowę i uśmiechnęła promiennie. Straciła zainteresowanie niezrozumiałą rozmową dorosłych i powolnym przewracaniem kartek w, jak się wydawało, książeczce z obrazkami. Miała dołeczek, jak zauważył, z prawej strony, a po lewej – chyba okruszek. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni i wytarł jej buzię.

– Dziękuję, panie Przyjacielu – uśmiechnęła się szeroko i wróciła do oglądania książeczki.

Cóż. Dał się oczarować całkowicie. Co za grzeczne dziecko.

Z powrotem skierował wzrok na Tommy i stwierdził, że zamarła, jak pies myśliwski, kiedy wietrzy zwierzynę, z wyrazem zdumienia na twarzy.

Zmarszczył lekko brwi.

– A pieniędzy potrzebujesz szybko… żeby opłacać to przedsięwzięcie?

Z uporem zwlekała z odpowiedzią; wiedział, że spróbuje znowu go zbyć.

– A dlaczego ludzie potrzebują pieniędzy? Może pragnę czegoś więcej niż to? – Powiodła rękami dookoła.

– A zatem mieszkasz tutaj.

Jej milczenie – po którym nastąpiło lekkie, niezobowiązujące wzruszenie ramienia – raczej to potwierdzało.

– Ach, panno de Ballesteros. A ja myślałem, że chcesz poślubić pieniądze.

– Och, oczywiście – odparła gładko. – Dokładnie tak jak ty.

Nie mógł się powstrzymać. Uśmiechnął się.

Odwzajemniła uśmiech.

Potrząsnął głową i odwrócił się, wzdychając.

A niech ją. Nie ulegało wątpliwości, że ją lubił. Nie był tylko pewien, czy jego świat musi być koniecznie taki… interesujący… jak od chwili, kiedy ona w niego wkroczyła. Z drugiej strony, Argosy był jego przyjacielem, a czasami dostarczał udręki.

Tommy ściągnęła filiżanki i spodeczki, które pobrzękiwały cichutko i uspokajająco, a on spojrzał znowu na Sally, zatopioną w książeczce i machającą wesoło nogami.

Zastanawiał się, czy dziewczynka czyta, czy po prostu ogląda obrazki.

I nagle… przyszło mu coś do głowy.

Pożałuje, że to powiedział. Uwikła się tylko bardziej w szaloną donkiszoterię Tommy.

Ale, tak naprawdę, nie mógł tego nie powiedzieć.

– Tommy… co do Sally… mam pomysł.

13

Argosy wkroczył do White'a z tajemniczym uśmiechem samozadowolenia i zdecydowanym krokiem przeszedł przez klub, pozdrawiając przyjaciół jakby w roztargnieniu, co naturalnie zwróciło ich uwagę.

Zmierzał wyraźnie w stronę *Księgi Zakładów* i wszystkie głowy zwróciły się ku niemu.

Zapisał coś, zatarł ręce z satysfakcją i odwrócił się.

Pięciu młodzieńców zerwało się z krzeseł i skupiło wokół niego, żeby przeczytać zapis.

Zakładam się o sto funtów, że Jonathan Redmond do końca roku poślubi królową pik.

Wszyscy odsunęli się jak jeden.

– A cóż to, do czorta, znaczy, Argosy? – zapytał Harry Linley, którego siostra, Marianne, podkochiwała się w Jonathanie.

– Cóż… – udał wahanie niczym aktor na scenie. – Dobrze. Powiem wam. Wiecie, że Redmond celuje w grze w pięć kart?

– W zeszłym miesiącu ograł mnie na siedemnaście funtów – oznajmił jeden z młodzieńców nadąsanym głosem.

Argosy skinął głową.

– Ma zamiar pozwolić, żeby karty wybrały narzeczoną dla niego.

Milczenie.

– Co zamierza zrobić? – rozległ się zbiorowy okrzyk, jako że słowa „narzeczona" i „karty" rzadko występowały w jednym zdaniu, czy też zajmowały ich myśli, jednocześnie.

– Czy chcesz powiedzieć, że chce wygrać narzeczoną w karty? Chodzę do niewłaściwego kasyna, skoro narzeczone są w ofercie.

– To możliwe? – ktoś mruknął. – Chętnie wymienię tę, którą dostałem, na inną.

Argosy podniósł rękę, prosząc o ciszę.

– Doskonale. Powiem wam, ale nie wolno wam nikomu tego zdradzić. – Ta

uwaga była nieodzowna, żeby plotka zaczęła się rozchodzić natychmiast. – Klaus Liebman na Bond Street drukuje właśnie specjalną talię kart. W kolorze, wyobraźcie sobie. Nowy, wspaniały sposób druku. A karty – wszystkie – ozdobią ilustracje przedstawiające najpiękniejsze kobiety w mieście. Tylko Diamenty Czystej Wody, najpiękniejsze damy z najświetniejszych rodów będą mogły trafić na te karty.

– Wyobraźcie sobie, najpiękniejsze kobiety sezonu unieśmiertelnione na talii kart? Kto by tego nie chciał?

– Kto by nie chciał położyć lady Grace Worthington na stole do gry w karty?

Rozległ się niegodny dżentelmenów chichot.

– Albo podnieść lady Margaret Cuthbert.

– „Podniosła” mnie raz, kiedy tańczyliśmy walca któregoś dnia.

To stwierdzenie powitały wyrażające zachwyt i oburzenie gwizdy i okrzyki.

– Chodzi o damy, panowie, więc może powstrzymajmy się od tego rodzaju uwag, póki… się bardziej nie upijemy.

– Albo Olivia Eversea.

Zapadła cisza. Nikt nie odmawiał lady Eversea urody. Ale trudno było sobie wyobrazić, żeby ktoś mógł ją wygrać, a co dopiero nią grać.

– Redmond zdradził mi, że jego zdaniem to wspaniały pomysł powierzyć wybór narzeczonej kartom. Ja myślę, że wylosuje królową pik. Kimkolwiek się okaże. Zapraszam do stawiania zakładów. Ale zachowajcie dyskrecję.

Byli zaszokowani i zachwyceni.

– Redmond chce dać sobie nałożyć kajdanki? – zapytał Linley.

– Zawsze miał diabelski polot – odezwał się ktoś z zawiścią.

– Gdzie dziewczęta będą pozować? – chciał wiedzieć jeszcze ktoś inny.

– Artysta zrobi szkice w drukarni Klausa Liebmana na Bond Street. To najnowocześniejszy, najlepszy zakład tego typu. Liebman osobiście zdecyduje, czyja podobizna znajdzie się na kartach.

– Ale… na jakiej zasadzie dziewczęta mają do niego przychodzić?

Argosy spojrzał znacząco na zegarek.

– Z tego, co wiem, dziewczyna musi tylko okazać bilet z Almacku, jeśli chce, żeby ją namalowano. Wszyscy wiemy, że to świadectwo znakomitego pochodzenia. Wydaje mi się, że osobiście zaprosił tylko jedną.

– Kogo? – zawołano chórem. Z pewnością był to standard, z którym wszystkie inne miały się mierzyć.

Argosy wzruszył ramionami.

– Skąd mam wziąć talię? – zapytał Linley. – Może sam będę chciał wybrać w ten

sposób narzeczoną.

– Możesz, o ile wiem, złożyć zamówienie u Liebmana. I zakłady. Talie będą gotowe i dostępne za miesiąc. Ale popyt powinien być ogromny, więc na twoim miejscu zamówiłbym je już teraz, jeśli chcesz być jednym z pierwszych, którzy przekonają się, co z tego wyszło.

Odsunął się na bok i wskazał na księgę.

Nie mogąc się oprzeć, dżentelmeni stanęli w kolejce, żeby stawiać zakłady.

Wypełniwszy zadanie w sposób nie tylko dobry, ale wzorowy, Argosy opuścił klub, pogwizdując.

– Czegoś takiego – oznajmiła szacowna panna Marietta Endicott po długiej chwili milczenia – można by się spodziewać po rodzie Eversea, jeśli wie pan, co mam na myśli; proszę mi także wybaczyć, panie Redmond.

– Ona nie jest moim bękartem, panno Endicott. Przysięgam.

W życiu nie przyśniłoby mu się, że użyje tych słów wobec panny Marietty Endicott.

Nazwisko Redmond – oraz podziw panny Endicott dla zręczności w rzutkach, którą podziwiała, ilekroć wstępowała na kwartę piwa do Pod Świnią i Ostem – sprawiły, że zyskał natychmiastowe posłuchanie u niej w środku szkolnego dnia. Widział, jak głowy dziewcząt pochylają się w jego stronę, kiedy szedł długim korytarzem do biura panny Endicott. Za plecami słyszał chichoty, szepty i słowa reprymendy ze strony opiekunek.

Tommy została z Sally i woźnicą Redmonda za mostem, po drugiej stronie rzeki, żeby nie zwracać niczyjej uwagi na herb rodziny i obecność powozu. Z pewnością nikt z rodziny nie miał w tej chwili potrzeby kontaktowania się ze szkołą.

Pani Endicott wciąż wydawała się wobec Jonathana pełna wątpliwości.

– Czy wiesz coś na temat jej rodziny, prawdziwego wieku, usposobienia, panie Redmond? Czy potrafi czytać i pisać?

Zastanowił się nad podróżą powozem, podczas której przekonał się, że sześciolatki nigdy nie przestają się ruszać. Jakby właśnie odkryły wszystkie członki ciała, palce u rąk i nóg, język i chciały je wypróbować, jak nowe buty. Rozmowa w powozie przebiegała mniej więcej tak:

– Sally, nie kop.

Przestała kopać i uśmiechnęła się do niego promiennie, jakby robiła to tylko po to, żeby zwrócić jego uwagę.

A potem włożyła palec do nosa.

– Nie wkładaj palca do nosa – rozkazał Jonathan.

Wyjęła go z nosa i wytarła o sukienkę.

– Nie wycieraj…

Ciekaw był, czy wszystkie dzieci wymagają ciągłego pouczania. To tak, jak uczyć się panować nad latawcem uwiązanym do dzikiego konia.

A potem ta historia z *Bee bee czarna owco*. Sally tak prosiła, z taką nadzieją… ale on był twardy jak głaz. W końcu to te jej niewiarygodnie, wręcz nieuczciwie piękne i niewinne oczęta go pokonały. Jakby sarna trzymała go na muszce, ach, te oczy…

I śpiewał *Bee bee czarna owco* przez dwie – cholerne – godziny.

Odchrząknął.

– To sierota. Sądzę, że ma jakieś siedem lat. Jest wesołym, zrównoważonym dzieckiem o nienagannych manierach. Lubi książeczki z obrazkami. Lubi śpiewać. Ma… dołeczek.

Panna Endicott przybrała zastanawiający wyraz twarzy w trakcie tego opisu.

A potem jej usta ułożyły się powoli w rozbawiony, lekko zaciekawiony uśmiech. Jej stalowe oczy szkolnej nauczycielki, oczy panny Nikt wbiły się w niego, aż miał ochotę zacząć się wiercić na krześle.

Poczuł, że się czerwieni. Przełknął ślinę.

– Zabrano ją… z miejsca, gdzie była źle traktowana.

– Źle traktowana pod jakim względem? – Panna Endicott pozostała nieubłaganie rzeczowa.

Zawahał się.

Panna Endicott uniosła zachęcająco brew.

– Bito ją brutalnie – odparł cicho.

Jej twarz ani drgnęła. A potem głowa odchyliła się do tyłu i opadła w geście zrozumienia. Przez chwilę trwali w czymś, co można by nazwać pojedynkiem na spojrzenia. Panna Endicott odęła wargi w zamyśleniu.

Jonathan widział, że nauczycielka ma mnóstwo pytań. Ale była też sprytna i zdawała sobie sprawę, że szkoła bez pomocy jego rodziny nie przetrwa.

– Musiałabym ją zobaczyć.

– Może ją pani zobaczyć w ciągu godziny, jeśli to pani odpowiada.

– To mi odpowiada.

– Muszę jednak prosić o zachowanie mojego udziału w tej sprawie w najgłębszej tajemnicy.

– Jestem uosobieniem dyskrecji, panie Redmond.

Zaciekawiło go, ile innych, interesujących tajemnic miała okazję poznać. Jednakże, kiedy szkoła jest pełna arystokratycznych wychowanek, dyskrecja jest

na wagę złota.

– Przypuszczam, że znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej dziewczynki. Ale jak zamierza pan płacić za jej utrzymanie?

– Czyż moja rodzina nie zapewnia od czasu do czasu stypendium dla dziecka, powiedzmy, w trudniejszym położeniu?

– Stypendium przyznaje się na moją prośbę, panie Redmond, i mój osąd musi być bez zarzutu. Jeśli pańska protegowana…

– Mam nadzieję, że nie będzie pani w przyszłości mówiła o niej w ten sposób, panno Endicott, jako że jest niezmiernie ważne, żeby moje zaangażowanie pozostało w tajemnicy. Nawet wobec mojej rodziny. – Zwłaszcza dla mojej rodziny, chciał powiedzieć, a panna Endicott, umysł bystry i przebiegły, w mig to pojęła.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy. I kolejny pojedynek na spojrzenia.

– Doskonale, panie Redmond. Jeśli młoda panna okaże się odpowiednia, przyjmiemy ją.

Jonathan podejrzewał, że panna Endicott już uznała ją za odpowiednią.

14

Po długiej pogawędce z panną Mariettą Endicott (Sally chciała koniecznie wiedzieć, czy panna Endicott potrafi zaśpiewać *Bee bee czarna owco* i była wniebowzięta, kiedy okazało się, że tak) Sally została uczennicą Akademii panny Marietty Endicott.

Sally ucałowała Tommy, a potem jego, w policzek. A Tommy zauważyła, jak jego policzek lekko się różowi.

Wyobrazić sobie coś takiego. Kto jak kto, ale właśnie Jonathan Redmod czerwieni się, kiedy mała dziewczynka cmoka go w policzek.

Patrzyli, jak odchodzi z panną Endicott, podskakując raz po raz, zachwycona perspektywą spotkania innych młodych dam, z którymi można się zaprzyjaźnić oraz obietnicą ciasteczek na podwieczorek.

Nie obejrzała się za nimi ani razu.

– Co z oczu, to i z myśli – stwierdził Jonathan z udawanym przerażeniem.

– Maluchy są odporne – powiedziała cicho Tommy. – Trzeba się z tego cieszyć, panie Przyjacielu.

Ale ponieważ nie mogła się powstrzymać, patrzyła za Sally, aż ta zniknęła zupełnie z widoku – jakby chciała się upewnić, upewnić bez cienia wątpliwości, że dziewczynka jest teraz bezpieczna. To jedno z dzieci, które już nie zaznają zimna, głodu, będą wyrastały w bezpiecznym otoczeniu, a pewnego dnia, być może, założą własną rodzinę. Jedno dziecko. Ale zawsze.

Wypuściła z płuc powietrze; nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. W pewnym sensie robiła to od wielu dni. Miała poczucie straty i triumfu zarazem.

Odwróciła się; Jonathan wpatrywał się w nią z wyrazem twarzy, którego nie była w stanie odczytać, szczególnie u Jonathana Redmonda. Można by to nazwać zachwytem. Albo zaskoczeniem. Albo zamyśleniem. Fascynujące połączenie wszystkich trzech.

– Idziemy? – zapytał po prostu, odwracając się na pięcie. Ruszyła za nim w słoneczny, chłodny dzień. Wciągała z zachwytem świeże wiejskie powietrze, jakby chciała zgromadzić je na zapas i cieszyć się nim w Londynie.

– Zachowaj trochę powietrza dla reszty ludzi – odezwał się Jonathan pogodnym tonem.

Roześmiała się.

– Zapomniałam, że kocham wieś.

– Ja też. – Tylko dwa słowa, ale kryło się za nimi mnóstwo znaczeń. Pennyroyal Green to był jego dom, miejsce, gdzie od wieków żyli i umierali jego przodkowie. Kości Eversea i Redmondów prawdopodobnie użyźniły ziemię w całej okolicy.

Jakie to uczucie – tak bardzo czuć się częścią czegoś?, zastanawiała się Tommy.

– Panie Przyjacielu… zaśpiewasz mi *Bee bee czarna owco*?

– Myślałem, że zgodziliśmy się nigdy więcej o tym nie mówić? – odparł po chwili chłodnego milczenia.

Tommy roześmiała się i podskoczyła lekko.

– Och, gdyby towarzystwo mogło cię usłyszeć. Masz ładny głos.

– Z tym się zgodzę – odparł swobodnie. – Odprowadzę cię do powozu, Tommy i każę woźnicy odwieźć do Londynu. Chciałbym się tu zatrzymać, żeby odwiedzić siostrę, do Londynu może wrócę jutro.

Uśmiechnęła się.

– Uwielbiasz siostrę.

– Moja siostra to udręka. A teraz zrobiła się wielka i wielce niecierpliwie oczekuje dziecka.

– Innymi słowy, uwielbiasz ją.

Parsknął śmiechem.

Śmianie się w jego towarzystwie dziwnie przypominało picie szampana. Chciała więcej, a im więcej dostawała, tym bardziej szumiało jej w głowie.

Interesujące, przekonać się ostatecznie, że Jonathan Redmond jest człowiekiem, którego w naturalny sposób różne rzeczy obchodzą. Który pod wpływem szlachetnego impulsu jest gotów walczyć na pięści. Który ryzykował własną reputacją i imieniem rodziny, żeby rozmawiać z panną Endicott na temat Sally. Zrobił wszystko, co w jego mocy, dla Tommy i dla małej dziewczynki, która dłubała w nosie, wycierała palec w sukienkę, kopała go, uśmiechała się do niego i zmusiła go, żeby śpiewał *Bee bee czarna owco* przez prawie dwie godziny.

Odchrząknęła.

– Dziękuję za to, co zrobiłeś dla Sally. – Powiedziała to cicho i raczej sztywno, bo wdzięczność przepełniała ją i budziła poczucie pokory, a Tommy nie przywykła do pokory.

Chyba to rozumiał.

– Przyjaciele pomagają sobie, kiedy mogą, czyż nie jest tak, panno de

Ballesteros? Nie będę spał po nocach, myśląc, w jaki sposób mogłabyś mi odpłacić.

Zerknął na nią szelmowsko z ukosa.

Jej usta drgnęły.

– Będziesz wspaniałym wujkiem. Znakomicie radzisz sobie z dziećmi.

– Ugryź się w język. – W jego słowach jakoś brakowało przekonania.

W niemęczącej ciszy rozbrzmiał świergot jakiegoś ptaszka, który przycupnął w pobliżu.

– Ty też dobrze sobie z nimi radzisz, Tommy. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Teraz Tommy wzruszyła ramionami.

Podniósł leniwie rękę i musnął palcami liście na zwieszającej się gałęzi.

– Dlaczego są dla ciebie takie ważne? Chcesz mieć rodzinę? – zapytał od niechcenia.

Jakby to nie była rzecz niezmiernej wagi. Jakby odpowiedź nie miała odsłonić tego, co w niej i dla niej najważniejsze. Jakby to nie było coś, czego pragnęła najbardziej na świecie.

– Lubię dzieci – powiedziała niezobowiązująco. Nie chcąc odpowiadać w sposób, który prowokowałby do dalszych pytań, które odsłoniłyby ją jeszcze bardziej.

Potrafił dobierać się do jej sekretów. Być tego też w końcu się dowie.

Zerknął na nią z boku; rozpoznał unik, ale na razie zostawił ją w spokoju.

Ponieważ, jak sobie uświadomił, spacer z nią w ten słoneczny, chłodny dzień, w okolicy, którą znał i kochał jak własną rodzinę, sprawiał mu przyjemność. Mógłby trafić do powozu w głuchą noc, kierując się szelestem wiatru w znajomych drzewach, szumem rzeki na poszczególnych kupkach kamieni, wznoszeniem się i opadaniem gruntu pod stopami.

Świat z nią wydawał się nieco większy, trochę jaśniejszy i bardziej przyjazny.

Była prawdopodobnie jedyną kobietą, którą znał, oprócz Violet, przy której czuł się w pełni sobą. Co za ironia i jakże to świadczyło o nim, skoro Tommy wydawała się zwiastunką chaosu. Chociaż w tej chwili miał wrażenie, że ona także cieszy się spokojem i odpowiada jej jego towarzystwo.

Weszli na mały most na rzece i przystanęli, patrząc na wodę.

– Łowiłem tu ryby, kiedy byłem chłopcem. Rzadko udawało mi się złapać coś większego niż moja dłoń. Ojciec przyprowadzał tutaj nas wszystkich – mnie, Milesa, Lyona.

– Jesteś blisko z ojcem?

To powinno być łatwe pytanie albo takie, które zbyłby żartem.

– Mój ojciec jest trudnym człowiekiem – odparł z wahaniem. Nie chciał jej okłamywać.

Nie naciskała. Wiele usłyszała w tych kilku słowach.

– A twój brat, Miles?

– Lyon jest najstarszy, ale zawsze zwracaliśmy się do Milesa po radę. Zawsze stał twardo nogami na ziemi, podczas gdy…

– Do diabła!!!

Podskoczył i odwrócił się; Tommy szarpała gwałtownie tasiemki sukni na plecach. Ściągnęła ją przez głowę, stając w samej koszuli. Kopnęła nogami jak lipicański ogier i – raz! dwa! – jej pantofle przeleciały mu nad głową niczym satynowe pociski.

Zanim zdążył wyciągnąć rękę albo zaprotestować, Tommy przelazła przez poręcz mostu.

– Niech to szlag! – Rzucił się do poręczy.

W porę, żeby usłyszeć pluśnięcie.

Z miejsca, gdzie jej ciało wpadło do wody, rozchodziły się kręgi.

Wszystko zamarło – jego serce. Czas. Oddech.

A potem wystrzeliła na powierzchnię, plując, kołysząc się, machając rękami i ruszyła naprzód z pewnym trudem, z koszulą, niczym pianą, kłębiącą się wokół, tnąc wodę szczupłymi, białymi rękami i prąc przed siebie zdecydowanie choć bez wdzięku.

Tuż przed nią, poza zasięgiem ręki, podskakiwała na wodzie jaskrawa wstążka z kawałkiem metalu, unoszona nieubłaganie przez leniwy prąd rzeki.

W mgnieniu oka znalazł się w wodzie. Nie pamiętał, jak to zrobił, kiedy ściągnął buty. Otaczała go lodowata zieleń wody.

Wydostał się na powierzchnię i skoczył naprzód. Świetny pływak, błyskawicznie ją dogonił; dzika furia dodawała mu siły.

– Ty wściekła wariatko. Twoje miejsce jest w cholernym Bedlam, ty zwariowana…

Objął ją ręką pod pachami, przyciągnął mocno do siebie i odbił się w stronę brzegu.

– Co ty… puszczaj! Puść mnie, przeklęty…

Niedane mu było usłyszeć końca tego zdania, bo wijąc się i rzucając w jego ramionach, wciągała ich oboje pod powierzchnię. Woda zalała mu nos, ale wyciągnął ich oboje w górę.

Machała dziko rękami i uderzyła go w ucho.

Zaklął wyjątkowo obrzydliwie.

Usiłowała ugryźć go w rękę.

Zacisnął ramię na jej ciele jak imadło i pociągnął ich oboje w stronę brzegu. Był silny, a ona mała i drobna. Nie mogła się z nim mierzyć. Kopała i klęła; rzucił ją ciężko na wąskim brzegu jak ładunek wydobyty z zatopionego statku.

Podniosła się.

– Rusz się o cal w stronę wody, a przysięgam na Boga, skręcę ci kark, Tommy i nie myśl sobie, że tego nie zrobię… – wydobył z siebie, usiłując jednocześnie złapać oddech.

Zacisnęła dłonie w pięści, aż pobielały. Usiłowała podnieść się na kolana, zachwiała się i rozkaszlała.

– Do diabla… niech… przeklęty…

Rozpaczliwa wściekłość w jej głosie zmroziła go do szpiku kości. Zaczął się niemal jąkać.

– Tommy… co… powiedz mi…

– Odpływa! Proszę… och, Jonathan, złap go!

Drżącą ręką wskazała przeklętą czerwoną wstążkę.

Skoczył z powrotem do wody. Na szczęście, cokolwiek to było, unosiło się spokojnie z prądem, mimo ich wcześniejszej szarpaniny. Był silnym pływakiem i nie tracił tajemniczego przedmiotu z oczu; owa rzecz wykonała *pas de deux* z przepływającą gałązką, wdała się w przelotny flirt z paroma liśćmi, a kiedy właśnie, błyskając w słońcu, miała wpaść między kamienie, złapał ją.

Stojąc w wodzie, podniósł wysoko rękę, jakby trzymał pochodnię i pomachał do niej, nagle zdumiony odległością, jaka ich dzieliła. Zobaczył, jak składa ręce – jakby do modlitwy – i kładzie na nich czoło, a potem osuwa się na kolana. Z tej odległości wydawała się jak wykuta w marmurze – białe ramiona, koszula, stopy – święta męczennica. Z wyjątkiem włosów, z których powypadały szpilki. Spływały wokół niej ciemną falą.

Odbił się stopami od kamienia i ruszył w drogę powrotną. Teraz czuł odległość w ramionach i nogach. Rzeka wydawała się rozszerzać. Minęły lata, odkąd ostatnio pływał w Ouse, a nigdy nie robił tego w spodniach i bieliźnie.

Wygramolił się na brzeg i przystanął, dysząc ciężko; woda lała się z jego ubrania i włosów.

Patrzył na nią.

Opanowana i praktyczna, podczas gdy on płynął w jej stronę, zaczęła rozkładać coś w rodzaju obozu. Szpilki z jej włosów tworzyły lśniący kopczyk. Ściągnęła pończochy i ułożyła je płasko, żeby wyschły, jak świeżo złowione ryby. Nie zdjęła za to mokrego ubrania. Przywarło do jej ciała, tak że widział doskonale jego zarys,

zaokrąglenia ud i bioder, nogi, szczupłe ramiona.

W innych okolicznościach byłby bardziej niż zaintrygowany. Marzył o tym, żeby zerwać z siebie mokrą koszulę i rzucić w nią.

Zamiast tego opadł na kolana.

Spojrzała na niego z nadzieją. A potem, widocznie zaniepokojona tym, co odczytała z jego twarzy, spuściła wzrok i przeszukała jego dłonie. W zaciśniętej pięści trzymał kawałek metalu z wstążką.

Usta jej zsiniały, po szczupłych ramionach pięła się gęsia skórka. Naprawdę powinna zdjąć mokre ubranie, ale nie zamierzał jej tego proponować, a i tak nie miałaby się czym owinąć. Mógł sobie wyobrazić, z jakim przyjęciem spotkałaby się taka propozycja.

– Potrzyj ręce, Tommy – polecił szorstko. Pokazał jej jak, pocierając energicznie swoje.

Do diabła z przyzwoitością. Słońce mogło osuszyć ich oboje; sztywnymi ze zmęczenia dłońmi rozpiął koszulę i zrzucił ją z ramion. Odwrócił się od dziewczyny i zawiesił ją na krzaku, świadomy, że na niego patrzy, starając się tego nie robić. Niech sobie patrzy. Wiedział, jak pięknie jest zbudowany.

To było nie co innego, jak medal z Półwyspu. Nie miał co do tego wątpliwości. Wybite w złocie, z czterema krótkimi ramionami tworzącymi krzyż, były rzadkie i przyznawano je tylko dowodzącym armią.

Przewrócił go na dłoni i przeczytał:

Thomas Cantor Moretyon
6-ty książę Greyfolk.

To się nie trzymało kupy.

Ukradła go księciu?

Cisza, w jakiej czekała na jego reakcję – kiedy docierała do niego informacja – była głęboka i pełna napięcia. Porażająca jak cios w głowę.

– Nigdy nie widziałem, żeby kobieta rozbierała się tak szybko – rzucił obojętnym tonem.

Nie patrzyła na niego.

– Jeżeli to zachęta, żebym zapytała: a ile tych kobiet było?, to cóż, doskonale wiesz, co sądzę o przewidywalności.

Normalnie tak by powiedziała, ale teraz jej słowa brzmiały niepewnie. Ostrożnie. I nie bez powodu.

Gniew unosił się wokół niego jak para. Mogłaby położyć na nim pończochy i wyschłyby w parę sekund.

– Pięćdziesiąt sześć i pół – odparł krótko. Wciąż jakby w roztargnieniu. Obojgu słowa, jak się wydawało, przychodziły z niezwykłą łatwością.

– Ja muszę być połową.

W innych okolicznościach powiedziałby:

– Dlaczego nie zrobimy z tego pełnej pięćdziesiątki siódemki? – i oboje parsknęliby śmiechem na ten absurd.

Jednak był zaszokowany czystością swojego gniewu. Z każdym haustem powietrza jego gniew rósł. Nie pozwalał mu trzeźwo myśleć ani odgadnąć, dlaczego Tommy de Ballesteros z takim uporem trzymała wojskowy medal z nazwiskiem księcia.

Odchrząknęła.

– Dziękuję, że odzyskałeś moją własność – powiedziała pokornie i sztywno. Najwyraźniej pokora nie przychodziła jej w sposób naturalny. – Mogę go teraz dostać z powrotem?

– Nie – burknął natychmiast.

Szybko odwróciła głowę w jego stronę. A potem tak samo szybko w drugą stronę. Zaczęła nerwowo skubać mokrą koszulę na kolanach.

Spojrzał na nią, mówiąc bardzo wolno:

– Jeśli chcesz go dostać, musisz mi udzielić wyjaśnień, Tommy. I proszę, żeby były prawdziwe i proste, bo inaczej cisnę to z powrotem do rzeki.

– Jesteś zły. – Zawahała się. – Z powodu mojego nagłego skoku z mostu?

Objął ją wściekłym, niedowierzającym spojrzeniem.

– Umiem pływać. Nauczyłam się wiele lat temu.

– Och, tak. To wszystko zmienia. Miałaś lekcje?

– Cóż, w pewnym sensie…

– Doskonale. Przypuszczam, że po prostu zapomnieli ci powiedzieć, że nie wolno ci znienacka skakać z mostu wysokiego na dziesięć stóp i pływać w cholernej sukni!

Cóż. Ostatnie słowo brzmiało jak odgłos uderzenia siekierą.

Spłoszone ptaki zerwały się z krzaka.

Sukni… Sukni… Sukni…

Nasycone wściekłością słowo odbijało się echem wokół nich.

Miała wielkie oczy przerażonej sarenki. Nie przeprosił. Odetchnął głęboko i powoli wypuścił powietrze. Przycisnął palce do skroni. Odezwał się zmęczonym głosem:

– Mogłaś zaplątać się w koszulę i utopić. Albo… rozwalić swoją zwariowaną głowę na kamieniu. Nie miałaś pojęcia, czy woda jest tu głęboka.

– Miałam pojęcie.

Spojrzał na nią przeciągle, aż znowu odwróciła się i zaczęła skubać koszulę.

– Tylko, że… Jonathanie, ten przedmiot jest dla mnie niezwykle ważny.

– Najwyraźniej – stwierdził bezbarwnym głosem.

– A co ty byś zrobił, gdyby twój największy skarb wpadł do wody?

Największy skarb? Miał, zatem, wartość sentymentalną. Nie tylko pieniężną.

– No, cóż. Zastanówmy się. Gdybym był kobietą – to jest, kobietą zdrową na umyśle – zwróciłbym się do stojącego obok mężczyzny, żeby pomógł mi go jakoś wyciągnąć. Z drugiej strony, gdybym był szaloną, samowolną, nierozważną, trudną, kapryśną, upartą jak osioł kobietą, pewnie zdarłbym z siebie ubranie i wskoczył do rzeki bez uprzedzenia.

Czerwieniła się coraz mocniej, ale była także zdumiona i skonsternowana jego wyliczanką.

To go w żaden sposób nie ułagodziło.

– Jak śmiesz, Jonathanie… Ja… ja… ja… nie chciałam być uparta, kapryśna, nierozważna. Przysięgam. Nigdy taka nie jestem. Nigdy.

Tych jawnych bredni nie raczył opatrzyć komentarzem.

– To dlaczego nie wskazałaś ręką i nie zawołałaś „o, nie!”, kiedy to wpadło do wody? A wtedy ja bym wskoczył do rzeki, ponieważ dorastałem, pływając w niej, albo wymyśliłbym coś sprytnego i męskiego, żeby to wydostać, na przykład zmajstrowałbym wędkę z patyka i breloczka od zegarka.

Śledziła ruch jego warg, jakby posługiwał się językiem, którego w życiu nie słyszała. Matko Boska!

– Nie… nie pomyślałam o tym – szepnęła urywanym głosem. Potem wyprostowała się, odrzucając ramiona w tył, jakby uświadomiła sobie, że jego gniew wbija ją w ziemię jak gwóźdź. – Tylko, że… no, więc… całe życie, jeśli coś należało zrobić, Jonathanie… cóż, po prostu to robiłam. Medal odpływał, nie było czasu na dyskusję, więc nie przyszło mi do głowy, żeby z tobą o tym pogawędzić. Widzisz, ja… nie mam zwyczaju… to jest, nigdy nie było nikogo, kto by…

Urwała raptownie. Zacisnęła usta.

Teraz on patrzył na nią ze zdumieniem. Policzki jej poróżowiały, jąkała się, wydawała się niepewna, urażona. Jej opanowanie, przekonanie o własnej racji kurczyło się widocznie, rozmywało, jakby nagle wydobył na światło dzienne i obnażył to, czego się najbardziej wstydziła.

Och, Boże.

W duchu dokończył za nią: nigdy nie było nikogo, kto by o nią dbał.

A on wrzeszczał na Tommy, jakby popełniła zbrodnię.

– Nie chciałam ci zrobić na złość, Jonathanie, przysięgam.

Zamknął oczy, nie chcąc widzieć jej zaczerwienionej twarzy. Czuł się, jak… ostatni dureń.

– Naprawdę nie chciałam ci zrobić na złość, Jonathanie – powtórzyła cicho. Błagalnie. Czuła, że Jonathan miękkie i zamierzała to wykorzystać. – I przykro mi, że to zrobiłam. Wierzysz mi? – Podniosła lekko rękę, jakby chciała go pogłaskać; spojrzał zaskoczony. Opuściła rękę.

Nie była jego siostrą, Violet, dla której, jak sądził, mógłby umrzeć bez namysłu (a znając Violet, wcale nie był pewien, czy któregoś dnia do tego nie dojdzie), a która, zanim poślubiła hrabiego, groziła wskoczeniem do studni, wiedząc doskonale, że znajdzie się ktoś – brat czy ktoś podobny – kto zawsze zdąży ją uratować. Teraz znajdowała się w pieczy hrabiego Ardmay. Jedynego, zapewne, człowieka na ziemi, który był w stanie podźwignąć ten ciężar.

Skąd jednak miał wiedzieć takie rzeczy o Tommy? Teraz dowie się o niej więcej, a nie był pewien, czy chce, a jednak wszystko się w nim gotowało na myśl, że Tommy jest w stanie rzucić się z mostu, mimo że nikt nigdy nie wyciągał jej z przysłowiowej studni za łokcie.

Westchnął ciężko.

– Od tej chwili poświęcisz każdorazowo trzy sekundy, żeby ocenić, czy to, co chcesz zrobić, jest niebezpieczne. Jeśli odpowiedź zabrzmi „tak”, chcę, żebyś mi o tym powiedziała, a jeśli to będzie absolutnie konieczne, zrobię to. Możesz mi zaufać. Umowa stoi?

Spodziewał się buntu.

Przyglądała mu się z chłodnym wyrazem twarzy, szacująco.

– Zgoda – odparła cicho, ale łaskawie, jakby otrzymywał od niej królewski dar.

Ulga, jaką odczuł, sprawiła, że miał wrażenie, jakby tak się rzeczywiście stało.

Nawet jeśli był to dar wątpliwej wartości.

Podejrzewał, że chce go udobruchać, ale poczuł się lepiej. Po chwili skinął głową.

– A teraz, powiedz mi, Tommy, skąd wzięłaś ten przeklęty medal?

– Matka dała mi go tuż przed śmiercią. Pochodziła z Hiszpanii. Nawet jeśli nie była księżniczką. Uciekła w czasie wojny.

– A skąd ona go wzięła?

– Od… – odchrząknęła, a potem wydusiła z siebie niepewnym głosem, jakby użyła słowa, do którego nie ma prawa – …mojego ojca.

– A kto jest twoim ojcem? – Pytanie padło szybko i zdecydowanie. Nie zamierzał być delikatny.

Spojrzała na niego przeciągle, z niedowierzaniem. A potem powiedziała bardziej zmęczonym niż urażonym głosem, przedrzeźniając go:

– Przeczytaj, co jest na tym przeklętym medalu.

15

Patrzyła wyczekująco.

Odwzajemnił spojrzenie, szczerze zdumiony.

– Nie ma potrzeby przeklinać – odezwał się w końcu, łagodnie.

Roześmiała się.

Och, Boże. Prawie zamknął oczy. Tak jakby aż do tej chwili trzymano mu głowę pod wodą. Jej śmiech podziałał jak pierwszy, po długim czasie, łyk powietrza.

Teraz zrozumiał: była taka chwila, kiedy jej głowa zniknęła pod powierzchnią a świat stracił barwy, światło i dźwięki.

Jakby doświadczył własnej śmierci.

Nie chciał przyjąć do wiadomości, że jego słuszny gniew był w istocie przejawem strachu.

Zastanawiał się nad tymi nowymi okruchami wiedzy, usiłując jakoś je przełknąć, podczas gdy ona czekała, co powie.

– Nie chcę, żeby to zabrzmiało obraźliwie, ale czy twój ojciec wie… że jest twoim ojcem?

– Zwalniam cię z zachowania taktu, wątpię, żebyś dał radę. Matka była jego kochanką. Mówiła, że ją kochał, ale porzucił ją, jak tylko poślubił młodą żonę, bardzo zazdrosną, kiedy w jakiś sposób dowiedziała się o mojej matce. Matka twierdziła, że mówiła mu o mnie, że nawet mu mnie zaniosła, kiedy byłam niemowlęciem. Nie chciał mieć z nami nic wspólnego. To jest, przynajmniej… przynajmniej… Dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz?

– Oboje macie coś w rodzaju zagłębienia w brodzie. – Wskazał na swoją własną. – Ty i książę.

Widział, jak wstrzymuje oddech. Jakby ją zaczarowano. W zamyśleniu przycisnęła palec do brody.

Odsunęła go, jakby się oparzyła, jakby właśnie uświadomiła sobie, że on patrzy.

– To się nazywa dołeczek, Jonathanie. Nie zagłębienie, na Boga. Niektórzy mężczyźni uznali to nawet za jedną z moich najbardziej pociągających cech.

– Czy byli… niewidomi? – zapytał niewinnie.

Roześmiała się zachwycona i w kącikach jej oczu ukazały się leciutkie bruzdki. To dziwne, ale uwielbiał ten widok, bo jej oczy wyglądały wtedy jak gwiazdy.

– I jeszcze twoje oczy… – dodał zamyślony.

W rzeczywistości twarz księcia Greyfolk miała chłód i sztywność pośmiertnego wizerunku wielmożów pochowanych w Westminster Abbey. Podobnie jak jego ojciec, ale też jak widzieli go inni ludzie.

– Czy mam jego oczy? – Jej głos brzmiał zbyt obojętnie. Palce odruchowo skubiące koszulę, znieruchomiały. W głosie i oczach miała głód.

Nikt na świecie nie ma takich oczu jak twoje.

Ta myśl przemknęła mu przez głowę, niszcząc po drodze wszystkie inne. Na chwilę stracił głos.

Musiał wpatrywać się w nią niewidzącym wzrokiem, bo zmarszczyła lekko brwi.

– On ma zielone oczy – potwierdził cicho, z wahaniem. – Co się stało z twoją matką?

– Umarła, kiedy miałam siedem lat. Opowiedziała mi to wszystko i dała medal na chwilę, zanim umarła.

Siedem lat. Siedem lat to bardzo, bardzo niewiele.

– Siedem lat! Kiedy ja miałem siedem lat…

– Terroryzowałeś zapewne swoich braci.

– Byłem najmłodszy. To oni mnie prześladowali. Ale wkrótce stałem się mistrzem w tej grze.

Ale był myślami gdzie indziej. Jakaż musiała z niej być iskierka. Roześmiana, zwinna jak wiewiórka i do tego mądrala. Była przerażona po stracie matki? Czuła się samotna?

– Co się z tobą stało? Miałaś jakąś rodzinę?

– Posłano mnie do Bethnal Green.

Powiedziała to rzeczowym tonem.

Był zupełnie nieprzygotowany na te słowa. Spadły na niego jak młot kowalski.

Dom pracy. Wysłano ją do domu pracy w Bethnal Green. Częsty los sierot… jeśli miały szczęście. Stąd wiedziała o tych dzieciach.

Posłała mu szeroki uśmiech, rozbawiona jego zmieszaniem.

– Niezupełnie Eton czy Oxford, nieprawdaż, panie Redmond?

– Przypuszczam.

– Nie ośmielaj się myśleć, Jonathanie, że byłam godna pożałowania – ostrzegła go szybko, trafnie odczytując jego milczenie. – Nigdy tak nie było. Zdobyłam wielu przyjaciół i nadal ich mam.

– Chcesz powiedzieć, uniżone sługi.

Uśmiech poruszył kącik jej warg i przeciągnął się na drugi, a kiedy w pełni rozkwitł, był zachwycający.

– Założę się, że byłaś okropnym dzieckiem – powiedział czule.

– Byłam. Niemożliwym, ale upartym, sprytnym i zdecydowanym.

– I chcącym rządzić wszystkimi.

– I chcącym rządzić wszystkimi – zgodziła się. – I bezczelnym. Zawsze. Niewątpliwie moja życiowa edukacja okazała się o wiele bardziej przydatna w kwestii przeżycia niż nauki, które pobiera większość młodych dziewcząt.

Uwierzyłby jej, przekonałoby go to całe rzeczowe, praktyczne podejście do życia, z jakim się obnosiła, gdyby nie widział i nie słyszał jej rozpaczy, kiedy kawałek metalu, jedyna rzecz, która ją z kimś łączyła, dryfował po wodzie.

On sam miał całą rodzinę, która stanowiła jego kotwicę w życiu, która go zarazem dręczyła i zapewniała bezpieczeństwo i poparcie. Ona miała ledwie wojskowy medal. A także, jeśli jej wierzyć, okropnego ojca.

Wiedział co nieco o okropnych ojcach.

– A medal…

– Udało mi się trzymać go w ukryciu, póki nie mogłam go bezpiecznie wyjąć. To jedyny dowód, że jestem tą, za którą się podaję, bo dał go mojej mamie w lepszych czasach, mówiąc, że to jego najcenniejszy skarb. Przez cały ten czas trzymałam go dla niego. Matka powiedziała, żebym odnalazła go w razie potrzeby i pokazała mu medal.

– A teraz go potrzebujesz.

Zaczęła nieświadomie wygładzać koszulę na kolanach.

– Być może. – Milczała chwilę.

– Jonathanie… czy mogę… znasz go… jaki on jest?

Zawahał się.

– Co chciałabyś o nim wiedzieć?

– Czy nie chcesz być ze mną szczery? – zapytała z oburzeniem.

– Doskonale. A zatem mam być całkiem bezpośredni? To zimny, bezwzględny, potężny i bogaty człowiek. Brakuje mu uroku, w każdym razie, z mojego punktu widzenia. Nie lubi mnie. Lubi mojego ojca, który jest, w gruncie rzeczy, bardzo do niego podobny. A ty wyglądem jesteś bardziej niż trochę do niego podobna.

– A on jest bardzo przystojnym mężczyzną – stwierdziła niespodziewanie. – Przynajmniej te jego części, które widziałam.

– O, tak. Twój wygląd, taki, jaki jest, to prawdopodobnie jedyny powód, dla którego ktokolwiek cię jeszcze znosi.

Roześmiała się znowu. A potem szybkim, nagłym ruchem chwyciła włosy, które w słońcu zaczęła się burzyć i kręcić, w jedną rękę. Zwijała je, aż utworzyły węzeł na jej karku, który umocniła zręcznie, niecierpliwie i z wdziękiem w tajemniczy, znany tylko kobietom sposób. Kobiety nie zdają sobie sprawy, jak często zdradzają o sobie wszystko takimi gestami, jakie potrafią być wówczas wzruszające i irytujące. Te gesty skuteczniej usidlały mężczyznę niż wyrachowane działania.

– Nie będą się trzymać – szepnął. Miał na myśli włosy.

Był ciekaw dotyku tych pięknych mahoniowych splotów na dłoni. Sprawiały wrażenie ciepłych, jak żar z ogniska.

– Jak wszystko inne – stwierdziła filozoficznie. Dowodząc ich racji, kosmyk włosów wyrwał się z uwięzi i otoczył jej ucho, jak haczyk z przynętą na męskie serca.

Teraz, kiedy odzyskał zwykłą równowagę umysłu, doszły do głosu jego zmysły. Kiedy podniosła ręce do włosów, zobaczył – bo, naturalnie, patrzył – jej ciemne sutki pod mokrą koszulą. Ten widok uderzył mu do głowy jak czysta whisky. Jej małe piersi unosiły się ku górze i nagle mógł sobie żywo wyobrazić, jak by to było dotknąć jednej ustami i ten obraz wydawał się oddziaływać bezpośrednio na jego lędźwie. Szczupłe, gładkie, kremowe ramiona, linia ciała od ramion, poprzez wąską talię, biodra, uda aż do nagich kostek i palców stóp – to wszystko oczarowało go nagle zmysłowością.

Tommy, jak się wydaje, wyczuła pewną zmianę atmosfery. Spojrzała na niego, unosząc pytająco brwi. A potem uśmiechnęła się domyślnie.

Dziewczyna dokładnie wiedziała, co robi. To go rozbawiło i wywarło na nim wrażenie, choć nie wiedział, na ile okaże się skuteczne.

Odrobinę zmieszany przygładził mokre włosy dłonią, odsuwając je do tyłu.

Z trwałym skutkiem.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Do twarzy ci z tym. – Najwyraźniej miała na myśli coś odwrotnego.

Tylko się uśmiechnął, przeciągnął leniwie i oparł na łokciach. Wiedział, że śledzi go wzrokiem, z taką pewnością, jakby miała oczy na sznureczkach i zdawał sobie sprawę, że udaje, że jest inaczej. Wiedział doskonale, jak pięknie jest zbudowany. I on miał swoją miarkę próżności.

I też stosował swoje sztuczki.

Poszła za jego przykładem. Oboje ułożyli się na brzegu, na piasku, na trzcinach i pogniecionych kwiatach, pozwalając, żeby osuszyły ich promienie słoneczne. Słońce grzało teraz mocno, stojąc wysoko na niebie i litościwie biorąc ich na cel.

Cóż może zaszkodzić drobny pokaz próżności?, myślał Jonathan. Byli półnadzy,

sami, a ciepło słońca otulało ich jak warstwa ciepłego mleka. Odpoczywali spokojnie, wiedząc, że są bezpieczni przed podstępami drugiej strony, ponieważ, rzecz jasna, byli sprytniejsi od większości ludzi i żadne nie stanowiło obiektu pożądania dla drugiego.

Poruszyła stopami; zerknął w porę, żeby zauważyć różową, błyszczącą obwódkę wokół jednej kostki.

Blizna. Być może oparzenie.

Tylu rzeczy o niej nie wiedział. Tyle ostrzeżeń otrzymał zawczasu. A jednak wciąż tu był.

Zerknął w niebo. Mogła być małą kusicielką. Nie wątpił ani przez chwilę w jej siłę.

Ale ta siła mogła jej służyć albo ją pokonać. Młodzi arystokraci mogli jeść jej z ręki. Ale nie znała ludzi takich jak książę Greyfolk.

Odwrócił się, wsparł na łokciu i spojrzał na nią z góry.

Podniosła głowę, patrząc pytająco; jej oczy miały nieco senny wyraz od słońca.

– Co do księcia Greyfolk, Tommy…

– Tak?

– Może nie zareagować przyjemnie na pojawienie się niespodziewanej córki, zakłócającej jego uporządkowane życie.

Jonathan, jak na siebie, okazał się niezwykle powściągliwy.

– Odepchnąłbyś własną córkę?

Zaskakująca myśl: córka. Pomyślał o Sally. Była czyjąś córką. Co się stało z jej rodzicami?

– Nie jestem bajecznie bogatym księciem. – To był unik.

– Poradzę sobie, tak jak sobie radzę ze wszystkim innym – oznajmiła pewnym siebie tonem.

– Tego się właśnie obawiam, Tommy. Ty nie tyle radzisz sobie z trudnościami, ile omijasz je albo odbijasz od siebie, jakbyś grała w tenisa na trawie.

Parsknęła cicho.

– I skąd bierzesz pieniądze, skoro nie jesteś jeszcze kochanką bogatego mężczyzny?

Wcale nie był pewien, czy to prawda. Coś mu mówiło, że tak, ale i tak wstrzymał oddech.

Zawahała się.

– Czasami wygrywam w karty. Czasami hrabina daje mi szylinga, jeśli akurat ma jakieś pieniądze. I to wszystko, przysięgam. Jako mojemu przyjacielowi.

Wypuścił z ulgą powietrze.

– Czego chcesz, Tommy? – zapytał cicho, ale z mocą.

– Co masz na myśli?

– Za pięć lat od dzisiaj… jak wygląda twoje życie? Nadal mieszkasz w mieszkaniu w Covent Garden? Nadal uchylasz się przed kulami i pożądliwymi doktorami, wciąż kradniesz dzieci? Jesteś żoną nudziarza z tytułem? Czego chcesz?

Zamyśliła się.

– Dlaczego musi być nudny?

– Zawsze są.

– Powiedział mężczyzna bez tytułu.

– Zawsze jest czas – stwierdził krótko.

Uśmiechnęła się leniwie. A potem odetchnęła przeciągle.

– A więc dobrze. Zawsze chciałam…

– Tak?

– Nie będziesz się śmiać?

– Niczego nie obiecuję.

Westchnęła.

– Kiedy byłam bardzo mała, jechałam na wozie z domu pracy… mijaliśmy dom. Nie pamiętam gdzie. Jeden z wielu małych domów. Dziewczynka zbiegała ze schodów prosto w ramiona ojca, a matka stała w drzwiach, uśmiechając się… a w oknie była skrzynka z kwiatami… i to wszystko – zaśmiała się cicho, z zakłopotaniem.

Nie śmiał się. Wstrząsnęła nim myśl, że, być może, opisała właśnie wszystko, co człowiekowi potrzebne do szczęścia.

Pragnęła rodziny.

Ileż on miał szczęścia pod wieloma względami.

A potem odsunęła kosmyk włosów za ucho, a on patrzył, jak jej pierś porusza się pod mokrą koszulą.

Przez chwilę nie był w stanie oddychać.

Na Boga, nie był z kamienia. Powinni się już ubrać.

Nie poruszył się.

– Nie miałam za dużo czasu, żeby pomyśleć o innym marzeniu – powiedziała tonem usprawiedliwienia.

Wciąż nie opuszczał go obraz ciemnego sutka pod mokrym, białym płótnem.

– To piękne marzenie – odparł roztargnionym tonem. – Ale nie ma w nim mowy o poślubieniu tytułu – dodał.

Zacisnęła usta. Zawahała się. A potem:

– Chodzi o to, że… cóż… nie zdradzisz mojego sekretu wobec towarzystwa?

– Którego? Masz ich tysiące.

– Tego: chcę po prostu… wybrać swoje życie. Niekoniecznie chcę poślubiać kogokolwiek.

– Toż to herezja! Ale widzisz? Mamy wspólne marzenie. Ja też nie chcę musieć poślubiać kogokolwiek.

Roześmiała się.

– Dlaczego twój ojciec wydał taki edykt, Jonathanie?

Odwrócił się od niej.

– Mój ojciec – oznajmił sucho – nie ma o mnie najlepszego mniemania. Uważa, że dążę do zguby, a małżeństwo mnie uratuje.

– To z pewnością nieprawda! – wykrzyknęła, pochlebnie zaszokowana.

– Nie ująłem tego dobrze. Niczego się po mnie nie spodziewano. Nie spodziewa się po mnie niczego, poza tym, co zawsze robiłem. Musi się mnie pozbyć, zanim zdążę zrobić coś, co wprawiłoby go w zakłopotanie.

Spochmurniała.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że nie jest z ciebie dumny.

Mówiła z przekonaniem. Wiedział o tym.

Przyglądał jej się w milczeniu. I w tej ciszy jej niezwykła uroda poruszyła go, zapadła mu w serce, jak ciepło słońca przenika ciało – w sposób, w jaki nigdy dotąd sobie nie pozwalał. Kocie oczy czarodziejki, bladozłota krzywizna policzków, zarys eleganckich, szczupłych nóg i ramion spowodowały, że nagle nie mógł głębiej zaczerpnąć tchu. Poczuł niepokój w ciele, potrzebę równie pierwotną i silną jak łaknienie wody i powietrza i poruszył się niespokojnie. Byli tutaj zbyt długo, zbyt skąpo odziani, zbyt osamotnieni.

– Tommy… – zaczął cicho – tylko dlatego, że uniknęłaś śmierci, kiedy do ciebie strzelano… i żyjesz dotąd… nie znaczy, że jesteś…

Miał powiedzieć: niepokonana. Ale uznał, że to pewnie niczego nie zmieni. A poza tym nie chciał jej tego odbierać: wiary w siebie.

No i skąd właściwie miał wiedzieć, czy rzeczywiście nie jest niepokonana?

Mógł mieć tylko nadzieję, że będzie obok, kiedy następnym razem narazi się na niebezpieczeństwo. Czy to miała być wyprawa o północy, żeby wykraść dziecko, czy spotkanie z księciem.

Nagle jej usta zaczęły drżeć, a ich kąciki uniosły się do góry. Tłumiła śmiech.

– Co takiego? – zapytał z irytacją.

– Nic, tylko… Jonathan, wyglądasz, jakbyś… szkoda, że nie widzisz swojej miny. Patrzysz na mnie tak, jakbym mogła się zapalić. Albo porosła piórami.

Oczy mu pociemniały, powieki się nie poruszały, jak u wyborowego strzelca. Nie miał dokładnie takiej miny, jak wtedy, kiedy rzucił nożycami w ścianę. Ale prawie.

Ale nie odzywał się ani słowem.

Wyczuła, że między nimi coś się zmieniło.

Usłyszała w sobie cichy odgłos dzwonu bijącego na alarm, nagle zaniepokoiła ją ich bliskość i trwanie bez ruchu. Ma niebieskie oczy. Przestraszyło ją, że wie to z taką pewnością. Jonathan ma niebieskie oczy. Nie jak chabry, morze czy coś równie zwyczajnego i bezpiecznego. Miały raczej kolor… nieba po zachodzie słońca. Błękitnofioletową barwę dnia, który ostatecznie ustępuje przed nocą.

Subtelną.

Zabawne, ale słowa „subtelny” nigdy dotąd nie kojarzyła z Jonathanem Redmondem.

Wciąż milczał.

– Ani nie lubię szczególnie ryzykować, ani nie jestem bardzo krucha, Jonathanie. – Z jakiegoś powodu szeptała, jakby znajdowali się w kościele. Tak podziałała na nią powaga w jego wzroku.

Zawahał się.

– Nie? – rzucił w końcu. Miękko i łagodnie, ale z ogromnym powątpiewaniem.

A potem delikatnie, ostrożnie, położył dłoń na jej policzku.

To było jak muśnięcie ćmy. Wierzchem dłoni przesunął leciutko wzdłuż jej kości policzkowej, obrysowując szczękę, być może taką jak u ojca. Delikatnie, ale zdecydowanie. Jakby sprawdzał ostrze wspaniałej broni.

Wydawało się, że jego palce trafiły na luźne ogniwo kolczugi, która chroniła jej duszę i teraz po kolei puszczały następne ogniwa; czuła to w cieple, które wędrowało wzdłuż jej kręgosłupa.

– Ponieważ boję się – wyszeptał z namysłem, bardziej do siebie niż do niej, jakby dochodził właśnie do kłopotliwego wniosku – że jesteś i taka, i taka, Tommy.

Zacisnęła palce na piasku, usiłując zakotwiczyć się w ziemi.

On mnie pocałuje, uświadomiła sobie, zaszokowana. To wina siły grawitacji, jak przypuszczała, tego że byli skromniej odziani niż zwykle, a kiedy dwoje ust tak długo znajduje się blisko siebie, musi dojść do pocałunku.

Nie całowano jej od… tak dawna.

I stało się: jego wargi dotknęły jej ust. Raz.

Niewinnie.

Zanim zdążyła poczuć się rozbawiona tym faktem, jego usta wróciły, muskając jej wargi delikatnie jak oddech.

Próbując.

Uspokajając.

Mmmmmmmm.

Niech to diabli, ale teraz była zaciekawiona.

Nie poświęciła chwili na refleksję, że ciekawość już wiele kobiet doprowadziła do zguby.

Podejrzewałaby raczej, że jest zdobywcą. Ale pocałunek był subtelny, jak jego oczy. Zachęcał. Kusił. Objawił jej, z celową delikatnością, morze doznań w samych jej ustach. W jakiś sposób samymi wargami Jonathan zdołał opanować zakończenia nerwowe w odległych częściach jej ciała, każąc im płonąć, a także skłonił do posłuchu wszystko, co w jej ciele mogło się unieść – włoski na karku i ramionach, sutki – jakby całe jej ciało umierało z ciekawości, co się dzieje.

Świat, jakim był kiedyś, zamieniał się w nowy świat żaru i zmysłowego dotyku: miód, satyna. Męska słodycz przeniknęła w jej żyły i zasnuła mgłą umysł. Wiedziała to wszystko, ponieważ jej usta otworzyły się pod jego ustami, jak kwiat otwiera się do słońca, bo dlaczego miałoby być inaczej? Była oszołomiona. Prawie drżała.

Kiedy ich języki w końcu się spotkały, jęknęła z ulgą.

Czuła, że jego ciało odebrało ten dźwięk jak uderzenie pioruna.

Wstrzymał oddech i znieruchomiał. A potem uświadomił sobie swoją przewagę i natychmiast ją wykorzystał; w pocałunku pojawiło się żądanie, zaborcza ciekawość. Odpowiedziała na to z ochotą. Uniósł ją w ramionach, tuląc do siebie, a potem opuścił – bardzo powoli, delikatnie. Wtedy odezwał się w niej instynkt samozachowawczy – oparła dłonie na jego piersi: to był błąd. Jakby dotknęła ciepłej, pokrytej satyną ściany. Pod jego skórą wibrowało czyste pożądanie, niebezpieczne, nieprzewidywalne, jak prąd morski. Poczuła się niemal zdradzona, jakby to twarde, piękne, męskie ciało, ten pocałunek jak ruchome piaski stanowiły broń, jaką Jonathan przed nią ukrywał.

Inny instynkt podpowiadał: daj mu, czego chce. Weź wszystko, co ci da.

Dotknął ustami jej szyi, a ona wygięła się, zachęcając, żeby przesunął się niżej. Wiedziała, że musi czuć puls jej krwi. Niżej, niżej, między piersi; pragnęła, żeby dotknął jej sutka. Zamiast go odepchnąć, palcami przesunęła wzdłuż zagłębienia, tworzącego się między mięśniami po obu stronach jego kręgosłupa, wsunęła dłoń pod pasek spodni i dotknęła biodra.

– Tommy. – Jej imię przerodziło się w jęk, który wydobył się z głębi, jakby z dna rzeki. Znieruchomiał i odsunął się od niej.

Przez chwilę patrzył na jej zaskoczoną twarz. A potem cofnął się zdecydowanie.

Słyszała teraz tylko oddech. Swój i jego.

Stanowili duet we wciąganiu powietrza.

Trochę tak, jak po gwałtownym wybuchu. Wszyscy zaskoczeni i trochę speszeni, że krzyczeli i miotali się nieprzytomnie, ale szczęśliwi, że udało im się ujść z życiem.

Boże, ona jęczała.

O mało nie jęknęła znowu na to wspomnienie. Z wielkim wysiłkiem powstrzymała się od zakrycia oczu rękami.

I to akurat z Jonathanem Redmondem.

I to on znalazł w sobie dość rozsądku, żeby to skończyć.

– A więc… przyjmuję, że już się przedtem całowałaś? – Usiłował nadać głosowi ironiczny ton. Ale jego głos brzmiał dziwnie. Stłumiony, powolny. Jakby otrzymał cios w głowę.

– Podobnie, jak ty, jak przypuszczam. – Jej głos we własnych uszach brzmiał bardzo podobnie do jego. Podejrzewała, że oboje usiłują przezwyciężyć zmysłowe zamieszanie w swoich ciałach. Miała wrażenie, jakby jej ciało unosiło się na wzburzonych falach i zostało gwałtownie wyrzucone na brzeg.

Nie odzywał się chwilę.

– Wydaje się, że nie – powiedział w końcu tajemniczo, na pół do siebie. Wciąż wydawał się oszołomiony.

Nie zapytała go, co ma na myśli. Słowa wydawały się w tej chwili zbędne.

Milczał, więc przyjrzała mu się ukradkiem.

Leżał na plecach, wpatrując się w niebo, jakby właśnie spadł na ziemię. Jedną rękę położył na piersi, niczym postrzelony z broni palnej. Jego dłoń wznosiła się i opadała z każdym oddechem, wciąż głębokim, ale coraz regularniejszym. Zastanawiała się, czy próbuje wyciszyć gwałtowne bicie serca. Miała ochotę zrobić to ze swoim, ponieważ ciągle słyszała jego uderzenia we własnych uszach. Szum krwi, której temperatura wzrosła do wrzenia w ciągu, jak się wydawało, paru sekund.

Studiowała jego profil, jakby go nigdy przedtem nie widziała. I w pewnym sensie tak było, dotąd nie miała okazji zobaczyć go dokładnie. Ciemne rzęsy rzucały odrobinę cienia na policzki. Od kącików niebieskich oczu odchodziły cienkie linie, ślad od mrużenia oczu podczas jazdy konnej czy w słońcu. Zagłębienia w jego policzkach wypełniał cień i to się wydawało nowe i fascynujące. Przyszło jej do głowy, że nie miałaby nic przeciwko temu, żeby tu leżeć cały dzień i obserwować grę światła na krzywiznach i kątach jego twarzy. Nagle zapragnęła go oglądać we wszelkiego rodzaju świetle.

Na tę myśl poczuła się obnażona, zatrzęsła się.

– Moje ubranie – odezwała się nagle.

– Przyniosę! – Skoczył na równe nogi jak zabawka na sprężynie, wdrapał się wyżej na brzeg, tratując krzaki i praktycznie zniknął jej z oczu, zanim zdążyła mrugnąć.

Zupełnie jak człowiek zachwycony wymówką, żeby uciec.

Zostawiając Tommy własnym myślom, co rzadko można uznać za przyjemne.

A potem pojawił się na moście. Maleńki. Przebyli kawał drogi, jak się wydawało, zarówno w przenośni jak i dosłownie.

Z odległości można go było bezpieczniej obserwować; stwierdziła, że przygląda mu się zachłannie, jakby należał do nieznanego jej gatunku, z jakim zetknęła się po raz pierwszy: szczupły, dobrze zbudowany, ciemnowłosy mężczyzna, schylający się po ubranie. Z daleka wcale nienadzwyczajny. Ani niebezpieczny.

Podniósł i potrząsnął jej suknią, a następnie złożył ją starannie, co, z jakiegoś powodu niezmiernie ją wzruszyło. Podniósł jej pantofle, najpierw jeden, potem drugi – kawałek dalej; w jego rękach wydawały się zabawnie i absurdalnie maleńkie. Nagle ją olśniło: zrozumiała, jakie piekło musiał przeżyć, kiedy nagle je zrzuciła i skoczyła do rzeki.

Jego ręce. Przed chwilą błądzące po jej twarzy. Potrząsnęła energicznie głową, mocno wciągnęła i wypuściła powietrze, mając nadzieję, że to jej przyniesie ukojenie. Dlaczego ma się czuć zawstydzona? Całowała się już przedtem z mężczyznami i lubiła to, choć nie szafowała pocałunkami, jako osoba przede wszystkim praktyczna. Ale nie była przecież z kamienia.

Żaden z tych innych mężczyzn nie miał czelności wedrzeć się tymi pocałunkami w głąb jej duszy.

Zamęt myśli postanowiła przezwyciężyć praktycznym działaniem: wsunęła na nogi suche pończochy. Przeczesała palcami buntowniczą czuprynę, która zdradziecko upodobniała się do dmuchawca, zręcznie splotła włosy w warkocze i upięła w węzeł na karku.

Jonathan wrócił, znowu tratując rośliny jak dzika bestia, zbiegł nad rzekę, chwytając po drodze kępy zieleni dla równowagi.

Zamarł na jej widok, otwierając szeroko oczy. Jakby on także zobaczył ją po raz pierwszy. Jakby nie mógł zdecydować, czy ma do czynienia z drapieżnikiem, czy ofiarą.

– Łap. – Rzucił jej kłębek odzieży.

Złapała bez wysiłku. Podniósł brwi w geście uznania.

Potrząsnęła lekko ubraniem, a potem jeszcze raz, mocniej, na wypadek, gdyby

jakieś owady zapuściły się tam z wyprawą odkrywczą, kiedy leżało rzucone niedbale na ziemię.

– Czy powinnaś zakładać… suknię na… mokre rzeczy?

Mówił tonem pełnym troski, ale jego twarz pozostała bez wyrazu, a przeciąganie słów było z pewnością celowe i dodawało im dwuznacznego kontekstu.

Co za szelma. Odczuła gorąco w strategicznych miejscach, kiedy to powiedział.

– Już prawie wyschłam – oznajmiła z naciskiem. – Ale dziękuję.

Wzruszył ramionami po chwili i wykonał ćwierć obrotu – zbędny pokaz manier, zważywszy, że widział jej sutki pod koszulą, choć, niestety, ich nie dotknął. Ale w ten sposób ceremonialnie przywrócił przyzwoitość.

Przerzuciła sukienkę przez głowę i wsunęła ręce do środka.

Sięgnęła do tyłu i ściągnęła tasiemki najmocniej, jak potrafiła. Nie ofiarował pomocy.

Jonathan był już ubrany, w koszuli zapiętej pod szyję i bezpiecznie schowanej pod kubrakiem; we wspaniałych butach do kolan odbijały się liście, a jego włosy wysychały, układając się w fale i nadając mu prawie komiczny wygląd. Pół beza z kremem, pół Belzebub.

– Czemu się uśmiechasz? – zapytał z irytacją.

– Zrób tak. – Przygładziła włosy obiema dłońmi.

Podniósł ręce i zaczął uklepywać głowę.

– Dziękuję. Przeklęty bajroniczny nonsens… należało ogolić się do skóry.

– Nie rób tego! – Słowa padły, zanim zdążyła się ugryźć w język.

Opuścił powoli ręce, patrząc na nią w zamyśleniu.

Odwzajemniła spojrzenie. Zaciskając wargi.

– Lubisz kręcone włosy, tak, Tommy? – zapytał po chwili. Obojętnym tonem, ale jednak z ostrożnym zaciekawieniem.

Pewnie myśli, że teraz będę mdlała na jego widok. Jak wszystkie kobiety z towarzystwa.

Małe szanse; w tej chwili miała ochotę, żeby uciec.

Nie zdobyła się jednak na ciętą replikę. Jej umysł otępiał pod wpływem pocałunków i najwyraźniej nie doszedł jeszcze do siebie.

– Będziesz ich potrzebować. – Raz! Dwa! Rzucił pantofle w jej stronę.

Pisnęła, uchyliła się i zakryła głowę rękami. Pantofle spadły nieszkodliwie na ziemię tuż obok miejsca, gdzie stała.

Drań śmiał się cicho.

– To za to, że o mało nie wybiłaś mi oka, kiedy je zrzuciłaś, żeby… skoczyć z mostu. – Powiedział to z niedowierzaniem, jakby właśnie sobie przypomniał, skąd

się tu wzięli. – Skoczyłaś z mostu. Kiedy zerwałaś z siebie ubranie i skoczyłaś do wody z mostu. Na miłość boską – szepnął.

– O tym już mówiliśmy – odparła swobodnie. – I, słowo daję, Jonathanie, oko za oko to dziecinada.

– Gdybym chciał wybić ci oczy przy pomocy pantofli, zrobiłbym to – zapewnił obojętnym tonem. – Wierz mi.

Uwierzyła.

Wsunęła stopy w pantofle, wygładziła suknię, poprawiła włosy, wyprostowała się.

– No i co? – Przesunęła dłońmi wzdłuż ciała.

Przyglądał jej się z nieruchomą twarzą. Nie chciał zdradzać swoich myśli.

– Może być – burknął.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy.

Zapomnieliśmy, jak ze sobą rozmawiać. To ją przeraziło.

– No, to chodźmy. Nie możesz się wygodnie wspinać w tych butach. Muszę cię holować na brzeg jak barkę. – Wyciągnął rękę.

Spojrzała na nią.

Jej dłoń sunęła ku jego dłoni, jak mysz, która chce wykraść z pułapki kawałek sera.

Spodziewała się, że się uśmiechnie, albo z niej zakpi. A on tylko czekał.

Kiedy jej dłoń znalazła się w jego dłoni, zacisnął na niej palce, tak że czuła każdy z osobna. Trzymał ją tak przez chwilę; w tym geście było coś nieodwołalnego. Jak w przysiędze.

Skinął krótko głową i pociągnął ją za sobą.

Szła za nim jak dziecko, pozwalając się prowadzić. Dziwne uczucie. Nie mogła odgadnąć, o czym myśli, kiedy wspinali się pod górę, a on odsuwał gałęzie, żeby nie uderzyły jej w twarz. Odzywał się tylko po to, żeby jej wskazać, gdzie najlepiej postawić stopę. Ona nie myślała i nic w ogóle nie mówiła. Świat skurczył się do miejsca, gdzie splatały się ich dłonie. Ciekawa była, czy czuje jej puls. Ciekawa była, dlaczego ma ochotę uciec, podczas gdy jednocześnie dałaby mu się poprowadzić wszędzie.

Wkrótce jednak znowu znaleźli się na drodze i wypuścił jej rękę, jakby zwalniał ptaka, którego przywrócił do zdrowia. Nie patrzył na nią.

– Skąd masz tę bliznę na nadgarstku, Tommy?

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, w głowie miała pustkę.

Mówił spokojnym tonem. Nie mrugał. I nie patrzył na nią.

– Wypadek z dzieciństwa – szepnęła.

– Ach. No, to chodźmy.

To było ostatnie słowo, jakie padło między nimi przez dłuższy czas. Słońce zniżało się nad horyzontem, barwiąc na złoto brzegi liści i rzucając na ziemię duże plamy światła w kolorze koniaku; świat stał się zbyt piękny i niezwykły, żeby mówić, a Tommy była zmęczona. Za bardzo zmęczona, żeby się zastanawiać, dlaczego Jonathan jest taki cichy.

Medal znowu znalazł się w jej posiadaniu. Ściskała go mocno w dłoni.

– To, co się dzisiaj stało… – powiedziała, kiedy byli gotowi do odjazdu.

– Skok z mostu, sekret twojego pochodzenia, to, jaka jesteś oślepiająco blada…

– Nie bądź tępy.

– W porządku. A zatem to, co się dzisiaj stało…

– Cóż, to się, oczywiście, nie powtórzy. – Powiedziała to lekkim tonem, ale zdecydowanie. Szukając na jego twarzy zrozumienia i zgody, które zwykle osiągali.

Nie odzywał się przez chwilę. Wydawał się znieruchomieć. Złościła się na zapadający zmierzch, bo nie mogła odgadnąć jego myśli.

– Och, Tommy – przemówił w końcu. – Jesteś głupsza, niż wyglądasz.

Wzdrygnęła się.

– Ja… – zaczęła piskliwie.

Skrzywił się.

– Nie piszcz.

– Więc nie bądź taki enigmatyczny. To do ciebie nie pasuje.

– Dobrze, niech ci będzie. Obawiam się, że to jest tak. Wyobraź sobie, Tommy, lont armaty. Kiedy ktoś przytyka płomień do lontu, co się dzieje? Spala się kawałek…

Przysunął się do niej tak blisko, że czubki jego butów niemal dotknęły czubków jej pantofli.

Wciągnęła powietrze, ale nie cofnęła się, kiedy ich kolana się zetknęły.

– …po kawałku…

Jego głos stał się niebezpiecznie cichy.

– …po kawałku. Aż…

Musnął oddechem jej włosy.

Ustami prawie dotykał jej ucha.

– Bum.

To był bardziej strumień powietrza niż słowo. A mimo to odrobinę podskoczyła.

Odsunął się wolno i spojrzał na nią z góry. Przeglądała się w ciemnych lustrach jego źrenic. Wyobraziła sobie, że jej własne są równie ogromne i że nawzajem

przekazują sobie swoje odbicia, nie zdradzając niczego szczególnego.

– Ale, rzecz jasna, to się nie powtórzy. – Powiedział to niespodziewanie rzeczowym tonem. Ale w jego głosie słychać też było lekką kpinę i jakby gniewną nutę.

Miała ochotę go kopnąć.

Nie czekał na odpowiedź.

– Przyjemnej podróży do Londynu, panno de Ballesteros.

Dotknął kapelusza i odszedł, pogwizdując. To mogła być ballada o Colinie Eversea.

ciąg dalszy nastąpi…

W maju 2015

Julie Anne Long

Wydarzenie pewnej nocy

Tom 2

Przypisy

[1] ang. *sentence* – zdanie; wyrok sądowy.
[2] Necksnapper (ang.) – łamiący karki.